

MARCIN ŚWIĄTKOWSKI

KSIĘSTWO RÓŻANEGO KRZYŻA

CANES DOMINI
ECCLESIAM CUSTODIUNT

SON
imaginatio

PSY PANA
TOM II

**KSIĘSTWO
RÓŻANEGO KRZYŻA**

KSIĘSTWO
RÓŻANEGO KRZYŻA

Spis treści

Okładka

Strony tytułowe

Dedykacja

Motto

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Rozdział XI

Rozdział XII

Rozdział XIII

Rozdział XIV

Rozdział XV

Rozdział XVI

OD AUTORA

Karta redakcyjna

Dedykuje Wikipedii

Przed wyruszeniem w drogę należy zebrać drużynę.

Rozdział I

1633

„Nuda jest pożywką melancholii” – Katarzyna przypomniała sobie wyczytany gdzieś cytat.

Patrzyła przez okno na smutny, naznaczony złocistymi śladami postępującej jesieni kanał przed uniwersytetem w Lejdzie. Ceglany, narożny budynek, dawny klasztor, nie wyróżniał się specjalnie pośród otaczających go mieszczańskich kamieniczek. Przez jego otwartą bramę widziała fragment wielkiego parku, połączonego z ogrodem botanicznym, teraz objętego dziesiątkami odcieni złota, żółcieni, oranżów, ochr, czerwieni i brązów. Studenci profesora Vorstiusa mieli pełne ręce roboty przy zamiętaniu liści oraz zabezpieczaniu najcenniejszych botanicznych okazów przed zimą.

Dziewczyna zajmowała trzy komnaty w kamienicy naprzeciwko uczelni: narożną, w której spała, z oknami wychodzącymi na dwie sąsiadujące z uniwersytetem uliczki, leżący obok niej pokój od frontu, nazywany pracownią, oraz wycofaną komnatę z widokiem na dziedziniec. W związku z tym mogła obserwować tylko bruk i brudną wodę, od której latem jechało rybą, zgniłą wodą i odchodami. Lejda, jak przystało na porządne, purytańskie miasto, nie obfitowała w atrakcje.

Westchnęła, patrząc na stół, od którego odeszła. Leżała na nim bardzo gruba księga o wdzięcznym tytule *Rosarium philosophorum sive pretiosissimum donum Dei*. Mimo że po łacinie mówiła już lepiej niż niejeden kardynał, a czytała w tempie, o którym pomarzyć mogli obcy

z księgami mnisi, lektura nie sprawiała jej żadnej przyjemności. Pograżyła się w rozmyślaniach.

Czekała na Blancheffleur von Barby, która udała się do Amsterdamu w nadziei na wieści z Niemiec. Katarzyna uśmiechnęła się, przypominając sobie, jak alergicznie reagowała na dziewczynę niespełna pół roku wcześniej, jeszcze w drodze z Birstein do Lejdy. Z czasem roztrzepana blondynka stała się jej najwierniejszą towarzyszką i osobą w zasadzie niezastąpioną. Powodem takiego stanu rzeczy była prawdopodobnie kąpiel.

Gdy Katarzyna, Blancheffleur i Euwe przyjechali na uniwersytet, na dziedzińcu powitał ich rektor Thysius, niemalże ozłaczając Euwego, którego chyba nie spodziewał się więcej ujrzeć. Szybko przydzielił im służbę i zabrał bakałarza na rozmowę, dziewczęta natomiast zaprowadzono do komnat po drugiej stronie ulicy, tych samych, w których właśnie przebywała Katarzyna. Zanim zdążyły się zorientować choćby w układzie pomieszczeń, służące wniosły do pokoju balię i zaproponowały im skorzystanie z niej. Młode szlachcianki nie zawahały się ani chwili, po takiej podróży, jaką odbyła dziewczyna z Thalfingen, nawet nadmiarowa – częstsza niż parę razy do roku – kąpiel byłaby wskazana, Blancheffleur zaś nie dałaby się oderwać od swojej preceptorki choćby przypiekana żelazem.

Gdy tylko wymoszczono płótnem i napełniono drewnianą wannę, zrzuciły z siebie brudne ubrania i wskoczyły do środka, nie przejmując się zupełnie stanem kobierców i parkietów. Przerażone tą zagraniczną werwą pokojówki, niemówiące po niemiecku, usługiwały im na podstawie gestów, jak potrafiły, a one ochlapwały się, parskały i śmiały. Obie blondynki, obie drobno zbudowane, obie młode, przeglądały się w sobie jak w lustrach i w tamtej chwili przestały ukrywać przed sobą cokolwiek. Wrażenie to nie znikło, gdy wciągnęły na siebie proste suknie o holenderskim kroju, sztywniejsze i mniej praktyczne niż niemieckie. W kolejnych dniach zbliżyły się bardziej niż kiedykolwiek wcześniej lub później. Nie mając nic do roboty, opowiadały sobie

nawzajem swoje losy, trochę ubarwiając, trochę omijając, ale szczerze chcąc się nimi podzielić, jak to możliwe jest tylko w wypadku osób, które przez wspólnotę doświadczeń odkrywają nawzajem swoje istnienie.

Dziewczęta szybko się przekonały, że Holendrzy są podejrzanie higienicznym narodem, ponieważ w powszechnym zwyczaju była kąpiel przynajmniej raz w tygodniu albo i częściej, co zaakceptowały w miarę bez oporów, choć zwłaszcza Katarzynie wydawało się to stratą czasu i energii. Dopilnowano, aby więcej nie miały okazji do wspólnego pluskania się w balii, ponieważ za higieną Holendrów szedł jej upośledzony brat – purytanizm. Być może szwabska szlachcianka przywykła i do tego, ale szczególnie irytowała ją wybiórczość mechanizmu tak zwanej przyzwoitości towarzyskiej. Kąpiel z przyjaciółką była wykluczona, ale zarazem tej samej przyjaciółce pozostawiono mnóstwo swobody, również obyczajowej, czego efektem okazała się seria bardzo intratnych amsterdamskich romansów, w które Blanchefleur pakowała się z godnym podziwu entuzjazmem, a przerywała je z jeszcze godniejszą podziwu beztrąską.

Katarzyna ani myślała o próbach ograniczenia przyjaciółki, ponieważ von Barby uzyskiwała w ten sposób mnóstwo informacji, którymi w innych okolicznościach nikt nie raczyłby się z nimi dzielić. Szczególnie że sama Katarzyna aż takiej swobody nie miała. Co prawda romanse jej kompletnie nie interesowały, ale denerwowało ją, że o wiele trudniej było jej wymknąć się z uniwersytetu. Wszyscy akademicy paranoicznie wręcz drżeli nad jej bezpieczeństwem. Nie była wprawdzie więźniem, lecz samotne wycieczki gdziekolwiek kończyły się zwykle wysłaniem za nią żaków mających za zadanie ją szpiegować i gorzkimi wyrzutami profesora l'Empereure'a, jej preceptora. Rzadkie wypadki do Amsterdamu nie zaspokajały jej potrzeb społecznych, bo w czasie ich trwania na krok nie odstępowało jej dwóch magistrów eteromantów i kilku żołnierzy. Rektor Thysius, gdy usłyszał o przygodach dziewcząt, bardzo poważnie potraktował groźbę, że

dominikanie znów zainteresują się Katarzyną, i nakazał jej nie opuszczać Lejdy bez eskorty. Z kolei w samej Lejdzie musiała występować incognito. To wszystko nie pomagało w rozwijaniu kontaktów towarzyskich. Dla świętego spokoju szybko odpuściła, skupiając się na nauce, funkcję szpiega zaś przejęła Blanchefleur, niemająca na uczelni nic do roboty.

Katarzyna błądziła od myśli do myśli, gapiąc się w okno. Księga na stole stawała się coraz bardziej odpychająca. Nauczyciele najwyraźniej uznali, że cała wiedza alchemiczna wszechświata, w najoczywistszy sposób zdezaktualizowana, potrzebna jej jest do robienia tego, co przychodziło jej z łatwością i bez żadnego przygotowania teoretycznego. Po tym, jak w niespełna dwa miesiące nauczyła się równoległe niderlandzkiego i łaciny, wywołując coś pomiędzy sensacją a oburzeniem wśród profesorów, którzy wietrzyli w tym jakiś niesłychany podstęp, zaczęto katować ją autorytetami. Początkowo było to interesujące: lektura Arystotelesa, Ptolemeusza, Platona, Galena, Demokryta, Archimedesza i Pitagorasa przyniosła jej pożądaną wiedzę o elementarnych prawidłach rządzących światem. Z kolei zaniedbana w jej dzieciństwie edukacja literacka, obejmująca wszystko od Homera, przez Wergiliusza i Horacego, aż po nowinki, czyli francuskie dramaty i liryki Sarbiewskiego, sprawiała jej autentyczną przyjemność. Lecz gdy przyszło do lektur alchemicznych i magicznych, zaczęła się śmiertelnie nudzić. Większość z tych dzieł omawiała sprawy wysrane z palca, które nic nie miały wspólnego z praktyką eteromancji, i zazwyczaj kartkowała je tylko, za co zbierała później bury od tutorów.

Najgorsza jednak była lektura Biblii. Początkowo niesamowicie przejęta, że jej, jako kobiecie, nie tylko w drodze wyjątku pozwolono czytać Pismo Święte, ale jeszcze z niego wnioskować i je interpretować, chłonęła tę księgę z wypiekami na twarzy, spijając każde słowo Zbawiciela i jego apostołów. Ale szybko się przekonała, że słowa te są mniej interesujące, niż mogła się spodziewać. Jej dotychczasowe doświadczenie życiowe nie dało się zilustrować egzemplami

z testamentów, a proces egzegezy nudził ją, dotyczył bowiem etyki, a ją pociągała praktyka. Nikomu poza Blanchefleur się do tego nie przyznała, świadoma ryzyka. Lektorium teologiczne z kolei okazało się ciekawsze, bo pozwoliło zrozumieć, o co właściwie toczy się wojna jątrząca jej kraj, ale gdy tylko z grubsza rozwikłała tę zagadkę, znów straciła zainteresowanie tematem. Nauka była dla niej środkiem do rozwiązywania problemów i odpowiadania na pytania z życia wzięte, nie sztuką generowania nowych, oderwanych od rzeczywistości, co czasem niemożliwie drażniło Holendrów, zwłaszcza prawników, od których również pobierała nauki w ramach *artes liberales*.

Znudzona, wstała i przeszła do pracowni. Było to obszerne, jasne dzięki dwóm oknom pomieszczenie z kilkoma stołami obitymi blachą. Pod ścianami ustawiono rzędy regałów i sekretarzy z szufladkami, w których trzymała wypożyczane manuskrypty i kolekcję reagentów.

Podniosła z blatu ułomek nieoszlifowanego ametystu i z nudów rzuciła efekt lewitacji na leżący obok tłuczek od mózdzierza. Przedmiot wzniósł się w powietrze i zawisł tam bez ruchu. Nie chciało jej się skupiać na utrzymaniu go w równowadze, więc zaczął powoli opadać w stronę blatu, a kiedy się odwróciła, ciężkie narzędzie spadło na blachę, powodując niemiłosierny brzęk, który w ciszy pustych komnat sprawił jej przyjemność. Banał. Reagent, aramejskie słowo, chwila skupienia – i tyle. Oto wielka tajemnica, pomyślała prześmiewczo. Zrobiło jej się głupio, że jeszcze pół roku temu upatrywała w tym czegoś nadprzyrodzonego i nie mogła zorientować się w istocie tych zjawisk. Przypomniała jej się pierwsza rozmowa z l'Empereurem.

Oczywiście nie doszło do niej od razu, a nawet nie w ciągu pierwszych dni na uniwersytecie. Po kąpeli bowiem sam rektor oprowadził ją po zabudowaniach i przydzielił komnaty, wzięła też udział w przeraźliwie nudnej – nie mówiła wówczas jeszcze po niderlandzku – kolacji z lejdejskimi rajcami i kupcami. Później sędziwy profesor Falcoburgus, piastujący katedrę medycyny, obejrzał ją dokładnie: zmierzył jej puls, zbadał mocz i krew, a także sprawdził tablice

astrologiczne, słowem, wykonał komplet niezbędnych badań. Okazało się, że jest perfekcyjnie zdrowa. Niczego innego zresztą się nie spodziewała. Następnie wraz z Blanchefleur i kilkoma naukowcami mówiącymi po niemiecku zwiedziła niewielkie miasto. Dopiero wtedy Holendrzy, uznając najwyraźniej, że ich gościnność została odpowiednio zmanifestowana, wyznaczyli jej spotkanie z profesorem nowej katedry eteromancji, Konstantynem van Oppyckiem, zwanym l'Empereurem.

Gdy weszła do jego gabinetu, ujrzała siedzącego za biurkiem mężczyznę pogrążonego w papierach. Był w średnim wieku, dosyć korpulentny – aksamitny czarny kubrak, który uwielbiali akademicy, opinał mu się na brzuchu. Spod wysokiego czoła spoglądały mądre, pogodne oczy, na jego ustach zaś błąkał się przyjazny uśmiech. Od razu zrobił na niej pozytywne wrażenie, które pogłębiło się z czasem.

- Dzień dobry! - zawołał jowialnie. Zerwał się z za wielkiego dębowego blatu i skłonił nisko. - Konstantyn l'Empereur, do usług panienki.

- Katarzyna von Besserer. - Dygnęła wdzięcznie. - Pan profesor chciał się ze mną widzieć?

- W istocie, oczywiście! Po tylu miesiącach oczekiwania! Proszę, proszę siadać! - Wskazał krzesło pod ścianą.

Gdy usiedli, zaproponował jej wodę - zauważyła, że Holendrzy rzadko pili wino przed zmrokiem - a gdy odmówiła, patrzył na nią długo pogodnymi, błękitnymi oczami. Elegancka, trefiona zgodnie z panującą wśród naukowców modą broda co jakiś czas omiatała krawędzie płaskiej kryzy jego kaftana.

- Na samym początku chciałbym panienkę najserdeczniej powitać na naszym uniwersytecie. To dla nas wielki zaszczyt, że właśnie naszą instytucję wybrała pani... Przepraszam - zmieszał się, widząc reakcję Katarzyny - nie znam niemieckich obyczajów. Co panienkę tak rozbawiło?

- Wybór. Powiedział pan: „wybrała”.

– Czy tak nie było w istocie?

– W pewnym sensie. Ale to długa historia, którą nie chcę teraz profesora zanudzać. Dość, że podróż do Lejdy okazała się nie tylko długa, ale też częściowo przebiegła wbrew mojej woli, którą, jak już się zdażyłam nauczyć, mało kto się przejmuje.

Była w bojowym nastroju. Świadoma, że ma tutaj spędzić trochę czasu, postanowiła nie popełnić tego samego błędu, co z Schenkiem, i od razu dać do zrozumienia hordzie pragnących komenderować nią mężczyzn, że komenderować sobą nie pozwolili.

– Ależ – l'Empereur wyglądał na zupełnie zakłopotanego – to nie leżało w naszej intencji. Miała panienka zostać uprzejmie zaproszona i udać się do Lejdy tylko za zgodą swoją i swojej rodziny...

– No to trochę nie wyszło – ucięła obcesowo. – Rozumiem, że ma pan dla mnie jakieś wyjaśnienia? Propozycje?

– Hm, hm, taak... – Profesor patrzył na swoje dłonie, nadal bardzo zakłopotany. Zrobiło jej się głupio, bo wydawał się mieć zupełnie szczerze intencje.

– Przepraszam, panie profesorze, za brak ogłady – opanowała się. – Przebyłam bardzo długą podróż, obfitującą w niezbyt przyjemne przygody. Nie jestem też obyta z wielkoświatowym ceremoniałem, wychowałam się na prowincji. Nie chciałam urazić ani pana profesora, ani uniwersytetu, po prostu... mam dużo pytań.

l'Empereur rozluźnił się zauważalnie. Bał się chyba, że rozmowa będzie przebiegała w tonie, do którego nie przywykł i na który ewidentnie nie był przygotowany.

– Proszę je w takim razie zadać – powiedział, rozkładając ręce w geście otwartości. – Nie mamy tajemnic!

– Bakalarz Euwe miał ich wiele...

– Bakalarz wiedział tyle, ile musiał. Świętej pamięci magister Elzeveir i ich przełożony, mój poprzednik, również świętej pamięci profesor de Bure, byli zwolennikami zachowywania niektórych odkryć

w sekrecie. Ja nie zamierzam przed panią niczego tać, bo nie mam w tym żadnego interesu.

– W takim razie co ja tutaj właściwie robię? – zapytała wprost.

Profesor zdziwił się zauważalnie.

– No... Przyjechała pani na nauki. W drodze absolutnego wyjątku zaferowano przeciwko pani stypendium z kiesy wielkiego stadhoudera Fryderyka Henryka.

– Stypendium? Wielki stadhouder? – powtórzyła oszołomiona.

L'Empereur zerwał się z krzesła, wzburzony.

– Pani naprawdę nic o tym nie wie?!

Katarzyna z trudem powstrzymała się przed zapytaniem, czy wygląda, jakby wiedziała. Zamiast tego w milczeniu potrząsnęła głową. Alchemik porwał dzwonek i wezwał asystenta. Zażyczył sobie widzieć Euwego najszybciej, jak to możliwe. Pokręcił się jeszcze chwilę, teatralnie manifestując swoje oburzenie, i usiadł z powrotem.

– W takim razie muszę panią najmocniej przeprosić. To niedopuszczalna niekompetencja ze strony przedstawicieli uniwersytetu, że nie przedstawili sytuacji klarownie. To może ja zacznę od początku... Na pewno nie napije się pani wody? – Rozsiadł się wygodnie w fotelu, pociągnął wielki łyk z kielicha. – Otóż w okolicach grudnia zeszłego roku pewien niemiecki pisarzyna ze Szwabii, niejaki Michael Ziege, persona nad wyraz podejrzana, obecnie przebywająca w orańskim areszcie, który przybył do Niderlandów, uciekając przed wojną, podzielił się z nami niesamowitą historią. Według niej na zamku Oberthalfingen w Niemczech mieszkała młoda dama, która jest bliska oskarżenia o czary na podstawie aktu magicznego, którego dokonała. W opisie tego aktu, to jest zabi... – ugryzł się w język – zniszczenia budynku, rozpoznaliśmy elementy dość charakterystyczne dla efektów eteromancyjnych. Co to jest eteromancja też nie...?

Katarzyna pokręciła głową.

– No cóż, najprościej rzecz biorąc, eteromancja to dziedzina alchemii, która polega na modyfikacji struktury eteru. Do pewnego

momentu sądziliśmy, że eter, substancja wypełniająca przestrzeń między gwiazdami, istnieje tylko w kosmosie. Okazało się jednak, że znajduje się też w przedmiotach w naszym świecie i że ludzie są częściowo zdolni do władania nim. Tę właśnie zdolność nazywamy eteromancją. Ma ona dość dobrze opisaną mechanikę, chociaż sam mechanizm pozostaje dla nas nie do końca zrozumiały...

- To znaczy? Mógłby pan jaśniej? - przerwała Katarzyna bezczelnie. Była zdesperowana, aby tym razem dowiedzieć się wszystkiego.

- Wiemy, jak to się dzieje, ale nie wiemy czemu. Wracając do opowieści - podjął, widząc, że dziewczyna kiwa głową na znak zrozumienia - wcześniej już słyszeliśmy o osobach takich jak panienka, to znaczy tych, u których talenta eteromancyjne objawiały się samoistnie. Zazwyczaj jednak te dzieci... bo zawsze były to dzieci... ginęły bardzo szybko, w wieku najwyżej siedmiu lat, później zaś w ogóle przestały się pojawiać. Ponieważ to zjawisko niezmiernie rzadkie, gdy tylko usłyszeliśmy o przypadku, w którym niewątpliwie rozpoznała panienka swoje własne doświadczenia, zdecydowaliśmy się działać. Zwróciliśmy się, to znaczy ja i świętej pamięci profesor Bure, z prośbą do rektora Thysiusa o umożliwienie panience nauki na naszym wydziale. Nawet sobie panienka nie wyobraża, jaka była o to afera! Rada dziekanów obradowała kilkanaście godzin. Za żadne skarby nie mogliśmy wyjaśnić innym, że nic nie poradzimy na panienki płęć...

- Jak to miło z waszej strony - mruknęła pod nosem Katarzyna.

- ...ale na szczęście w końcu się udało - ciągnął niezrażony l'Empereur. - Choć musieliśmy przysiąc, że to precedens. Następnie szukaliśmy dla panienki mecenasa i okazało się, że sam stadhouder, Fryderyk Henryk Orański, zgodził się ufundować panienki podróz i stypendium! Więc najęliśmy eskortę i posłaliśmy dwóch naukowców do Thalfingen. Resztę historii chyba panienka zna.

- Rozumiem. Ale czemu akurat ja? Naprawdę mało jest panien w Niemczech, musieliście ciągnąć tutaj taką, która mieszka na drugim ich końcu? Nie łatwiej było poszukać w Kleve albo Bergu?

– Jest panienka szczególnie utalentowana – tłumaczył cierpliwie. – Eteromancją nie może zajmować się każdy, wymaga ona, jak każda sztuka, pewnego specyficznego talentu. I tak, na przykład, ja jestem dosyć biegły w efektach, wielu moich pomocników jednak nie potrafi rzucić nawet najprostszego. Niestety, proces selekcji osób z predyspozycjami jest nad wyraz nużący, nie potrafimy ich w żaden sposób zidentyfikować, potrzebne są długie testy...

– Zakonnicy potrafią. – Katarzynę nagle olśniło.

– Słucham?

– Zakonnicy. Dominikanie. Mgła! Mylius robił to samo. Ta mgła... wykrywa ludzi, którzy potrafią czarować... – tłumaczyła jakby sama sobie.

– Ach, racja, panienka spotkała się pechowo z innymi zainteresowanymi tą dziedziną stronami, wiem o tym z relacji bakałarza, który, nawiasem mówiąc, powinien się tu już zjawić, wezwałem go dziesięć minut temu – przypomniał sobie i zmarszczył gniewnie czoło. – Gwarantuję jednak, że Lejda nie ma z tym nic wspólnego. Owszem, dominikanie odkryli sekret wykrywania obdarzonych i pracujemy usilnie nad jego złamaniem, ale dotąd nam się to nie udało. Myliusa miałem okazję przelotem poznać, wizytując uniwersytet w Jenie, nie wiem o nim jednak nic więcej.

– No dobrze. Ale to wszystko są przecież czary...

– Nie. – Profesor zdecydowanie pokręcił głową. – Czary to zupełnie co innego. Czarowanie polega na wzywaniu sił nieczystych, aby pomogły wzywającemu, wszyscy się co do tego zgadzają, nawet katolicy. Eteromanci tego nie robią. To dziedzina całkowicie naukowa, na co wskazuje choćby powtarzalność i częściowa falsyfikowalność... Z perspektywy zbawienia nie robi żadnej różnicy, zwłaszcza żeśmy przecież i tak wszyscy już osądzeni... Chociaż panienka jest chyba luteranką? Tak czy inaczej, uspokajam, panienki dusza jest całkowicie bezpieczna. Chyba tylko w pismach szwedzkich pojawia się niepokojąca myśl, że efekty... oni nazywają je pieśniami albo maleficiami, katolicy

zaś precyzjami... mogą wpływać na czystość duszy. Nic jednak na to nie wskazuje. Zresztą przecież kluczem do eteromancji jest język aramejski, czyli język Chrystusa.

– Co ma pan na myśli?

– Tak jak wspominałem, mechanika eteromancji jest dość dobrze poznana. Aby użyć efektu, należy wymówić słowo w języku aramejskim, ciało zaś musi stykać się z reagentem. To połączenie, z dodatkiem skupienia i woli kierującej efektem, powoduje określone zjawiska. I tak na przykład najprostszy efekt zapalający, którym władają chyba wszyscy eteromanci w Europie, wymaga aramejskiego słowa *nawr* oznaczającego „płomień” i odrobiny papieru. Proszę spojrzeć! – Zademonstrował, zapalając niepotrzebną w jasnym pomieszczeniu świecę za pomocą skrawka oderwanego od bibularza.

Katarzynie wszystko zaczynało się składać w całość. Wszystkie absurdalne gesty, machnięcia, chrząknięcia dominikanów i Myliusza stały się nagle całkowicie zrozumiałe. Wszystkie zjawiska, które obserwowała po drodze, może poza ludzkim zbydlęcieniem, okazały się boleśnie oczywiste. Jednocześnie wezbrał w niej gniew. Naprawdę Euwe nie mógł jej tego po prostu powiedzieć? Oszczędzić strachu, nerwów i domysłów?

Jak na zawołanie zjawił się gruby bakalarz, w świeżym kubraku, z nową kryzą i przede wszystkim naprawionym trzewikiem. Stał przed profesorem l'Empereurem ze skruszoną miną, jak żak, który coś przeszkobał. Katarzyna zdążyła się zorientować zawczasu, że status Euwego na uniwersytecie jest o wiele niższy, niż można było wnioskować z jego aroganckiego obycia, tym razem jednak bynajmniej mu nie współczuła.

– Panie Euwe! – burknął groźnie profesor na jego widok. – Czy to prawda, że obecna tu panienska Katarzyna nie została poinformowana o stypendium stadhoudera?

Euwe popatrzył na nią z wyrzutem i wbił wzrok w podłogę.

- Magister Elzeveir nie chciał zdradzać za dużo... - wydukał. - Powiedzieliśmy grafowi Danielowi...

- I naprawdę uznałeś, że możesz ciągnąć kogoś przez sześćset kilometrów bez poinformowania go, po co i gdzie właściwie jedzie?! To jest rażąca niekompetencja, Euwe. I zupełny brak empatii! Twoja arogancja i chęć udowodnienia swojej ważności kosztowała panienkę mnóstwo nieprzyjemnych chwil. Zejdź mi z oczu.

Euwe skłonił się i uciekł. Profesor, poruszony, pogładził się po brodzie, rzucił za nim groźnym spojrzeniem i z powrotem skierował wzrok na Katarzynę.

- Mówił pan, że do tych... efektów trzeba reagentów, tak? Jak rozumiem, to określone przedmioty? Ale ja przecież nie potrzebuję reagentów...

- Ależ potrzebuje panienska, żeby użyć efektu świadomie. Do tej pory były to samoistne, niekontrolowane manifestacje. Teraz nauczymy panienkę, jak robić to z własnej woli.

I nauczyli - Katarzyna uśmiechnęła się w duchu i zaczęła rzucać przypadkowe efekty na przypadkowe przedmioty. Chodziła po pracowni, a elementy osprzętu, fragmenty garderoby, niepotrzebne reagenty i resztki papierów unosiły się w powietrze, zapalały, zginały, powiększały, pękały i rozpuszczały pod jej aramejskimi komendami. Gdy narobiła bałaganu, sprawdziła, czy drzwi są zamknięte, po czym się skupiła. Nie wydając z siebie najmniejszego dźwięku, cisnęła pękiem gęsich piór przez pomieszczenie.

Szybko się nauczyła, że ma nad akademikami ogromną przewagę - to, co im przychodziło z najwyższym trudem, kosztem wielu eksperymentów, medytacji i wyrzeczeń, dla niej było jak oddychanie. Po nauczaniu się podstaw eteromancji i wielu godzinach asystowania profesorowi l'Empereurowi podczas odkrywania nowych efektów i doskonalenia już istniejących zaczęła eksperymentować samodzielnie.

Miała kilka tajemnic. Sympatia, którą czuła do swojego preceptora, nie zmieniała faktu, że w czasie podróży przez Niemcy nauczyła się

traktować absolutnie wszystkich jako potencjalnych wrogów. Nikomu się nie przyznała, że nauczyła się używać eteromancji bez aramejskich wyrażań. Pracowała, choć na razie bez efektów, nad używaniem jej również bez reagentów. Robiła to przecież wcześniej, nieświadomie, a teorię, kategorycznie zabraniającą podobnych eksperymentów, miała gdzieś. Wiedziała, że to możliwe, choć naukowcy upierali się, że wcale nie.

Wróciła do komnaty znajdującej się od strony dziedzińca, którą nazywała w myślach czytelnia, i z powrotem usiadła przed księgą. Westchnęła. Po przeczytaniu dwóch zdań, poirytowana, rzuciła księgą o podłogę – tym razem normalnie, za pomocą rąk – i znów podeszła do okna. Nie mogła się doczekać Blanchefleur. Bardzo doskwierała jej samotność. Obecność Katarzyny na uniwersytecie okazała się nieznośną sensacją – kobietom nie wolno było studiować, z kolei niechęć naukowców do mówienia o tym, czym się zajmują, wygenerowała setki plotek na jej temat. Nawet teraz widziała, jak żacy, przecinający kanał między lekcjami anatomii i teologii, zerkają ciekawie w jej okna, zakazane i pociągające. Nie miała żadnej styczności z innymi studentami, jej wykłady odbywały się w tajemnicy w gabinetach profesorów.

Gdy Blanchefleur w końcu się zjawiła, był już późny wieczór, a Katarzyna drzemała nad książką, do której wróciła tylko dzięki żelaznej woli. Rozentuzjasmowana, zarumieniona od listopadowego zimna dwórka wpadła do komnaty jak burza, po drodze zrzucając pelisę i czepek, którego serdecznie nienawidziła. Blond włosy posypały się na wszystkie strony, a dziewczyna rzuciła się w stronę kominka, w którym zdążyła wcześniej napalić słuźca.

– Ale ziąb, brrr! Kasiu, śliczna, boska, nawet sobie nie wyobrażasz! Spotkałam u van Rensselaerów tego oficera marynarki, który chciał się ze mną żenić, wiesz, Thyssena, pamiętasz? I on znowu mi się oświadczał, ale tym razem przy ludziach, i ja odmówiłam! Zaczął mnie nagabywać i ktoś się z niego zaśmiał, więc on wyzwał tego kogoś na

pojedynek, a Rensselaer wyrzucił ich z domu, ale zaraz wrócili i w ogóle była straszna chryja... A panna Leyster, ta malarka, została przyjęta do gildii w Haarlemie! Jest mistrzynią malarską! Obiecała, że namaluje mój portret, ale powiedziałam, że chciałabym razem z tobą, i okazało się, że może namalować tylko jedną naraz, ale powiedziała też, że może namalować dwa obrazy. No ale wracając, z tej okazji, to znaczy przyjęcia do gildii, będzie bankiet w Haarlemie, ale nie zaprosili mnie, bo ten cały Hals nadal się na mnie dąsa...

Katarzyna cierpliwie czekała. Wiedziała doskonale, że Blanchefleur ma nieco zaburzone priorytety. Nie była głupia, wprost przeciwnie, cechowała ją błyskotliwa inteligencja. Po prostu musiała najpierw wygadać się o tym, co ważne dla niej, żeby przejść do tego, co ważne dla przyjaciółki. Katarzyna słuchała więc z życzliwym zainteresowaniem plotek, mniej lub bardziej wścibskich, czasem erotycznych lub obscenicznych, czasem po prostu nudnych. Kochała Blanchefleur na tyle, że było to niewielkie poświęcenie.

– ...no – skończyła Blanchefleur. – A w Niemczech bez zmian.

– Co z Banią?

– Jak stała, tak stoi. O! Ale mam wieści z wojny.

– Której?

– Holenderskiej! Eskadra kapitana Trompa podobno rozbiła na amen jakąś hiszpańską flotę u wybrzeży Galicji i wraca na zimę do portu.

Nie dziwiło to Katarzyny. Spodziewała się podobnych doniesień. Sama asystowała profesorowi Schreveliusowi w złamaniu sprytniej hiszpańskiej tarczy eteromancyjnej, która uniemożliwiała holenderskim oficerom miotanie w habsburskie galeony ogniem, zagęszczonym powietrzem o twardości żelaza i przeciwnym wiatrem. Nie podobało jej się specjalnie to, że jej wynalazki były wykorzystywane militarnie, ale po wielu kłótniach z l'Empereurem odpuściła. Od jakiegoś czasu, jeśli odkryła coś niebezpiecznego, zachowywała to dla siebie.

- Ale najlepsze wieści zostawiłam na koniec! - zawołała Blanchefleur radośnie.

- No? Jakie to wieści?

- Nie powiem. - Tamta zrobiła głupią minę. - Chyba że coś za to dostanę!

Katarzyna się zaśmiała.

- Dla ciebie wszystko.

- No tooo... Stadhouder wraca do Hagi! Breda odbita! Wszyscy Hiszpanie uciekli!

- O. To akurat rzeczywiście nowość. Jesteś pewna?

- Tak! Jeszcze nie ogłoszono, ale hrabia de Witt ma znajomego, który jest znajomym marszałka Sievensa, i ten znajomy zapewnił, że stadhouder wróci, gdy tylko zaprowadzi porządek w mieście. Wreszcie go poznamy! Na pewno będzie bal! Będę mogła kupić nową suknię? Proszę!

- Oczywiście. Jeżeli to prawda, to ja też będę musiała.

- Ty we wszystkim wyglądasz ładnie.

- Ty też, Fleur. - Katarzyna znów się zaśmiała. - Nawet ładniej niż ja. Na pewno nic więcej?

- Same głupoty. Papież coś tam ogłosił, ale zapomniałam co, to chyba nieważne. A, tak, Gustaw Adolf wrócił na zimę do Szwecji. Ale sama mówiłaś, że tak będzie.

Informacja o powrocie stadhoudera była dla Katarzyny ważna i korzystna. Jej status na uniwersytecie stał się mocno niesprecyzowany - sama nie wiedziała, czy jest protegowaną, studentką, czy asygentką. Otrzymywała z kasy orańskiej comiesięczną pensję, na tyle wysoką, żeby nie miała co robić z pieniędzmi, zwłaszcza że i tak prawie nie opuszczała komnat. Profesorowie traktowali ją jak żaka, a poznawani od czasu do czasu rajcowie, politycy i kupcy - jak osobistą protegowaną Fryderyka Henryka. Wszystkich to męczyło i irytowało, ponieważ nie wiadomo było, co jej wolno, a czego nie;

rozmowa ze stadhouderem mogła w końcu zaowocować jakąś formalizacją jej pobytu w Lejdzie. Poza tym drażnił ją fakt, że nie zna swojego mecenasa.

Dziewczęta, leżąc na niedźwiedziej skórze przy kominku, chwilę poplotkowały jeszcze o polityce i mariażach, pośmiały się ze starego malarza Halsa, trochę powspominały Niemcy. Akurat gdy zrobiło im się naprawdę ciepło i przyjemnie, do pokoju wparowała stara pokojówka, ich strażniczka od czasu niefortunnej kąpieli. Blanche fleur przewróciła oczami, pocałowała Katarzynę w policzek i powlokła się za służką do niewielkiej komnaty na poddaszu, w której sypiała.

Katarzyna znów została sama. Z pomocą służącej przygotowała się do snu, po czym ją odesłała. Przykleiła czoło do zimnej szyby w sypialni i patrzyła na ciemny kanał prowadzący do Hagi. W ogóle nie chciało jej się spać. W głowie kotłował się kalejdoskop ciemnych myśli. Odkąd odkryła, skąd bierze się jej siła i jak nad nią panować, coraz mniej czasu poświęcała Bogu i zbawieniu, a coraz częściej przelatywał jej przez głowę szereg twarzy, których się niegdyś bała – bo była bezbronna. Przestała być, więc w nieskończoność roztrząsała sytuacje, w których znajdowała się w czasie podróży przez Niemcy, wyobrażając sobie, że już wtedy włada eteromancją. To z pewnością uprościłoby podróż. Żeby uciec od natrętnych myśli, próbowała się pomodlić, ale nic z tego nie wyszło.

Od szyby wiało zimnem. Rzuciła się na dębowe łóżko z baldachimem, które kazała wstawić do komnaty zamiast ciasnej, niderlandzkiej szafy do spania. Sypianie w pozycji półsiedzącej było jednym z holenderskich zwyczajów, który zdecydowanie odrzuciła. Zagrzebała się w kołdrze, nie mogła jednak zasnąć, rzucała się tylko z boku na bok. W końcu wstała i chwyciła świecznik. Na ręce nosiła srebrną bransoletkę, do której przyczepiła finezyjnie poskładany skrawek papieru – tak, aby zawsze mogła go dotknąć. To praktyczne rozwiązanie pozwoliło jej zapalić efektem świece. Poszła do pracowni. Służące zdążyły posprzątać bałagan, którego narobiła wcześniej, na

stołach wszystko leżało w doskonałym porządku. Postawiła świecznik na jednym z nich i drżąc w chłodnym przeciągu, ubrana tylko w koszulę nocną, zastanawiała się, co jej umknęło.

„Świadoma modyfikacja struktury eteru” – tak brzmiała definicja eteromancji. Katarzyna rozkładała ją na czynniki pierwsze dziesiątki razy, a im częściej to robiła, tym myśl ta wydawała się mieć mniej sensu. Prawie nic się tu nie zgadzało. Ani świadomość – przecież w Niemczech używała efektów nieświadomie – ani modyfikacja, która zakładała przemianę, ani struktura, która jako pojęcie geometryczne powinna dawać się zmierzyć lub opisać matematycznie. Tylko eteru nie miała jak podważyć. Najlepsze efekty osiągała, gdy dawała się ponieść nieskrępowanej intuicji. Usiłowała zrobić to na zawołanie, ale oczywiście nic z tego nie wyszło.

Czuła, że w definicji istniał jakiś poważny błąd. Chodząc po pracowni i oglądając reagenty bez dotykania ich, zastanawiała się nad istotą eteru. Miała to być tajemnicza substancja, która wypełniała przestrzeń kosmiczną. Na Ziemi istniała tylko jako immanentna część przedmiotu modyfikowanego efektem, była tym, co spajało nie materię, a formę – tak alchemicy rozbudowali koncepcję Arystotelesa.

Jeżeli eter jest częścią każdego przedmiotu – dotykała ostrożnie tej myśli, jakby bała się, że ucieknie – a ludzie, w sensie eteromantycznym, są przedmiotami, które można modyfikować, to przecież ja również mam w sobie eter. Mogę go modyfikować, mogę używać efektów na sobie. Dlaczego nie spróbować? Bawiła się chwilę tym pomysłem. Zastanowiła się, który efekt będzie najbezpieczniejszy dla takiego eksperymentu. Przyszedł jej do głowy efekt wykrywający, którego formułę odkryli z l'Empereurem jakiś czas temu, ale dotarło do niej, że modyfikuje on strukturę reagentu, czyli wody.

W końcu zdecydowała się na słaby, rzadko używany efekt ogłuszający, który sprawiał, że przedmiot przestawał rezonować jakiegokolwiek dźwięki. Był to jeden z efektów linearnych, które wymagały podtrzymywania, aby działały, więc ryzyko pozostawało

minimalne. Wygrzebała z głębi jednej z szuflad sekretery kawałek kości słoniowej. Skupiła się na sobie, jak mogła. Czuła pod stopami zimny, dębowy parkiet, przepływające przez siebie powietrze, opadające na twarz kosmyki włosów. Ścisnęła odłamek i powiedziała wyraźne h'lot. Świat ucichł. Otworzyła szeroko oczy. Nie słyszała kompletnie nic. Dla pewności uderzyła kilkakrotnie leżącą obok sztabką miedzi o stalowy blat. Cisza. Odłożyła kość i starała się myśleć o czymś innym, aby efekt przestał się utrzymywać. Przez chwilę bała się, że pozostanie głucha, ale po kilku sekundach całkowita cisza ustąpiła nagle miejsca szeptom nocy.

Katarzyna usiadła na zdobionym krześle i zamyśliła się głęboko.

Rozdział II

Schenk siedział w dosyć obskurnej, ale za to popularnej wśród miejscowych gospodzie i popijając piwo z glinianego kufla, co jakiś czas zerkał przez okno na Banię, która drażniła go do szaleństwa samą swoją obecnością. Czekał na kontakt, który miał mu przynieść wieści – ale ten się nie zjawiał. Pełen najgorszych przeczuc, poczekał pół godziny, po czym skinął głową karczmarzowi i wyszedł na ulice Schweinfurtu, świńskiego miasta.

Skierował się do kwatery oddziału sił specjalnych Jego Książęcej Mości Wilhelma Heskiego, wiedząc, że Mylius będzie wściekły z powodu braku nowych informacji. On też był wściekły, ponieważ to właśnie jego przełożony nagrał zawodny kontakt. Ani na jedno, ani na drugie młody najemnik nie mógł, niestety, nic poradzić. Chmurnie maszerował przez brudne, obskurne alejki, zacienione nawisami budynków. Na ulicach roilo się od najemnych knechtów, kuglarzy, błaznów, obszarpanych obwiesiów, typów spod ciemnej gwiazdy i żebraków. Większość krążących po okolicy zawalidrogów kojarzyła go z widzenia i omijała z daleka. Ktoś wystarczająco pijany zastąpił mu jednak drogę.

– Ej, ty – wyburczał wielki żołnierz lub najemnik, ubrany w zdekompletowaną zbroję paskową, a przy pasie dzierżący ogromny kordelas o szerokim ostrzu. – Dawaj na gorzałkę.

– Spierdalaj.

– Po niemiecku nie rozumiesz? Pieniądze dawaj. – Nieznajomy się napreżył.

Schenk nie miał ochoty ani czasu na użeranie się z każdym kretynek, który usiłował go zatrzymać. Sięgnął do kieszeni, chwycił spoczywającą tam złotą monetę i warknął odpowiednie słowo.

Zagradzający mu drogę wielki chłop wrzasnął przeciągle i upadł w pokrywające ulicę błoto i szczyzny, zdjęty nagłym paroksyzmem straszliwego bólu. Było to jedno z niewielu maleficów, które Schenk opanował w miarę biegle, niesamowicie przydatne w pracy człowieka mającego zdobywać informacje. Nie umiał podtrzymać maleficium dłużej niż kilka sekund, ale to zwykle wystarczało. Przekroczył czołgającego się osiłka, spluwając mu na plecy i ruszył przed siebie.

Nieco dalej dwóch obszarpańców walczyło na noże. Takie awantury stawały się coraz większym problemem Schweinfurtu. Do miasta, poza oddziałami specjalnymi Szwedów, Hesów i Sasów ściągęli poszukiwacze przygód, najemnicy, knechci, alchemicy, szarlatani i rycerze z całych Niemiec, bezbłędnie wyczuwając w pobliżu Bani dużo okazji do szybkiego zarobku i rozróby. Schenk namawiał kilkukrotnie Wilhelma na zaprowadzenie porządku w mieście, ale kanclerz Oxenstierna, dowodzący Szwedami pod nieobecność Gustawa Adolfa, cynicznie nie zamierzał interweniować w politykę lokalną, a księżę Hesji szedł jego wzorem. W konsekwencji wolne miasto, którego włodarze dawno już uciekli lub nie żyli, zamieniło się w opanowany żołnierską anarchią kurwidół, gdzie na ulicach rządziły siła, dukat i skurwysyństwo.

A wszystko przez Banię. Schenk podniósł głowę i rzucił nienawistnym spojrzeniem na fenomen, a zarazem powód jego obecności w tym brudnym, zniszczonym mieście, którego rdzenni mieszkańcy starali się zazwyczaj nie wychylać głów za linię okiennic, chyba że byli takimi samymi skurwielami jak przybysze. Bania wznosiła się nad najwyższymi kamienicami łagodną, obłą pochyłością, zniekształcając błękitnawym, żyłkowanym poblaskiem wszystko, co można było dostrzec przez jej miękko przezroczystą tafłę.

Schenk często się zastanawiał, dlaczego akurat słowo „Bania” przyjęło się jako nazwa tego dziwadła, nigdy jednak nie doszedł do żadnych sensownych wniosków. Okoliczni chłopię nazywali ją czasem *Schwimmlase*, rybim pęcherzem. W gruncie rzeczy obie te nazwy

odpowiadały rzeczywistości. Bania była bowiem ogromnym bąblem, nieprzekraczalną barierą, która nagle, bez żadnej zapowiedzi pojawiła się w środkowych Niemczech któregoś czerwcowego wieczoru, otaczając swoją tajemniczą obecnością kawał Frankonii – większość terytorium biskupstw Würzburga, Moguncji, Fuldy i Bamberga, a także kilka małych grafostw należących do książąt Hanau oraz część księstw Ansbachu i Bayreuthu – co o mały włos nie przyprawiło starego princa Hohenzollerna o zawał serca. Długa, nieregularna odnoga Bani opierała się niemal o granicę Würzburga z Fuldą, jakby usiłując objąć Schweinfurt – najbliższe duże miasto, w konsekwencji otoczone mgłą barierą z trzech stron.

Niezależnie jednak od onomastycznych rozterek najemnika, sam widok mlecznej, magicznej ściany zdążył mu zbrzydnąć do szczytu. Nie dlatego, że po fazie wstępnej fascynacji gigantyczną, ewidentnie alchemicznego pochodzenia strukturą, obcowanie z nią spowszedniało. Raczej dlatego, że banalne z pozoru zadanie dostania się do środka Bani, które zlecił oddziałowi Wilhelm, wydawało się po prostu niemożliwe. Schenk razem z nowym przełożonym i garstką żołnierzy tkwili w Schweinfurcie od pół roku, rozpaczliwie usiłując przeniknąć tajemnicę nieprzekraczalnej granicy. Wydawało się, że próbowali już wszystkiego – a na pewno wszystkiego, co było osiągalne.

Jedynie, co dało się z Banią zrobić, to objechać ją naokoło. Mglista ściana, na poziomie gruntu niemal pionowa, nie dawała się przekroczyć, przedziurawić, podkopać, spalić, przebić pociskami ani zniszczyć taranem – bo i tego w akcie desperacji próbowali. Ciepła w dotyku, mleczna powierzchnia zatrzymywała każdego w pół kroku, jakby próbował przejść przez półprzezroczysty mur. Miesiące prac górniczych, które skończyli z głęboką nienawiścią do skał, gliny i margla, ujawnił, że ściana sięga również w głąb ziemi, i to wystarczająco głęboko, żeby podkop był niemożliwy. Kule z armaty i inna broń po prostu się od bariery odbijały, podobnie jak strzały,

oszczepy czy kamienie miotane w Banię przez znudzone okoliczne dzieciaki.

Schenka szczególnie irytowały rzeki. W jakiś magiczny sposób bowiem woda przepływała przez barierę bez najmniejszych problemów. Wszystko, co z nią płynęło – ryby, gałęzie, pnie drzew, trupy i pozostawiany przez ludzi śmietnik – utykało, tworząc wielkie, śmierdzące zatory, ale sama woda swobodnie sunęła dalej korytem. Podobnie deszcz i śnieg. Było to niesłychanie drażniące, gdyż przeczyło logice i zdrowemu rozsądkowi – bariera powinna zatrzymywać albo wszystko, albo nic. Najemnik spędził długie dni na poszukiwaniu alchemików, którzy mogli znać maleficia związane z wodą, bo wydało mu się, że jest to jego upragniony klucz do wnętrza Bani. Był to jednak ślepy zaułek.

Nie przejmował się już zresztą istotą zjawiska, przynajmniej nie osobiście. Na początku to, co może się dzieć w środku Bani, budziło jego żywą ciekawość, ale po pół roku zaczęło go obchodzić tyle, co zeszłoroczny śnieg. Teraz chciał po prostu wykonać zadanie, wydostać się ze Schweinfurtu i zająć wreszcie czymś innym. Niestety, Wilhelm dał im wyraźnie do zrozumienia, że dopóki nie odnajdą sposobu na dostanie się do środka, nie ma co na to liczyć.

Pochłonięty niewesołymi rozmyślaniami Schenk nie zauważył, jak odruchowo zaszedł pod burdel Frau Doroty. Bywał tu często, usiłując znaleźć rozrywkę, by chociaż trochę przełamać stres i rozterki, które męczyły go na co dzień. Burdelmama знаła Schenka i resztę jego oddziału, wiedziała, że płacą z góry i nie rozrabiają, więc podtykała im dziewczyny czyste, zdrowe i na tyle młode, że jeszcze jako tako zaangażowane w swój zawód. Najemnik wszedł do środka.

Gdy starszy o pół godziny i biedniejszy o florena wychodził na ulicę, dopinając spodnie, uświadomił sobie, że zaszedł tu nie tylko z powodu pospolitej lubieżności. Szybki, beznamiętny seks ani go nie zaspokoił, ani nie uspokoił – odwłókł natomiast powrót do siedziby. Gdy sobie to uświadomił, natychmiast znowu spochmurniał.

Dobra, kurwa, pomyślał. Miejmy to za sobą.

Po pięciu minutach dotarł pod gospodę Świński Ryj, której piętro oddział przeznaczył na siedzibę. Obojętnie minął zatłoczony mimo wczesnej pory szynk i ruszył po schodach na górę, kiwnąwszy głową karczmarzowi. Zawarli dobry układ – oddział miał wyłączne prawo do korzystania ze sporego pięterka z pokojami w niezłym stanie, a właściciel, stary, siwy wyga, prowadzący ten lokal od lat, spał spokojniej, wiedząc, że w razie rozróby ma pod ręką zawodowych zabijaków. A ponieważ wiedzieli o tym też klienci, rozróby prawie się nie zdarzały.

Wszedł do izby, którą przeznaczyci na część wspólną. Był to spory pokój z kominkiem, z którego wywalili łoże i zorganizowali prowizoryczne ławy, które ustawili pod ścianami. Siedziało na nich teraz kilku heskich żołnierzy, robiąc to, co robią beczynni żołnierze, czyli śpiąc, jedząc, rżnąc w karty i naprawiając elementy ekwipunku. Przy ogniu grzał się Sójka Lorentz, który parę miesięcy wcześniej nie wiedzieć jak i skąd odnalazł się znowu przy Schenku, zwietrzywszy najwyraźniej w jego świeżo uzyskanej szarzy okazję do zysku. Ku niemu właśnie najemnik skierował kroki.

– Gdzie Mylius? – zapytał.

– Śpi – odparł Sójka. – Jeszcze nie wytrzeźwiał. Ale na dole czeka na ciebie jakaś baba.

– Jaka baba?

– Nie wiem jaka, mówi, że po nagrodę. Za wejście do Bani. Ni w chuj, ni w oko jej nie wierzę, jeśli spytasz mnie o zdanie.

Schenk westchnął. Odkąd zainstalowali się w Schweinfurcie i ogłosili kilkadziesiąt marek nagrody za każdą informację, która może być pomocna w przekroczeniu magicznej bariery, rozmawiał już z setką szarlatanów, psychopatów, bazarzy i zwykłych oszustów, którzy namiętnie próbowali go przekonać, że znają tajny tunel do wnętrza Bani albo że potrafią do niej wlecieć na magicznych skrzydłach. Dopiero gdy podwładni Schenka połamali kilku z nich palce, wariatów

zrobiło się mniej. Ale nadal się trafiali. Sprawdzanie takich tropów, niestety, należało do jego obowiązków.

Nie mając innego wyjścia, zszedł do szynku i poprosił karczmarza, żeby wskazał mu rzeczoną babę. Siedziała o suchym pysku przy jednym z mniejszych stołów i rozglądała się trwożliwie po wesołej cizbie najemników, żołnierzy, bandytów i żaków, którzy uznali, że w obecnych okolicznościach uniwersytet nie jest najlepszym pomysłem na życie. Schenk przyjrzał się jej uważnie. Koło czterdziestki, w ubogiej, brudnej koszulinie i postrzępionej spódnicy, wyraźnie wystraszona, nie budziła niczyjej uwagi – choć wyłącznie dlatego, że Sójka dał zgromadzonym do zrozumienia, że to gościni. W przeciwnym razie weseli żołdacy szybko by się nią zainteresowali.

Schenk podszedł do jej stolika. Spojrzała na niego tępawym wzrokiem.

– No dobra, czego chcesz? – rzucił niecierpliwie.

Baba zerwała się z krzesła i wygładziła spódnicę.

– Waść jest wielmożnym panem Schenkiem? Proszę wybaczenia...

– Dobra, dobra. – Przysiadł się do stolika. – Siadaj i mów, z czym przychodzisz.

Kobiecinnie chwilę zajęło zebranie myśli i znalezienie języka w gębie. Najemnik czekał cierpliwie, starając się jej nie peszyć, bo nauczony doświadczeniem wiedział, że z onieśmiałonej baby nie wydobędzie nic przez następną godzinę.

– Noo too... – zaczęła przeciągle. – Ja po nagrodę. Pół halerza, co żołnierze rozgłaszali, że jest.

– Powoli. Nagroda jest dla tego, kto ma informacje o Bani. Jak nie masz informacji, gównu dostaniesz – warknęła.

– Noo! O Bani, tak. Ale nagrodę bym chciała z góry.

Schenk zaczął wstawać. Ostatnia rzecz, na którą miał ochotę, to durne, łapczywe babsko próbujące go oszukać.

– Nie! – Uwiesiła mu się u rękawa. – Już mówię! Ja przyjechała spod Alitzheim, z lasu Horenauer. Bo u nas we wsi jest Bolko, co po kawałku do Bani wszedł. No to stary mówi: „Jedź, kobito, do Schweinfurtu...”.

– Jak to: po kawałku wszedł do Bani?

– No, jak Bania stanęła, to Bolko był u siebie we chacie. No i go przedzieliło, tak że jest trochę tam, a trochę tu...

– I co?

– No i umarł, jak amen w pacierzu. Ale do dzisiaj tam leży w łóżku przepołowiony, no to mówi stary: „Jedź, kobito, do Schweinfurtu, bo w ogłoszeniu stało jak wół: jak kto ma informacje, że ktoś do Bani wszedł, niech się pilno zgłasza, a przecież Bolko wszedł, ino po kawałku...”.

Schenk się zamyślił. Historyjka brzmiała dość absurdalnie, ale nie bardziej absurdalnie niż wiele innych, które słyszał przez ostatnie pół roku. Jeżeli babsko nie kłamało, to coś nowego – żadnego Bolka przepołowionego barierą wcześniej nie widzieli. Nie chciało mu się co prawda jeździć po jakichś obsranych wiochach, ale zawsze to jakiś sposób, żeby opóźnić spotkanie ze znieawidzonym przełożonym. Możliwe, że Mylius był kiedyś jednym z lepszych alchemików w Europie, ale utrata wzroku zupełnie go złamała. Zaczął nadużywać alkoholu, do tego stał się zgorzkniały, wredny i często uciekał się do przemocy. Najemnicy nie znosili go z wzajemnością. Schenka w ogóle nie dziwiło, że Wilhelm skazał nieprzydatnego dłużej maga na poniewierkę po zadupiacach.

– Dobra. – Chrząknął. – Daleko to?

– Ni, ćwierć słonka drogą.

– Piechotą?

– Iście, a jak.

– Dobra – powtórzył. – Pojedziesz z nami. Czekał tu na mnie i się nie ruszaj.

– A nagroda?

– Masz feniga. – Podał jej monetę. – Reszta, jeśli cokolwiek z tego, co powiedziałaś, jest prawdą. – I nie oglądając się już na babę zagryzającą pieniądz, wrócił na piętro.

Lorentz nadal siedział przy kominku.

– Sójka, zbieraj się. Weź dwóch ludzi i jedziemy z tą babą, może mieć coś ciekawego. Opowiem ci po drodze.

– A Mylius?

– Nie ucieknie.

Co prawda Bolko też raczej nie – pomyślał Schenk – ale zawsze to kilka godzin spokoju więcej.

Pół godziny później w czterech chłopa minęli opłotki Schweinfurtu. Schenk wciąż miał swoją wspaniałą klacz, zdobytą na dominikanach, którą nazwał dość pretensjonalnie Burzą. Nie przywiązywał się do zwierząt, ale klacz ze strzałką stała mu się przyjaciółką. W czasie jazdy często gładził ją po grzywie i poklepywał po szyi.

Babę – miała na imię Inga – wsadzili na osła, który jednak nie spowalniał ich za bardzo. Było wcześniej i nie musieli się śpieszyć, więc jechali stępa, zwłaszcza że pogoda sprzyjała. Droga prowadziła przez uroczą okolicę pełną pól uprawnych, na których wrzały ostatnie jesienne prace. W ciepłym październikowym słońcu snuło się babie lato i osiadało koniom na grzywach. Mijane tu i ówdzie kępy drzew usłane były wielobarwnymi liśćmi, dopełniając sielankowego krajobrazu centralnych Niemiec. I tylko srebrzystobłękitna powierzchnia Bani, nieustannie skrzęca się w słońcu, psuła ten piękny krajobraz.

Raptem po godzinie jazdy wjechali do lasu. Bania zniknęła, przesłonięta drzewami i Schenk przez chwilę upajał się naturą, chociaż daleko mu było do poetyckich porywów. Nie potrafił wszak oprzeć się szumowi opadających liści, zapachowi wilgotnych buków i trzaskaniu żołądki pod końskimi kopytami.

– Za spokojnie. Coś się dzisiaj stanie. – Z zamyślenia wyrwał go głos Sójki Lorentza.

Nie skomentował.

Minęło popołudnie, gdy wjechali do wsi Ingi. Okazało się, że poprowadziła ich boczną, mniej uczęszczaną i szybszą drogą przez las, ponieważ główna była – jak na tę porę roku i godzinę – nienaturalnie zatłoczona. Ciągnęli nią okoliczni chłopci, na furmankach i pieszo, rozdeptując suchy, jeszcze niezmoczonej jesiennymi opadami grunt. Jak się okazało, wszyscy wybierali się do chaty Bolka.

Znajdująca się na sporej polanie wieś w istocie została rozdzielona na pół zarysem Bani. Po drugiej stronie stały dwie chaty, na zewnątrz zaś – pięć, w tym przepołowione srebrzystą barierą sioło nieszczęśnika, przed którym na sosnowym pieńku stał chłop ubrany w ozdobną sukmanę i żołnierską czapę, najwyraźniej zdobytą gdzieś na szabrze.

– Ludzie, ludzie! – darł się wniebogłosey. – Ino raz w życiu mata taką gratkę! Jedyny człek rozpołowion magiczną ścianą! Biedny Bolko ducha oddał ku waszej uciezce, więc nie żydźcie, fenig od osoby! Ino raz w życiu gratka! Nie pchać się, jedyny człek rozpołowion! Baby z dziećmi taniej! Zapraszamy, zapraszamy!

Gdy podjechali bliżej, zobaczyli, że między tłoczącymi się pod chatą kilkunastoma chłopami stoi młody chłopak, prawdopodobnie syn samozwańczego impresaria, zbierający opłatę za wejście. W drzwiach co chwila zderzali się podekscytowani wchodzący z raczej rozczarowanymi wychodzącymi.

– Co to za cham? – zapytał Sójka Ingi, przekrzykując gwar i wskazując na chłopca na pieńku.

– A to Kai, mój szurzy, brat Bolka. Zaczął tak dopiero niedawno, jak pieniądz zwęszył, bo on, panie, pies na grosz złamany... On mnie przecież do was po nagrodę posłał...

– Dobra, nieciekawym – przerwał jej bezceremonialnie Sójka.

Zlustrował tłumek czujnym okiem i od razu zrezygnował z próby przepchania się po dobroci. Wyciągnął pistolet z olstra i wystrzelił w powietrze. Suchy trzask przetoczył się po polanie, płosząc ptaki z drzew. Chłopci natychmiast zamilkli i odwrócili się jak na komendę, skupiając całą uwagę na najemnikach.

– Fora stąd! – wrzasnął Sójka, dzierżąc dymiący pistolet. – Bo końmi powlokę!

Nie trzeba było powtarzać. Dzieciak razem z pieniędzmi ulotnił się jak sen złoty, a towarzystwo ponuro spojrzało po sobie i odstąpiło od chaty, rozchodząc się w różne strony. Szemrzących pod nosem Schenk uspokajał ostrym spojrzeniem. To wystarczało, aby chamstwo wlepiło gały w palce u stóp.

Najemnicy zeskoczyli z koni i podeszli do mężczyzny, którego baba nazwała Kaiem. On jeden został przy drzwiach chaty, krzyżując ręce na piersi.

– No, wielmożni panowie, jeżeli chcecie zobaczyć dziwowisko, to trza zapłacić! – zawołał bezczelnie.

W odpowiedzi Schenk błyskawicznym ruchem wykopał mu sosnowy pieńek spod nóg. Chłop głucho krzyknął, poleciał na ziemię i uderzył głową o stojącą pod chatą ławę. Młody najemnik podszedł do niego, chwycił za utyłlane kurzem fraki i podniósł. Dzieciak z pieniędzmi ulotnił się jak sen złoty. Cham rozcierał sobie guza knykциями. Wielkie wąsiska poruszały się miarowo w rytm cichych przekleństw.

– Ała, kurwa, rzeczywiście – rzucił wściekły. – Wielmoże nie dadzą zarobić prostemu chłopu! Dyjta mi spokój, nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

– Morda, chamie – uciszył go Lorentz, po czym polecił żołnierzom: – Pilnujcie go.

Schenk, nie zaszczyciwszy krzykacza żadnym więcej spojrzeniem, wszedł razem z Sójką do chaty. Po chwili ich oczy przywykły do panującego we wnętrzu półmroku, nieco rozświetlanego przez blask przechodzącej przez sam środek pomieszczenia bariery. Przecięła ona na pół ściany, dach, meble – i ich właściciela, którego szkielet leżał na ławie na przegniłym, słomianym materacu, cuchnącym tak bardzo, że sytuację ratowały tylko otwarte na przestrzał okna. Od ławy do wschodniego okna sunął nieprzerwanym strumieniem ciąg wielkich, rudych mrówek, najwyraźniej żerujących wciąż na resztkach trupa.

Schenk podszedł bliżej i krzywiąc się z obrzydzeniem, zajrzał przez srebrzystą ścianę. Po drugiej stronie przecięty w poprzek trup rozkładał się znacznie wolniej, pozbawiony naturalnego czynnika oczyszczającego w postaci owadów. Przypominał bezkształtną breję. Najemnik wiedział, że zwłoki w tym stanie śmierdzą tak bardzo, że nikt nie zdołałby wytrzymać z nimi w jednym pomieszczeniu – przez barierę nie czuł jednak nic. Włożył rękawicę i spróbował podnieść kość, która częściowo utknęła w Bani. Tak jak się spodziewał, ani drgnęła. Znał już to zjawisko z przeciętych drzew, gałęzi i innych obiektów, które utykały w magicznej ścianie na amen. Jeszcze raz uważnie się rozejrzał, wymienił znaczące spojrzenie z Sójką, po czym wyszli z chaty.

– Przyszło ci do głowy, skurwysynu – odezwał się do trzymanego przez dwóch Hesów chłopca – że wypadaloby brata pochować?

– Ano, panie, przyszło, ino... Najpierw, jak Bania się pojawiła, to myśmy wszyscy uciekli ze strachu. Jak wróciliśmy, to Bolko już tak śmierdział, że nie dało się do środka wejść... A potem go zaczęły mrówki żreć. A potem, jakeśmy zawezwali pastora, to rzekł, że chować nie lza, bo jak pochowamy połowę, to Bóg połowy na łono nie przyjmie... I kazał chatę spalić. No to ja żem pomyślał, skoro już tak leży, to co się ma marnować...

– I na trupie rodzzonego brata zrobiłeś interes. – Schenk pokręcił głową, zdejmując rękawice. W gruncie rzeczy niewiele go to obchodziło. – Coś innego związanego z Banią widziałeś? Jakieś czary, dziwy, gusa? Ludzi?

Chłop pokręcił głową.

Schenk skinął na jednego z żołnierzy.

– Niech ten przyglup pokaże ci swoją chatę, przeszukaj ją, a potem wypytaj pozostałych, czy nie widzieli nic ciekawego. A ty go pilnuj – dorzucił w stronę drugiego.

W czasie rozmowy Sójka to się jej przysłuchiwał, to ciekawie zerkał do środka chaty. Kiedy żołnierze z Kaiem się oddalili, zapytał:

– Ty, Schenk, jak on zmarł właściwie?

Młody najemnik się zamyślił.

– Cholera wie. Człowiek przecięty na pół się wykrwawia, ale on...

– ...nie krwawił – dokończył Sójka. – Więc jak, z głodu?

– A może nie mógł się wysrać?

– Raczej krew mu się zatrzymała w żyłach.

– Ale płyny przechodzą przez barierę.

– Cholera, rzeczywiście. No, to nie wiem. Ale to musiała być parszywa śmierć, aż mi szkoda kmięcia.

Schenk wzruszył ramionami. Los chłopów był mu w zasadzie całkowicie obojętny, zwłaszcza od czasu, kiedy za sprawą Wilhelma Heskiego zauważalnie awansował w hierarchii społecznej. Rozejrzał się po polanie i zwrócił uwagę na niewielką rzeczkę, która płynęła po drugiej stronie drogi.

– Idę się odlać – rzucił do Sójki i ruszył w jej kierunku.

Rzeczka była niewielka, ale wyraźnie wylewała co jakiś czas, bo trakt od jej strony okazał się o wiele wilgotniejszy, miejscami błotnisty. Najemnik ostrożnie przekroczył bardziej mokre miejsca, żeby nie uwalcać sobie butów, i odruchowo ominął ślady kilku podkutych koni. W końcu stanął nad rzeczka tuż przy krawędzi Bani.

Chamy nic nie wiedzą, pomyślał, sikając do wody i patrząc, jak nurt zabiera żółtawą ciecz w głąb magicznego bąbla. Uznał, że niepotrzebnie tu przyjeżdżali i że nic więcej babie nie zapłaci, bo też i nic się nie dowiedział. Wtem od stóp do głów przeszedł go dreszcz.

Ominął właśnie ślady podkutych koni. Na drodze, która prowadziła tylko do Bani.

Odwrócił się tak szybko, że aż się obsikał. Klnąc, schował fiuta i przypadł do ziemi tam, gdzie wypatrzył odbite podkowy. Były. Przyjrzał się uważnie błotu na granicy z krawędzią Bani, wznoszącą się nad nim niebotycznym masywem. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie traci zdrowych zmysłów: trop ewidentnie biegł ze środka. Po drugiej

stronie dostrzegł ślady tych samych podków, pozostałość po końskim kroku, który zaczął się tam, a ciągnął się tu.

Opanowało go podniecenie wymieszane z zimną furią. Kilkoma szybkimi krokami wrócił do chłopca pilnowanego przez heskiego muszkietera i z rozpędu strzelił go w pysk, aż zatrzeszczało.

– Nic ciekawego nie widziałeś, pierdolona hołoto? – wyszczał, po czym chwycił chama za włosy i brutalnie zawłókł w stronę śladów. Rzucił nim w błoto. – A te ślady, obok twojej, kurwa, chaty, to nic ciekawego według ciebie? Czyj to trop, skurwysynu?

– Panie! – zawył kmieć. – Ja nic nie wiem! Przysięgam!

Schenk już chciał wymacać w kieszeni złotą monetę, ale czysta złośliwość połączona z niechęcią do niższych stanów wzięła w nim górę. Poza tym tradycyjne metody często były skuteczniejsze. Kopnął prostaka w żebra i skinął na podkomendnych. Rozłożyli go w błocie i przydeptali mu rękę.

– Palce w kurek – zakomenderował najemnik.

Jeden z heskich żołdaków spokojnie zaczął wykręcać krzesiwo z kurka swojego pistoletu. Chłop patrzył na to przerażonym wzrokiem, belkocząc coś pod nosem. Zrozumiał, co się dzieje, dopiero gdy żołnierz przyklęknął i włożył jego palec wskazujący w żelazne imadło mechanizmu.

– Będziesz gadał? – zapytał Hes.

– Panieeee! Ale ja...

Żołnierz dokręcił śrubę. Rozległ się makabryczny chrzęst miażdżonej kości i skowyt chłopca. Torturowany szarpnął się tak, że Schenk z drugim żołdakiem ledwo ustali na jego rękach. Sójka obojętnie patrzył na to z boku. Oprawca wykręcił zakrwawioną śrubę z kmiecego palca i nie zważając na paniczne ruchy dłoni, usiłującej uniknąć kolejnych tortur, spokojnie wkręcił w mechanizm kolejną opuszkę.

– No to? Czyje to ślady?

Chłop powiódł oszalałym wzrokiem po twarzach żołnierzy, zabalgotał jak zarzynany indyk. Hes przykręcił chwyt. Tym razem

szarpnięcie było słabsze, a z oczu Kaia trysnęły łzy. Zaczął szlochać.

Gdy włożono w kurek trzeci palec, zawył w końcu:

– Powiem, powiem! Litościii!

Pozwolili mu usiąść. Kai chlipał, ubłocony, zasmarkany, tuląc pokaleczoną rękę do ciała.

– No? Gadaj, bo znowu stracimy cierpliwość.

Chłop spojrział w ziemię.

– To... ci ze środka – wykrztusił w końcu. – Rycerze.

– Konkretniej, chamie – fuknął Sójka. – Jacy rycerze, ilu ich było, gdzie jechali i czemu nie powiedziałaś nam o nich od razu?

– Nie wiem jacy, ichni, co ja, herbowy pan, aby odróżnić? Trzech tym razem.

– Tym razem? Czyli jeździli tędy wcześniej?

– Ano jeździli.

– Ilu?

– A różnicie, raz w pojedynkę, a raz w tuzin chłopów. Czasem na koniach, czasem pieszo.

– Jak wyglądali?

– A jak mieli wyglądać? Jako i panowie, przy broni wszyscy, czasem w zbrojach. W drogę im nie wchodziliśmy, a oni nam.

– To dlaczego to durne babsko – Schenk machnął dłonią w stronę reszty chat – ciągnęło nas tutaj do jakiegoś Bolka, skoro można było tak od razu?

Chłop milczał. Najemnik skinął głową, żołnierze sięgnęli po jego dłoń, ale nie okazało się to potrzebne.

– Dobrze, dobrze, ino nie krzywdźcie! Płacili! Żebyśmy nie mówili nikomu.

– Czyli ty, chuju złamany, nachapałeś się najpierw na kościach swojego brata, potem na forsie od tych całych rycerzy, a teraz jeszcze po naszą nagrodę babę wysłałeś? Za taki łeb do interesów powinienem cię w tym bajorze utopić.

– Nie, panie, pomilujcie!

– Czym płacili? Pokaż!

Kai zaprowadził ich do swojej chaty, gdzie z uwagi na rosnącą kooperatywność przesłuchiwanego pozwolili mu otrzepać się z błota i łyknąć okowity, najlepszego środka przeciwbólowego. Pokazał im pieniądze: kilkanaście zwykłych talarów z herbami biskupstw i wolnych miast, parę meklemburskich, heskich, kilka habsburskich – normalna waluta, poza tym, że jak na chłopskie standardy była to fortuna.

– Idźcie wypytać resztę – zakomenderował Schenk.

Z indagacji całej wioski, przeprowadzonej pod groźbą puszczenia chałup z dymem, wynikało, że tajemniczy „rycerze” byli zwykłymi żołdakami, czasem faktycznie herbowymi, czasami nie. Zjawili się podobno parę tygodni po powstaniu Bani i zaoferowali szczerą zapłatę za trzymanie pyska.

– Nie wiedziałem w życiu tak dobrze opłaconych i lojalnych kmieci – meldował Sójka. – Posiekać by się dali, żeby tylko nie chlapanąć ani słowem. Gdyby nie łączliwość tego tutaj, w życiu by nic nie rzekli. Komuś bardzo zależało, żeby to zostało tajemnicą.

– I ktoś tu zupełnie nie dba o kasę – dodał Schenk.

– Nie rozumiem natomiast, czemu akurat tutaj, przy ludziach, których trzeba zastraszyć albo opłacić? Łatwiej i prościej byłoby przejeżdżać granicę gdzieś głęboko w lesie...

„Rycerze” pojawiali się w nieregularnych odstępach, wyjeżdżali z Bani, płacili, po czym odjeżdżali w różne strony. Czasem wracali, czasem wracała tylko część, a niekiedy nie pojawiali się nigdy więcej. Niczego ponadto nie udało się z chłopów wyciągnąć.

– A tym razem? Ilu ich było?

– Podobno trzech. Ślady wskazują na to samo. Pojechali na wschód, w stronę Bambergu. Co robimy?

– Szykujcie konie.

Schenk spojrział na zapłakanego kmiecia siedzącego w kącie chaty. Najchętniej odstawiłby go do Schweinfurtu na dalsze przesłuchanie, choćby z czystej złośliwości, ale jeśli tamtych było trzech, nie mógł odesłać żadnego z podkomendnych.

- Ciesz się, śmieciu, że nie mamy czasu się tobą zająć - warknął. - A pieniądze zabieramy, niech to będzie nauczka dla ciebie. - Splunął chłopu pod nogi.

Kai albo się bał, albo nie uznał za stosowne tego skomentować. Powiedział tylko za najemnikiem nienawistnym spojrzeniem, tuląc rękę do piersi.

Gdy Schenk wyszedł z chaty, konie już czekały.

- Dobra, chłopaki - zwrócił się do dwóch swoich żołnierzy. - Jeśli myśleliście, że wróćcie na pochędóżkę i kolację, to się grubo myliliście. Idziemy łowić.

Wskoczyli na grzbiety.

- Idziemy rysią, po prawej stronie drogi. Trop jest wyraźny, ale jeśli w końcu lunie, to ich zgubimy. Miejcie oczy otwarte, cholera wie, kogo właściwie ścigamy. Jasne? No, to wio!

Rozdział III

Nad panoramą ogromnego miasta, między zarysami wieżyc, dachów i wykuszy, złota iskra słońca przebijała festony bladych róż, pastelowych pomarańczy i wczesnych, prawie białych błękitów, które w mroźnym, sztywnym powietrzu październikowego poranka wydawały się śmigać po ziemi jak ryby rozpierschające się od uderzenia wiosła w wodzie. Dominik Erquicia, otulony szczelnie płaszczem, siedział na derce między drzewami i napawał się tym widokiem.

Wiedział, że niedługo obudzi się jego towarzysz i trzeba będzie ruszyć w dalszą drogę. Żeby być precyzyjnym – w jej ostatni odcinek, ponieważ wszystko wskazywało na to, że w Amsterdamie skończy się ich odyseja śladem zaginionej dziewczyny z południowych Niemiec. Tego dnia musieli przejechać jeszcze dobre kilkanaście kilometrów, ponieważ aż do samej Stolicy Kupców nie było już gdzie się zatrzymać – wszystkie okoliczne lasy i zagajniki dawno wykarczowano, ich pnie zaś pożarły żarłoczne stocznie, aby wypuścić na Morze Północne fluty, galeony, korwety, fregaty i liniowce, którymi heretycy zalali świat. Obejrzał się niespokojnie na śpiącego brata i przyjrzał mu się, zmęczony. Nie tylko długą podróżą, nie tylko dwoma miesiącami na ziemiach protestantów, gdzie demaskacja mogła oznaczać lincz i zawiśnięcie na najbliższej gałęzi, ale przede wszystkim kłopotliwym towarzystwem. Przetarł oczy i przypomniał sobie ich wczorajszą rozmowę.

– Jutro po południu dotrzemy do Amsterdamu – powiedział mu wtedy.

– Już? – zdziwił się tamten. – Przecież dzisiaj przekroczyliśmy granicę!

Dominik uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Kiedy trwało oblężenie Bredy, łuny płonących domów dało się zobaczyć w Hadze - rzekł. - Niderlandy to małe państewko, chociaż wielkie duchem.

Takich dialogów przeprowadzili w ciągu ostatnich miesięcy wiele, bardzo wiele. Może za wiele. Tak, brat Albert mało wiedział o świecie, po którym chodził. Jednocześnie cechowały go wytrwały, systematyczny, cierpliwy fanatyzm i idealizm, a ten ostatni wcale nie ułatwiał mu zrozumienia tego, co widział. Już tylko to wystarczało, żeby rozdrażnić Erquicię.

Nie w tym jednak tkwiła istota problemu. Kiedy w Moguncji słuchał bladego, szczupłego blond młodziana przekazującego rozkazy nowego generała zakonu, brata Eugena, od razu wyczuł pismo nosem.

- Naszym, moim i brata, zadaniem - mówił wtedy Albert z akcentem wyraźnie trącącym francuszczyzną, podczas gdy za oknem klasztoru ptaki ćwierkały wiosenne trele - będzie wyśledzenie, dokąd udała się Katarzyna von Besserer, której nie udało się... odnaleźć w zeszłym roku. Mam towarzyszyć bratu na każdym kroku i robić wszystko, co uznam za stosowne, żeby bratu pomóc w wykonaniu zadania.

Młodzieniec - może wskutek braku doświadczenia - dosłownie powtórzył to, co powiedział mu Tilenheim, zapewne z wyłączeniem tego, czego wyraźnie kazano mu nie powtarzać. Erquicia nie miał jednak problemów z odczytaniem komunikatu. Równie dobrze mógłby dostać list. „Spróbujesz teraz posprzątać burdel, którego narobiłem - przekazywał mu generał zakonu - a jeśli przy tym bekniesz, nie będzie mnie to nic obchodzić, wprost przeciwnie. W załączeniu przesyłam tego oto szpicla, który jest tak niedoświadczony, że nie wie nawet, że jest szpiclem”.

I faktycznie, jak szybko się okazało, Albert był nazbyt gorliwy w pomaganiu, zbyt natarciwy w swojej nieustannej obecności, za bardzo zainteresowany wszystkim, co robili - i najwyraźniej przekonany, że na tym właśnie polega rola szpiega. Innymi słowy, kamień u nogi, zwłaszcza w śledztwie. Jednocześnie Erquicia nie mógł

się przyznać do wiedzy na temat funkcji Alberta, ponieważ narobiłby mu kłopotów. To nie wina kleryka, że Hiszpan nagrał sobie u człowieka, który przypadkiem został generałem zakonu. Nie zmieniało to jednak stanu rzeczy: towarzysz drażnił go i irytował, stanowiąc nie tylko przeszkodę w działaniu, ale przede wszystkim nieustający wyrzut sumienia, przypominający dominikaninowi, że według przełożonych nie zasługuje na zaufanie.

Niewiele wiedzieli na początku swojej drogi. Tilenheim ostatni raz dziewczynę widział w Gemünden, Erquicia – pod Herbstein. Podała mu wtedy kierunek, w którym zmierzała, wskazówka jednak najzwyczajniej wypadła Dominikowi z pamięci, bo miał zupełnie co innego na głowie. Postanowili więc zacząć od miejsca, w którym cała historia się zaczęła, i z nastaniem kwietnia udali się do Thalfingen.

Wizyta w rodowym zamku Katarzyny, Oberthalfingen, zrobiła na dominikaninie upiorne wrażenie. Większość okolicznej ludności nie zbliżała się do ruiny, przekonana, że miejsce jest przekłete, więc poza dawno pochowanymi trupami wszystkie ślady walki były wciąż obecne. Spalone stajnie i obejście, zniszczone komnaty, połamane sprzęty, osmalone ściany i leżące tu i ówdzie drobiazgi, które przegapili szabrownicy: ładownica, fajka, żółta sakiewka ze szczyptą siarki, fragment poszarpanej opończy z czarnym krzyżem. Ponieważ na miejsce przyjechali popołudniem, zaliczyli dość nieprzyjemny nocleg na opustoszałym dziedzińcu, a rano dokładnie przeszukali zameczek. Nie znaleźli nic ciekawego, również w pokoju, który – jak przypuszczali – należał do ich celu.

Porwane zasłony, zniszczony parawan. Niezłej, ale nie najwyższej jakości łóżko z baldachimem, częściowo pociętym przez kogoś, kto potrzebował materiału. W kącie kilka zmiętych, prostych sukien z wełny – lepsze najwyraźniej znalazły nowe właścicielki. Na jednej, jedynej półce leżały książki. Na niej i dokoła niej, ponieważ ktoś w akcie bezrozumnej złośliwości podarł je na strzępy. Erquicia wygrzebał z papierów okładki.

– *Aleksandreida, Statek głupców*, anonimowe ballady i ilustrowany przewodnik po zwierzętach domowych, wszystko w niemieckich wydaniach. No, wiele to się dziewczyna o świecie nie dowiedziała z tych książek.

– Była piśmienna? Skąd brat wie?

– Nie wiem. – Dominik wzruszył ramionami. – Ale z jakiego innego powodu miałyby trzymać książki? Zobacz, strony są poplamione w rogach, to nie jest ozdoba, te śmieci rzeczywiście ktoś czytał. Z tego, co wiem, jej ojciec nie miał raczej intelektualnych zainteresowań.

– Ale po co ktoś uczył kobietę czytać? – zapytał zdumiony Albert, kręcąc głową.

Hiszpan spojrział uważnie na swojego towarzysza. W młodych, błękitnych oczach pod grzywką barwy pszenicy dostrzegł autentyczne pomieszanie.

– Wbrew pozorom wiele kobiet potrafi czytać. Zwłaszcza wysoko postawionych. Czasem robią to dla przyjemności, czasem jest im to z jakiegoś powodu potrzebne. Kto wie, może kiedyś wszystkie będą umiały?

– Ale... czy w takim razie, skoro protestanci tłumaczą Pismo Święte na ostatnie języki, czy to oznacza, że czytają je też kobiety? – Młody dominikanin aż zadrżał na tę myśl.

– Nie jest to wykluczone. Ale nie martw się, bracie. Jeśli wystawiają w ten sposób swoją wiekującą duszę na szwank, to ich problem, nie nasz. Poza tym, z tego, co widziałem w twoim sakwojażu, jesteś fanem romansu, proponuję więc rozliczanie bliźnich z lektur zacząć od siebie.

Na to Albert mógł tylko zaczerwienić się jak piwonია. Erquicii nie umknęło jednak, że parę dni później francuski egzemplarz *Tristana*, który młodziak woził ze sobą i podczytywał, kiedy sądził, że jego starszy towarzysz nie patrzy, zniknął.

Pierwszym, dość naturalnym działaniem, jakie podjęli, było udanie się do Ülmu, do katolickiej linii Bessererów. Hrabia Ulfryk, bardziej rentier i bankier niż szlachcic, podjął ich co prawda uprzejmie

i z honorami, ale stanowczo poinformował, że nie ma pojęcia, co stało się z jego szaloną kuzynką i jej ojcem-heretykiem, a także, że nie ma ochoty mieć z rzeczonymi absolutnie nic wspólnego. W trakcie rozmowy zdradzał oznaki strachu wymieszanego z niepokojem. Tę część Wirtembergii wciąż okupowali Habsburgowie i nic nie wskazywało na to, żeby cokolwiek miało się w tym zakresie zmienić.

Po opuszczeniu miasta nie było łatwo wpaść na trop Katarzyny. Dwumiesięczne próby jego odnalezienia zakończyły się porażką, a mieszkańcy okolicznych miejscowości nie mieli dla nich ani serca, ani cierpliwości – nie powiedziano im tego wprost, ale jasne było, że ludność tego rejonu sympatyzuje z luteranami. Nie pozostało więc nic innego, jak przeczesać cały obszar na północ od Ŭlm, co zajęło ponad miesiąc. Odwiedzili w tym czasie każde miasto i miasteczko w promieniu pięćdziesięciu kilometrów od zamku, rozmawiając z ludźmi, wypytyując w gospodach i zajazdach, zaglądając do kościołów i szlacheckich dworów. Szukali w Merklingen, Nellingen, Amstetten, Lonsee, Weidenstetten, Altheim, Herbrechtingen, Giengen, Gundenfilgen, Langenau, Bernstadt i dziesiątkach kolejnych osad, zanim w lasach Sontheim natrafili na trop. Napotkany wędrowny obraznik opowiedział im, że ponoć w Nördlingen jest przewodnik, który w środku wojny pojechał z niedoroślą pannicą na drugi koniec Niemiec i wrócił.

Gdy dotarli do Nördlingen, zatrzymali się na noc w średniej jakości gospodzie. Akurat jedli śniadanie, kiedy do szynku wpadł obszarpany kurier, drąc się wniebogłosy:

– Ludzie! Boży gniew zesłań! Ansbach odcięty! Würzburg odcięty! Koniec świata!

Gdy posłańca oblegli ciekawscy, szybko stało się jasne, że chłopak widział coś bardzo dziwnego, czego zarazem nie umiał w żaden sposób opisać: mówił coś o błyszczącej ścianie, o wielkim bąblu, słowem, nie dało się z jego gadaniny zrozumieć nic konkretnego. Dominik i Albert,

wiedzeni ciekawością, pociągnęli razem z kolumną gapiów do granicy biskupstwa i wtedy po raz pierwszy zobaczyli Banię.

Erquicia od razu zrozumiał, że zjawisko, na które patrzy, jest magiczne. Ze wzgórza, na którym stanęli, mógł objąć wzrokiem ogrom struktury, która pojawiła się nagle w Niemczech. Gigantyczna, opalizująca bladym światłem bańka przytłaczała swoją potęgą, a jednocześnie kusiła tajemnicą: doświadczony już w zakresie zjawisk boskiego autoramentu zakonnik nigdy nie widział nic, co przypominałoby choćby w zarysie ten fenomen. Albert patrzył na powierzchnię bariery wielkimi oczami.

Przy drodze do Würzburga, niknącej w półprzezroczystej, srebrzystej ścianie, zdążył się już rozbić obóz gapiów i wagabundów, uznających tak spektakularne zjawisko za doskonały pretekst do zrobienia czegoś głupiego – i różnie motywowanego. Podróżnicy udali się tam, aby zasięgnąć języka. Między namiotami i wozami kręciło się kilkudziesięcioro ludzi, paliło się kilka ognisk, paru obwoźnych handlarzy zdążyło rozbić swoje przenośne stragany, przy których usiłowali wcisnąć każdemu, kto podchodził, „artefakty”, pochodzące rzekomo z wnętrza Bani (bo zdążono już wymyślić tę improwizowaną nazwę), a będące w istocie śmieciami znalezionymi prawdopodobnie na strychu jakiegoś zrujnowanego dworu. Uwaga większości osób skupiała się jednak tam, gdzie przy samej barierze podejmowano różnorakie próby przebicia się przez nią.

Kiedy podjechali, wzbudzając lekką sensację doskonale odżywionymi końmi, ktoś akurat szykował się do próby przebicia magicznego muru. Był to ogromny, mierzący na oko sześć łokci męczyzna w lamelkowej zbroi; prawdopodobnie lokalny zabijaka.

– Jam jest Hans Grubenger! – darł się do zgromadzonej cizby, wiwatującej w odpowiedzi. – Przebiję się przez to gówno własnym łbem! Dajcie mi gorzały!

Tłum się roześmiał, ktoś poklepał strojącego groźne miny wielkoluda po ramieniu, ktoś usłużnie podał mu butlę okowity.

Grubenberger pociągnął tęgiego łyka, ustawił się przodem do bariery i ruszył na nią biegiem. Z całym rozpędem uderzył o błyszczącą ścianę, aż zabrzęczało żelastwo, które nosił na sobie. Uderzenie odrzuciło go do tyłu z taką mocą, że się przewrócił. Widownia zarżała ze śmiechu.

– Kurrwra! – Chłopisko otrząsnęło się, wstając. – Dawajcie miecz!

Podano mu ogromny, półtoraręczny flamberg. Zamachnął się z całej siły i uderzył w barierę. Ostrze nie wydało żadnego dźwięku, ale ześliznęło się po niej, jakby trafiło w czystą stal. Kilka kolejnych ciosów skończyło się tak samo, aż głównia się wyszczerbiła. Zauważywszy to, olbrzym zaczął kłać jeszcze bardziej, przebijając głębokim głosem śmiechy zgromadzonej ciżby.

– No do chuja!

– Armaty! Armaty tu trza! – zawołał ktoś z tłumu.

– Albo katapuły!

– Albo papieża!

Wieśniacy umierali ze śmiechu. Grubenberger bezsilnie uderzył kulakiem w ścianę i splunął na ziemię ze zniesmaczonym wyrazem twarzy. Nagle, zupełnie niespodziewanie, głośno odezwał się Albert:

– Niepotrzebnie się trudzisz, rycerzu. Widać od razu, że ta ściana to szatańska sprawa.

Erquicia spiorunował towarzysza wzrokiem.

– A waść to kto? Może ty spróbujesz, chłystku? – odezwał się natychmiast ktoś z tłumu.

Rozległy się zachęcające okrzyki, paru chłopów podeszło do nich. Jeden chwycił konia zakonnika za uzdę.

– Mój towarzysz nie miał nic złego na myśli – odezwał się Erquicia, zachowując zimną krew. – Chciał tylko zauważyć, że imć Grubenberger nie potrzebuje już więcej powodów do sławy, bo wieść o jego wyczynach bieży jak świat długi i szeroki. Bywajcie, dobrzy ludzie – zakończył zdecydowanie i równie zdecydowanie spiął konia.

Wyszkolony rumak naparł na natręta, który zaraz puścił tranzelkę. Odwrócili się i odjechali.

Albert zaczerwienił się ze wstydu jak burak. Jasne było, że zrozumiał swój błąd, ale Hiszpan nie powstrzymał się od zgryźliwej uwagi:

- Na przyszłość, bracie... Zwracanie na siebie uwagi w środku rozentuzjzmowanej ciżby rzadko jest dobrym pomysłem, zwłaszcza kiedy podróżuje się incognito.

Przez chwilę jechali w milczeniu. Dopiero po paru minutach Francuz odważył się odezwać:

- Nie powinniśmy... zbadać tego czegoś? Tej... Bani? To chyba oczywiste, że nie jest to zjawisko naturalne...

Nie mógł wiedzieć, że Dominik rozważał to, odkąd zobaczył srebrzystą ścianę. Ale sytuacja, w której Hiszpan się znalazł, stała się dość skomplikowana. Zdawał sobie sprawę z tego, że wysłanie go na poszukiwanie dziewczyny jest rodzajem szykany - istniały ciekawsze i bardziej wymagające zadania, które mógł otrzymać, szczególnie że był jednym z najbardziej doświadczonych i najwcześniej szkolonych w sztuce błogosławieństw dominikanów w zakonie. Tilenheim najwyraźniej nie chciał, żeby Erquicia otrzymał jakąkolwiek prestiżową robotę, czy to z powodu osobistej niechęci, którą ku sobie żywili, czy w ramach przypomnienia, że pokpił sprawę z manuskryptami i bitwą. Jednocześnie nawet wielki generał nie mógł sobie pozwolić na tak bezmyślne marnowanie zasobów ludzkich, a że miał głowę na karku - to pewne. Oznaczało to, że dziewczyna mimo wszystko ma jakieś znaczenie, jak dotąd dla Erquicii niejasne. Zarazem Dominik nadal był winny niesubordynacji. Co prawda obeszło się bez konsekwencji z uwagi na jego niezłą pozycję w hierarchii, ale drugi raz samowola mogła się skończyć źle. Już sama obecność brata Alberta stanowiła jasny sygnał, że jest uważnie obserwowany przez generała, bo nie wątpił, że w chwilach jego nieuwagi młody Francuz wytrwale śle do Rzymu raporty. Zarazem wiedział, że magiczna sfera ściągnie na siebie

uwagę połowy zakonu – jeżeli więc generał zażyczy sobie jego usług, to zawsze będzie można tu wrócić.

I mimo że dręczyła go ciekawość, po rozważeniu tych wszystkich za i przeciw nie pozostało nic innego, jak odpowiedzieć Albertowi:

– Nie takie jest nasze zadanie. Wracamy do Nördlingen.

Po krótkiej podróży powrotnej zaczęli rozpytywać o tajemniczego woźnicę, który rzekomo miał wiedzieć, gdzie znajduje się dziewczyna. Nie mieli jednak szczęścia, gdyż dość szybko odnaleźli ojca rzeczonogo chłopca, nazywanego podobno „Jasnym”. Rodziciel celu poinformował ich, że jego syn parę dni wcześniej odjechał jako przewodnik w trasę do Stuttgartu.

– Jeśli go spotkacie – powiedział za nimi na odchodnym – to powiedzcie temu łamadze, że jak mi Karą ochwaci albo zgubi, to mu nogi z dupy powyrywam!

Porzucili kochającego ojca bez wielkiego żalu, a następnego ranka, chcąc nie chcąc, wkroczyli na gościniec prowadzący w stronę Stuttgartu. Droga przebiegała spokojnie. Wszystkie istotne zgromadzenia wojsk znajdowały się o wiele dalej na północ, Bania zaś, o której wieść rozniosła się w tempie błyskawicy, stała się obiektem tak powszechnego zainteresowania, że dwójka jeźdźców na szlaku nikogo nie interesowała. Uspokojony Erquicia w pewnym momencie przestał pogwizdywać i zapytał młodego:

– Co cię skłoniło, żeby wstąpić do zakonu?

Albert w odpowiedzi ponownie zaczerwienił się jak zachodzące słońce.

– Co, złożyłeś jakieś śluby?

– Nieee, tylko... Eee... Z miłości do Boga... I żeby czynić dobro słowem, nieść posłanie...

– Ehe. Formułki z reguły znam. Pytam na serio.

– A ty?

– Kiedy ja wstępowałem do zakonu – westchnął Erquicia – nikt nie musiał mnie uczyć formułek z reguły, bo już je wykułem na pamięć. Do czasu przekształcenia zakonu moim powołaniem było misjonarstwo.

– Byłeś na misjach? – Albert spojrział na niego wielkimi oczami. – Gdzie?

– W Nipponie, na Filipinach, w Malakce... W wielu miejscach. Lubiłem to. Ale potem wszystko się zmieniło, a Bóg znalazł dla mnie inne zadania. No więc? Jak było z tobą?

– No cóż... – Francuz znów się zakłopotał. – Jestem czwartym synem swojego ojca...

Dominik pokiwał głową ze zrozumieniem. Historia stara jak świat – najmłodszy syn, wiecznie w cieniu starszych braci, z bliskimi zeru szansami na odziedziczenie czegokolwiek, poszukujący jakiegokolwiek powołania, które pozwoli mu zobaczyć chociaż kawałek świata i zrobić coś ze swoim życiem.

– ...a dużo się słyszało na dworze, że dominikanie to teraz doskonała kariera, bo nie tylko zajmują się tępieniem heretyków, ale też czynią cuda na zawołanie, biją się jak lwy i Bóg ich najbardziej ukochał. No to pomyślałem: czemu nie?

– W istocie, czemu nie. – Hiszpan się skrzywił. – Zauważyłem, że czasami nie reagujesz na imię „Albert”. To nie jest twoje rodzone miano?

– Nie.

– A jakie jest?

– Czy to istotne?

– Nie, ale jestem ciekaw.

Albert się nie odezwał. Erquicia nie przejął się tym i kontynuował jazdę w milczeniu. Dopiero po parunastu minutach młody zakonnik się odezwał:

– Melchizedek. Miałem na imię Melchizedek.

Starszy dominikanin parsknął śmiechem, ale nie skomentował.

W Stuttgarcie, największym mieście w okolicy, niełatwo było znaleźć nocleg, nie wspominając o jednym woźnicy. Gdy po dłuższych poszukiwaniach udało im się zakwaterować w gospodzie i zjeść kolację, Erquicia miał poważne obawy, że ich śledztwo znów utknie w martwym punkcie, bo nie uda im się odszukać chłopca. Los jednak chciał, że stało się inaczej.

Poszukiwanego odnaleźli niemal natychmiast. Podeszli po prostu do karczmy za obrębem murów miejskich, w której zbierali się woźnice, i zapytali jednego z nich o Jasnego, a ten bez wahania wskazał im krępego chłopca z blond czupryną i okazałym wąsem, który siedział przy jednym ze stołów w środku i perorował do zgromadzonych słuchaczy. Co rusz podnosił głos i gestykulował, oblewając deski piwem, a czerwone wstążki u jego ramion fruwały we wszystkie strony. Gdy podeszli do małego zgromadzenia ludowego, wszyscy zamilkli i zmierzli ich podejrzliwymi spojrzeniami, niepewni, czy to klienci, czy szpicle.

– Ty jesteś tym, którego wołają Jasnym? – zapytał Erquicia prowadzący grupy.

– Jam jest – odparł chłop, pociągając okazały łyk z kufla.

– Mamy kilka pytań.

Atmosfera momentalnie się zagęściła. W oczach woźniców dylemat sprzed chwili został rozwiązany – przyszli szpicle, a za tymi, jak wiadomo, nikt nie przepada.

– Ano, nie wątpię. Ale coś mi się nie widzi, waszmościowie, abym ja miał dla was odpowiedzi.

– Czy możemy porozmawiać na osobności?

Jasny zmierzli ich uważnym spojrzeniem. Byli dwaj, obaj chuderlawi, a woźniców z dziesięciu – wszyscy wielkie chłopcy. To, a także krząjący w żyłach alkohol, dodało mu kurażu.

– Ano nie można, jaśnie panie, ponieważ ja nie mam ochoty gadać. Trącisz mi waść katolikiem, a w dodatku masz waść twarz jak dupa, a ja nie zwykłem jęzorem do dupy mieć.

Cała karczma zarżała jednym głosem. Albert, poczerwieniały, zrobił krok do przodu i już chciał się odezwać, kiedy Erquicia cofnął go gestem.

– W takim razie przepraszamy za zakłócenie spokoju. – Skłonił się.

– Juści – odburknął chłop i rozmowa się zakończyła.

Gdy wyszli z karczmy, pierwszy odezwał się Hiszpan:

– Cierpliwości. Nie będzie tu siedział wiecznie, a teraz, kiedy ma za plecami kolegów, nic z niego nie wyciągniemy. Po prostu poczekamy.

Nieopodał karczmy znaleźli brzozowy zagajnik, który obsypywał się właśnie liśćmi. Był za daleko, żeby mogli rozpoznać twarze wchodzących i wychodzących z knajpy, Jasny jednak jako jedyny miał przy ubraniu jaskrawe wstążki, mogli go więc bez problemów zidentyfikować. Upewnili się, że nikt ich nie obserwuje, ułożyli wygodnie w brzezynie i czekali. Po trzech godzinach, w czasie których Alberta zdążyły obleżeć głodne, dopiero co obudzone po zimie mrówki, a stawy Erquicii przypomniały mu, że nie robi się wcale młodszy, zobaczyli wreszcie wychodzącego, a raczej wytaczającego się z karczmy Jasnego. Szedł chwiejnie w stronę miasta.

Ruszyli za nim, zachowując dystans, chłop jednak wydawał się tak nawalony, że nie poznałby ich chyba, nawet gdyby zastąpili mu przejście. Przeszedł przez miejską bramę, pyskując do strażników, po czym skierował się w jedną z bocznych uliczek. Tam dominikanie zagrodzili mu drogę. Wbrew przewidywaniom spojrzął na nich bystro i rzucił się do ucieczki, ale Erquicii udało się go powstrzymać, podstawiając nogę. Jasny runął w błoto jak długi. Podnieśli go i ustawili pod ścianą.

– No. – Erquicia uśmiechnął się do niego grzecznie. – To teraz sobie porozmawiamy.

Jasny albo był zbyt pijany, żeby się zorientować, co się dzieje, albo odwrotnie, wystarczająco trzeźwy, bo przygaśił tylko i najwyraźniej zrezygnował z prób ucieczki.

- Na początku roku prowadziłeś na północ dziewczynę, szlachciankę, z obstawą. Dokąd?

- O, panie! A myślisz pan, że ja pamiętam wszystkich, co ze mną jechali? Ruch w interesie jest!

- Dobra, dobra. W lutym nie ma żadnego ruchu w interesie, a już na pewno nie wśród szlachty z najemniczą eskortą.

Jasny w odpowiedzi podłubał małym palcem w ucho. Zrobił przy tym minę, która miała chyba sugerować, że usiłuje sobie coś przypomnieć, ale wyglądała raczej jak grymas przybierany po uderzeniu się w kolano.

- Niii, nic takiego nie pamiętam.

Erquicia westchnął. Miał do wyboru dwie opcje: po dobroci albo po złości. Jeżeli tylko miał taką możliwość, zawsze starał się wybrać pierwszą. Dlatego też sięgnął do mieszka i mignął chłopu przed oczami złotym talarem.

- Na ten widok też ci się nic nie przypomina?

Jasny się zawahał. Zakonnik teatralnie wzruszył ramionami i udał, że chowa monetę z powrotem do mieszka.

- No dobra! Była taka. Ale ja z nią nie mam nic wspólnego!

- Nie o to chodzi, czy coś z nią masz wspólnego, tylko dokąd ją wiodłeś.

- Chciała do Kassel... Aleśmy zboczyli do Birstein.

- To wiem. Czemu do Kassel?

- A bo ja wiem? Nie wtykałem nosa. Nie opłacało się.

- I co, doprowadziłeś ją do tego Kassel?

- Nii... Pogubiliśmy się po tej wielkiej bitwie, co była wiosną.

- E, coś kręcisz. Gdzie Herbstein, a gdzie Kassel? Zboczyliście na popas czy co? Coście robili w Birstein?

Chłop znowu nabrał wody w usta. Erquicia westchnął w duchu i wyciągnął kolejnego talara. Zakon zapłaci. Jasnemu zaświeciły się oczy. Na to właśnie liczył.

– Więcej nie dostaniesz. Mów.

– Ano, panienska na początku mówiła do Kassel, ale tak naprawdę to nie. Potem coś było o Lotaryngii, a w końcu chciała, żebym ją odstawił do Kolonii. Aleśmy się pogubili, jak już mówiłem. I o Niderlandach coś mówiła.

– A gdzie w końcu pojechała?

– Juści, nie wim. W stronę Kolonii, to na pewno.

– A o Niderlandach mówiła coś więcej?

– Ni. Ale był jeszcze ten gruby.

Erquicię olśniło. Faktycznie, razem z Katarzyną podróżował przecież jakiś korpulentny jegomość.

– A kto to był?

– A nazywał się jakoś... Łewe albo Błewe. Holender. Profesor! Uczony! A jak gadał, to nie wiadomo było, czy spać, czy nad niedzielą dumać.

– Pamiętasz, z jakiego uniwersytetu był?

– Eeee... w Lesznie?

Zakonnik westchnął.

– Dobra, spadaj.

Chłop obrócił się na pięcie, ścisnął swoje dwa talary, uciekł w głąb uliczki i tyle go widzieli.

– Uniwersytet w Lesznie? Gdzie, na boga, jest Leszno? – Albert spojrzął na niego, zdziwiony.

– W Lejdzie. Musi chodzić o Lejdę – odparł Hiszpan i się zamyślił.

– Tę od Grotiusa, Arminiusa i Kartezjusza?

– Dokładnie tę.

– Czego mogą chcieć od dziewczyny?

– Usiądźmy w gospodzie. Zgłodniałem i muszę się zastanowić – rzekł Erquicia i ściągnął brwi z zamyśleniem.

Gdy wracali do noclegowni i później, gdy podawano im gęsty rosół, milczeli. Dopiero po dłuższej chwili, upewniwszy się, że nikt ich nie

podstuchuje, Hiszpan zaczął tłumaczyć Albertowi:

– Na uniwersytecie w Lejdzie istnieje coś, co nazwali „katedrą eteromancji”. A eteromancja to nic innego niż to, co my nazywamy błogosławieństwami albo precyzjologią. Oni jednak, w przeciwieństwie do dominikanów, najwyraźniej nie zauważają zagrożeń związanych z tą dziedziną, bo zupełnie się nie kryją z precyzjami. Podobno przygotowują się już, aby przyjmować studentów...

– Nadal czasem nie mogę zrozumieć, jakim cudem heretycy potrafią korzystać z błogosławieństw. Wiem, jakie jest wytłumaczenie, ale... nie przekonuje mnie ono do końca.

– To na szczęście problem teologów, nie nasz. Chodźmy spać. Jutro skoro świt ruszamy do Amsterdamu, a droga długa.

– Do Amsterdamu? Czemu nie do Lejdy?

– Nie możemy przecież wparować na uniwersytet, krzycząc, gdzie jest taka i taka, bo zakon kaznodziejski jej poszukuje. Wolę też uniknąć samej Lejdy, jest mała, ciasna i dużo tam ciekawskich. W Amsterdamie dowiemy się równie dużo, albo i więcej, a potem rozplyniemy się w tłumie.

Wszystko to działo się w maju. Teraz zaś, w październiku, gdy siedział między drzewami i podziwiał panoramę metropolii, Erquicia miał ochotę wspominać dalej, ale nie było mu to dane, bo z zamyślenia wyrwał go budzący się Albert. Ich sześciomiesięczna podróż się kończyła – piętnaście minut później byli już na gościńcu prowadzącym prosto do stolicy światowego handlu.

– Poszukamy pomocy w którymś z kościołów?

– Nie, to za duże ryzyko. Wspólnoty katolickie nie są tu mile widziane, Albercie, i my też nie jesteśmy tu mile widziani. Nie chcemy ściągać uwagi ani na nie, ani na siebie. Uważaj, co i do kogo mówisz, kontroluj też reakcje. Sądy w Amsterdamie są sprawiedliwe i cywilizowane, ale tylko dla protestantów.

Młody Francuz pokiwał poważnie głową.

Około południa minęli udekorowaną pomarańczowymi festonami bramę miejską.

Rozdział IV

W wielkim lustrze sprowadzonym z Wenecji obie wyglądały przepięknie. Były do siebie tak podobne, że spokojnie mogły uchodzić za siostry. Blanchefleur była minimalnie wyższa, a Katarzyna miała inny nos, nie prosty, jak u przyjaciółki, ale mały i zadarty. Blond włosy Fleur spływały gładko, a Katarzyny układały się w fale. I to tyle. Poza tym – jak dwie krople wody.

Suknie, które miały na sobie, uszyte specjalnie na bal, stanowiły przedziwną modową abominację. Jasnoblękitna suknia Blanchefleur miała szeroki, podparty niewielką krynoliną dół na holenderską modłę, lecz wykończenie niemieckie – zapięty pod szyję dekolt i rozkloszowane rękawy; na włosach dziewczyny pysznił się koronkowy diadem. Z kolei suknia Katarzyny, mieniająca się perłową bielą, była prosta i długa, niemal pozbawiona ozdób, tak jak noszono się w Niemczech, ale szeroki, odsłaniający ramiona i obojczyki dekolt oraz wykończone wąsko rękawy żywcem wzięto z dobrych domów Amsterdamu. Blond pukle przeplatał sznur pereł, który pożyczył jej profesor l'Empereur. Chyba zabrał go żonie. Obie zrezygnowały z kryz. Ramiona owinęły pomarańczowymi szalami, niezbędnymi zarówno z uwagi na spadającą temperaturę, jak i konieczność uhonorowania stadhoudera, pochodzącego z dynastii orańskiej. Rezultat był zadowolający – wyglądały nad wyraz efektownie, ale zarazem ani jak Niemki, ani jak Holenderki. Czyli dokładnie tak, jak planowały. Chciały zwrócić na siebie uwagę, chociaż z zupełnie różnych powodów. Blanchefleur – bo to po prostu lubiła, Katarzyna – bo nie zamierzała opuścić balu bez rozmowy z gospodarzem. O ile jednak heska szlachcianka paplała wesoło, o tyle von Besserer była trochę zdenerwowana. Pierwszy raz w Holandii miała być wystawiona na widok publiczny, nie licząc kilku

poniejszych kolacji w towarzystwie lokalnych polityków i przyjaciół l'Empereura.

Służące, upewniwszy się trzy razy, że wszystkie ozdoby, detale i fidrygałki są na swoich miejscach, wezwały lokaja, który poprowadził panny schodami w dół, do kuchni, w której czekali już panowie. Ponieważ na bal zaproszono całą polityczną, wojskową i intelektualną śmietankę Niderlandów, delegacja uniwersytetu była dość liczna. Przy stole popijali wino stary, pomarszczony, siwobrody rektor Thysius, noszący olbrzymią białą kryzę, oraz śmiertelnie nudny i chudy jak szczapa profesor Hensius, łacińskojęzyczny poeta i historyk, uwielbiany przez stateczne matrony z haskich rodów, znany z tego, że bez przerwy narzeka, i ostentacyjnie kryzy nienoszący. Pogrążeni w rozmowie przy oknie stali tęgi l'Empereur, długowłosa, młody profesor Vorstius, siłą chyba oderwany od swojego ogrodu, i bardzo przystojny, dobrze zbudowany akademik w średnim wieku, nieznany Katarzynie. Jego oczy błyszcząły prawie tak samo jak upomadowana, czarna fryzura.

– Ach, są panny! Doskonale! – powitał je l'Empereur.

Dygnęły. Katarzyna zarejestrowała, że kreacje jej i Blanchefleur zrobiły dobre wrażenie. Poza zaniepokojonym Thysiušem, przewrażliwionym na punkcie wizerunku uniwersytetu, wszyscy spoglądali na nie z aprobatą. Nieznajomy chyba nawet z czymś więcej niż aprobatą, bo wyrwał się do przodu, jakby chciał się przedstawić.

– Racja, przecież panny nie miały przyjemności poznać gwiazdy katedry prawa, profesora van der Kuna, zwanego Cunaeusem, autora słynnej *De Republica Hebraeorum*. Profesor przez ostatni rok gościł na uniwersytecie w Sorbonie. Piotrze, pozwól, że ci przedstawię panny von Besserer i von Barby.

Cunaeus skłonił się głęboko, nie spuszczać oka z Katarzyny, co sprawiło, że nie mogła się powstrzymać od rzucenia mu sardonicznego spojrzenia. Odczytał je chyba błędnie, bo po wyprostowaniu się oczy błyszcząły mu jeszcze bardziej.

– Jest mi niezmiernie miło poznać obie panny – odezwał się dworsko niskim, przyjemnym głosem.

W tej samej chwili wszedł lokaj i zameldował, że powozy już czekają. Towarzystwo udało się do pojazdów.

W czterokółce zasiadły one oraz l'Empereur i Hensius, na co westchnęły w duchu, ponieważ mimo że podróż do Hagi nie była daleka, to łacinnik miał wszelkie możliwości, żeby uczynić ją dłuższą. I faktycznie, ledwo stangret strzelił z bata, a powóz potoczył się po brukach Lejdy, profesor zaczął narzekać:

– Ale telepie. Mogliby w końcu naprawić tę drogę. Ile można czekać na nowy bruk?

Nie miał jednak możliwości rozwinąć swoich spostrzeżeń, bo zagłuszył go ich protektor.

– Drogie panny, musicie dowiedzieć się paru rzeczy o ludziach, z którymi będziecie miały do czynienia na balu. Wiem, że panna von Barby – skinął głową w stronę Blanchefleur – uczestniczy żywo w życiu towarzyskim Amsterdamu, ale i tak chciałbym podzielić się z pannami kilkoma spostrzeżeniami. – Gdy mówił, broda omiatała mu kryzę. – Przede wszystkim muszą panny nieustannie pamiętać, że stadhouder nie ma w Holandii łatwego życia. Nieustannie lawiruje między konserwatystami a progresywnymi, remonstrantami i kontrremonstrantami, między ludem a patrycjatem, słowem, cały czas znajduje się w rozdarciu. Jednocześnie jako człowiek nauki jest naszym sojusznikiem i ma wyjątkową słabość do uniwersytetu jako swojej Alma Mater. Co za tym idzie, wszelkie, hm, aktywności, które mogą osłabić jego pozycję, będą nie na miejscu...

Katarzyna parsknęła, bo trudno jej było wyobrazić sobie jakąś aktywność, za pomocą której osłabiłaby pozycję stadhoudera.

– ...bardzo nie na miejscu – kontynuował niewzruszony profesor. – Proszę też uważać na tytułaturę. Do stadhoudera nie należy zwracać się inaczej niż „panie”, ewentualnie „jaśnie panie”, w najgorszym wypadku „wielki stadhouderze”. Nie przysługują mu żadne inne tytuły...

- Przecież jest księciem Nassau, zasiada w sejmie Rzeszy - przerwała bezczelnie Katarzyna, marszcząc brwi.

- Owszem, ale ten tytuł nie obowiązuje w Niderlandach, podobnie jak tytuł księżęcy małżonki stadhoudera, Amalii von Solms-Braunfels, krajanki panien. W ogóle jeżeli spotkają tam panny jakichś arystokratów, zazwyczaj będą to Niemcy albo Anglicy. Do nich można się zwracać tytułami, ale wyłącznie jeśli nie pełnią żadnych funkcji publicznych.

- To prawda - wtrąciła się Blanche fleur. - Jak na obiedzie u radcy Janszoona nazwałam go baronem, którym przecież jest, myślałam, że się udławi z wrażenia.

- Otóż to. Republika uznaje co prawda szlachectwo, nie ono jednak czyni człowieka, zwłaszcza w polityce.

- A co w takim razie czyni?

- Pieniądze - parsknęła Blanche fleur.

L'Empereur skarcił ją wzrokiem jak niegrzecznego uczniaka i odpowiedział:

- Talent organizacyjny, administracyjny, maniery, wreszcie wrodzone predyspozycje.

- Taa, jasne. I dlatego właśnie gruby, brzydki i głupi syn de Wittów zostanie po nich burmistrzem Dordrechtu - klóciła się Fleur.

- Johan de Witt ma mnóstwo zalet, których być może panna nie dostrzega wskutek niewielkiego doświadczenia, ale...

- Ma osiem lat, jakie on może mieć zalety, poza zamęczaniem guwernantek?

- Zostawcie tę kłótnię na potem - westchnęła Katarzyna, która była już parę razy świadkiem sprzeczek między l'Empereurem a Blanche fleur, dość krytycznie odnoszącej się do systemu politycznego Republiki Siedmiu Prowincji. - Kogo jeszcze spotkamy na bankiecie?

Profesor odchrząknął.

– Oczywiście przedstawiciele stanów generalnych, przede wszystkim Jakuba de Witta, ojca wspomnianego tu Johana, przy którym sugeruję zdecydowanie powściągnąć kontrowersyjne opinie na temat jego syna. Zwłaszcza że jest najważniejszą postacią opozycji antyorańskiej. Drugim po nim największym wrogiem stadhoudera jest pan de Graeff, burmistrz Amsterdamu i dyrektor Kompanii Wschodnioindyjskiej. Poznacie też młodego Henryka Nassau, stadhoudera Fryzji, kuzyna wielkiego stadhoudera, a jednocześnie jego najbardziej obiecującego generała, oraz Horacego Vere'a, angielskiego barona, który dowodził w trakcie niedawnego oblężenia Bredy. Aktualnie mają status bohaterów Republiki, więc proszę ostrożnie. Kapitan Tromp nie wrócił jeszcze z Hiszpanii, ale na miejscu jest admirał de With – zwracam uwagę, że to inny de With niż tamci de Wittowie. I jeszcze wiele, wiele osób, którymi interesować się nie ma po co, a pamiętać głupio... – zakończył sentencjonalnie, gapiąc się w okno.

– Innymi słowy: stado wilków?

– Święte słowa, panno Katarzyno. Przyznam, że nie przepadam za tymi towarzyskimi obowiązkami, wolę pracę, naukę i modlitwę. No, ale stadhouder nie jest osobą, którą można ignorować...

– Zwłaszcza że daje wam kasę. – Blanchefleur zrobiła buzię w ciup, ale l'Empereur tym razem nie dał się sprowokować.

Gdy zamilkli, natychmiast odezwał się siedzący do tej pory cicho Hensius:

– Holandia schodzi na psy. Kiedyś ten kraj był czymś! A teraz...

I w tym akompaniamencie upłynęła im reszta krótkiej podróży. Łacinnik zamknął się dopiero, gdy wysiedli z powozu pod samym Pałacem Północnym w Hadze.

Katarzyna spojrzała na niezbyt okazały budynek: wysoka, smukła bryła razila jej południowe gusta, prosta elewacja wydawała się zbyt minimalistyczna, a zdobna brama z kolei – przesadzona. Oczywiście rok wcześniej budynek by jej zaimponował, od tego czasu jednak zdążyła się już trochę opatrzyć z bogactwami. Dopiero gdy lokaje

wprowadzili ich do środka, zrozumiała, że jej opatrzenie się jest wyłącznie pozorne.

Z obszernego, zdobionego pomarańczowymi festonami hallu, który zdawał się trzykroć dłuższy, niż miał prawo być, biorąc pod uwagę rozmiary budynku, poprowadzono ich do jeszcze większej sali kolumnowej. Skromne białe ściany, eleganckie wykończenia stiuków i sztukaterii, ogromne kolumny, wznoszące się gęstym lasem, i dwudzielne schody do części głównej – wszystko to robiło monumentalne wrażenie, zwłaszcza w doskonałym oświetleniu. Mimo że wielkie, dwakroć tak wysokie jak Katarzyna okna pozostawały ciemne, w hallu rozwieszono olbrzymie kryształowe kandelabry. Marmur cicho piszczał pod ich stopami. Dziewczyna natychmiast poczuła się odrobinę mniejsza – co zresztą, jak świat światem, jest celem istnienia każdego pałacu.

Wielki stadhouder czekał na nich na półpiętrze, na końcu szpaleru gwardzistów uzbrojonych w ceremonialne halabardy. Był to człowiek w średnim wieku, ubrany w elegancki, zdobiony kubrak wyszywany złotą nicią, z imponującą, koronkową, trójwarstwową kryzą, zmuszającą go do stania prosto jak słup. Szpakowate włosy nosił nieuczesane, przez co rozsypywały się swobodnie, w przeciwieństwie do wypielęgowanej, hiszpańskiej bródki, w której pojawiły się już wyraźne znaki siwizny. Znad prostego nosa spoglądały dobrotliwe oczy, zupełnie niepasujące do wizerunku groźnego wojownika, który przypisywano ich posiadaczowi. Żona stadhoudera z kolei, w czarnej, połyskliwej sukni, prawie dorównująca mu wzrostem, okazała się piękną o agresywnie niemieckiej urodzie, z dużą, pociągłą twarzą i wąsko rozstawionymi oczami pod starannie zaczesaną grzywką. Gdy kamerdyner odczytał nazwiska dziewcząt, posłała im szeroki uśmiech, dając znać, że wspólne pochodzenie jej nie umknęło.

– Ach, tak! – zawołał jowialnie Fryderyk Henryk. – Mój drogi l'Empereur i jego protegowana, którą w końcu mogę poznać. – Uśmiechnął się ciepło do Katarzyny, a ta dygnęła w odpowiedzi. –

Muszę wyznać, Konstantynie, że twój efekt przełamywania tarcz jest genialny – dodał nieco ciszej. – Dzięki niemu nasze statki mogą bezpiecznie pływać wzdłuż wybrzeża Afryki, a to daje, hm, wymierne korzyści... Nie omieszkać wziąć tego pod uwagę, gdy będę przeznaczał datek na waszą katedrę.

– Dziękuję, panie. – Zakłopotany profesor chrząknął. – Ale po prawdzie ten efekt jest dziełem panny Katarzyny...

Stadhouder spojrział na nią, trochę zdziwiony, a trochę z niedowierzaniem.

– Doprawdy?

Katarzyna w odpowiedzi skinęła głową, patrząc na niego zimno.

– Yhm, tak... Tak czy inaczej, dzięki wielkie. – Władca Holandii zakończył kulawo temat. – Tymczasem bawcie się w ten dzień kolejnego triumfu nad papistami!

Dziewczyny zrozumiały aluzję, tym bardziej że za nimi utworzyła się już kolejka gości. Szybko ominęły gospodarza i razem z akademikami weszły na piętro, gdzie znalazły lustrzane odbicie sali kolumnowej z parteru. Na prawo znajdowała się kremowo-złota sala jadalna, gdzie można było odsapnąć, na prawo zaś – wspaniała aula galowa, wykończona w stylu orientalnym na pomarańczowo i czerwono, w której tańczyli już goście, w takt utworów proponowanych przez małą orkiestrę na podeście. Pozostali kręcili się między kolumnami, pogrążeni w rozmowach. Od feerii sukien, kryz, czarnych kubraków i zapachów perfum Katarzynie zakręciło się w głowie.

Blanchefleur od razu dojrzała kogoś znajomego. Rzuciła Katarzynie błagalne spojrzenie, na które ta odpowiedziała skinieniem głowy. Dwórka błysnęła kolczykami jak uciekająca w ton płotka miga łuskami i już jej nie było. Katarzyna postanowiła się trzymać l'Empereura, ale ani się obejrzała, on też wdał się z kimś w rozmowę. Resztę akademików gdzieś wciągnęło. Poczuli się opuszczona.

Naraz obok niej jak z mgły pojawił się Cunaeus i zaoferował jej ramię.

– Chce panna zatańczyć?

Kiwnęła głową. Zagubiona wśród ważnych osobistości, w tańcu mogła zamaskować zakłopotanie. Ruszyli na parkiet, gdzie akurat tańczono dość dobrze jej znanego allemande'a. Włączyli się w korowód, muzyka była ładna, Katarzynie szło całkiem nieźle, a Cunaeus uśmiechał się zachęcająco. Trochę się odprężyła, przyglądała się tańczącym z nią ludziom, ale gdy zagrano kontredans, zaczęła gubić kroki. Profesor zauważył to. Szybko i sprawnie wyplątał ją z szyku i zaprowadził do sali jadalnej, gdzie wyczarował im skądś dwa kryształowe kielichy z hiszpańskim winem, zapewne zdobyczym.

– I jak panna znajduje elitę niderlandzkiego towarzystwa? – zapytał z ironicznym uśmiechem.

Panna znajdowała elitę zaskakująco nudną. Poza tańcem i rozmowami nic się na tym balu nie działo, co stanowiło dość wyrazisty kontrast dla podobnych imprez w Niemczech, na których zawsze byli trefnisie, niedźwiednicy, magicy, sokolnicy, siłacze i wyścigi hartów, gdzie poza uprzejmymi wymianami zdań trafiały się autentyczne dramaty i radości. Rozumiała jednak, że im wyższe kręgi, tym ostrożniejsi i powściągliwsi są ludzie, odpowiedziała więc tylko:

– Wybornie, doskonale.

Cunaeus się zaśmiał.

– Och, nie krępuj się – bezceremonialnie przeszedł na „ty”. – Jesteśmy przecież, jakby to powiedzieć, kolegami po fachu. Ta bezwartościowa, bezbarwna zgraja w oczywisty sposób nie może mnie interesować, wnioskuje więc, że ciebie też nie.

– Nie do końca. – Zanurzyła usta w winie. – Jestem bardzo ciekawa, tylko... nie jestem pewna czego.

– Och, to prawda, że w tej sali jest wiele interesujących rzeczy. Władza, pieniądze, koneksje, wpływy, nawet trochę wiedzy. Ale ja mam na myśli ludzi, istotki, które nie idą, a dają się nieść, jak to ujął francuski filozof... Spójrz, jednak trafił się ktoś ciekawy! – Przerwał

kształtujący się już, akademicki monolog, widząc jego gomościa w charakterystycznym dla uczonych czarnym kubraku. – Hortensjusz!

Korpulentny gość z imponującą brodą podszedł do nich nieśpiesznie.

– Hortensjusz jest astronomem i wykładowcą w szkole stanowiącej od niedawna naszą konkurencję, *Atheneum Illustré*. Jako pierwszy ustalił faktyczną wielkość Marsa – przedstawił kolegę Cunaeus, gdy wymienili ukłony. – Hortensjuszu, oto Katarzyna von Besserer, protegowana profesora l'Empereura i Fryderyka Henryka.

– Ach, tak – burknął tamten. – Słyszałem. To panna jesteś tą Niemką, od której Thysius posiwał do reszty, a do której, byłem tego pewien, Cunaeus przylepi się jak ostryga do poszycia.

Katarzyna zachichotała, a jej towarzysz trochę się zmieszał, nie stracił jednak rezonu.

– Jak widać, mój kolega jest również żartownisiem i grubianinem. Cóż dzieje się w Amsterdamie, Hortensjuszu? Gdzie Kartezjusz, spotkam go tu? – zręcznie zmienił temat.

– Nie, cieszy się życiem rodzinnym.

– Słyszałem, ale nie miałem nawet okazji przekazać mu gratulacji. Nie zamierza się pojawić w Lejdzie w najbliższym czasie?

– Nie sędzę, naprawdę bardzo cieszy się życiem rodzinnym. Do tego stopnia, że nikt go nie widział od listopada. Przypuszczam, że tak naprawdę pracuje nad czymś dużym, ale nie chce się przyznać. Mniejsza z nim zresztą, powiedz mi lepiej, czy nasza piękna dama odwiedzi nas w Amsterdamie?

– Jeżeli obowiązki i nauka mi pozwolą, bardzo chętnie – odpowiedziała Katarzyna. – Pod warunkiem, że mój towarzysz będzie się za mną włókl jak ostryga na poszyciu.

Hortensjusz parsknął.

Oddali się niezobowiązującej rozmowie o plotkach w środowisku naukowców, tulipanach i pogodzie. Przerwał im ją zabójczo przystojny blond młodzian z rzymskim nosem i opadającą na oczy kurtyną

płowych włosów. Mógł mieć najwyżej dwadzieścia lat. Prosty kaftan nosił przepasany pomarańczową szarfą. Jako jedna z nielicznych osób na sali miał ze sobą broń, sztylet, ostentacyjnie zatknięty za pas.

– Zastanawiam się – powiedział głośno – co tak piękna dama robi w sali bocznej, gdy tańczony jest menuet? – Skłonił się Katarzynie głęboko.

– Panie. – Obaj akademicy ukłonili się jeszcze głębiej niż tamten. – Panno Katarzyno, oto Henryk Kazimierz, krewny naszego gospodarza, generał wojsk Republiki.

Henryk Orański bez słowa podał Katarzynie dłoń, którą przyjęła. Pociągnął ją za sobą tak bezceremonialnie, że ledwo zdążyła oddać Cunaeusowi kielich z resztką wina. Weszli na parkiet i zaczęli tańczyć część solo. Jej towarzysz był naprawdę piękny – w wyraziście wyrzeźbionej twarzy, pod czupryną przypominającą lwia grzywę widniały wielkie, niebieskie oczy o kształcie migdałów. Do tego nosił się z wojskową, nonszalancką pewnością. Milczeli.

– Słyszałem, jaką gafę strzelił mój kochany kuzyn przy powitaniu – odezwał się w końcu przy którymś obrocie. – Domyślam się, że często cię to spotyka?

– Że mężczyźni próbują odebrać mi zasługi? Tak, można powiedzieć, że mam w tym spore doświadczenie.

Przerwali na moment, bo zaczęła się figura tańczona w oddaleniu.

– Nie przejmuj się Fryderykiem – kontynuował, gdy znowu złożyli dłonie i zaczęli wirować. – Jest wybitnym wodzem i politykiem, ale nie nadąża za światem. Wyobrażasz sobie, że on uważa, że eteromancja to chwilowa moda?

Odejście. Powrót.

– Ja wiem, skąd wieje wiatr – podjął Henryk. – Twoje... badania... są dla mnie bardzo cenne. Jeżeli potrzebowałabyś pomocy, jakiegokolwiek, daj znać. Choćby przez tę swoją małą dwórkę, mieliśmy okazję się zetknąć tu i ówdzie.

– A jaki dokładnie ma pan w tym interes?

Odejdźcie. Korowód. Powrót.

– Wojnę. – Uśmiechnął się. – Mam wojnę do wygrania. I ty, jak mi się zdaje, też.

Odejdźcie. Powrót.

– Dasz sobie pomóc?

– Nie potrzebuję pomocy.

– W tej chwili. Zobaczymy, co będzie potem.

Odejdźcie. Ukłon.

Henryk sprowadził ją z parkietu i odprowadził do sali kolumnowej.

– Pamiętaj. Uniżony sługa. – Puścił jej oko i odszedł, pozdrawiany przez innych dygnitarzy.

Katarzyna znów została sama. Tymczasem gospodarz skończył witać gości i włączył się do zabawy. Wraz z żoną oraz amsterdamskimi rajcami i ich partnerkami zatańczył popisowego kontredansa, a następnie wygłosił kilka słów na cześć swoich wojsk i generałów, dzięki którym zdobyto „stojącą solą w protestanckim oku” Bredeę, i wezwał do dobrej zabawy. Tłum się zakotłował, wszyscy pociągnęli do głównej sali, aby znaleźć się jak najbliżej stadhoudera.

U boku Katarzyny wyrosła Blanchefleur, cała zaróżowiona i ewidentnie podchmielona.

– Widziałam, że tańczyłaś z Henrykiem Orańskim! Najlepsza partia w Holandii, gratuluję!

– To nie z sympatii, chciał czegoś ode mnie.

– Czego?

– Zaoferować pomoc.

– Cenny sojusznik – zauważyła dwórka zaskakująco trzeźwo. – Fryderyk liczy się z nim jak cholera, przecież rządzi drugą połową kraju. A w dodatku jest teraz bohaterem. Nie zmarnuj tego.

– Do czego mi jego pomoc? – Katarzyna wzruszyła ramionami. – Nie mam przecież żadnych planów.

- Kto wie, może ci się coś wykluje? O, widzę Elżbietę van der Opeyck, uciekam!

Dwórka zniknęła. Żeby nie stać z pustymi rękami, Katarzyna wzięła od jednego z paziów kolejny kielich i zdesperowana rozpoczęła manewry mające na celu przybliżenie jej do tkwiącego pośrodku sali stadhoudera, który cały czas z kimś rozmawiał. Otaczały go koncentryczne kręgi i krążki rozmaitych osób, pozornie niezainteresowanych gospodarzem. Była to, mówiąc po ludzku, kolejka, w którą Katarzyna usiłowała się jakoś wkłęcić. Nikt jej nie znał, co miało swoje zalety, bo nikt jej nie zaczepiał, ale miało też wady, gdyż nie wiedziała, do której z grupek powinna się podpiąć. Profesorów, z którymi przyjechała, jak na złość nigdzie nie mogła dostrzec. Skupiła całą swoją uwagę na stadhouderze i w końcu zagapiła się tak bardzo, że na kogoś wpadła. Gdy odwróciła się, aby przeprosić, zabrakło jej słów.

Przed nią stał Jakub de Graeff.

Uśmiechnął się do niej, odrobinę zakłopotany. Był bardzo wysoki, więc Katarzyna musiała solidnie zadrzeć głowę, żeby na niego spojrzeć. W starej, ale zaskakująco gładkiej twarzy i uniesieniu siwych brwi nie znalazła nagany, a tylko rozbawienie.

- Przepraszam pana najmocniej... - bąknęła. - Katarzyna... von Besserer.

- Ach, racja - odezwał się głębokim głosem, który doskonale pasował do jego postaci, pałającej wynikającą z potęgi i pozycji pewnością siebie. - To dzięki panienci pracy na uniwersytecie okręty naszych udziałowców są chronione przed hiszpańskimi kaprami. Miło mi poznać. Powinna jednak panienka bardziej uważać, są na tej sali osoby, które potrącenie wzięłyby za afront... Ja, na szczęście, jestem na to za stary i zbyt wiele razy mnie potrącano na bankietach. - Mrugnął do niej przyjaźnie.

Zauważyła, że w przeciwieństwie do większości obecnych nie miał żadnego pomarańczowego elementu garderoby, a w klapie surduta nosił broszę z literami VOC, symbolem państwa w państwie.

- Przepraszam, ja... chciałam porozmawiać ze stadhouderem.

- Tutaj? - Uniósł brwi. - Nie sądzę, żeby panienka miała szansę, za dużo tu klakierów i pochlebców, którzy zawsze będą pierwsi, gdy jest okazja porozmawiać z kimś potężnym. A z czystej ciekawości... czego panienka chce od Fryderyka?

- Ja... - Spaliła raka i się zawahała. - To sprawa prywatna.

- No tak. - Zaśmiał się szczerze i głośno. - Na pewno już panience powiedzieli, że stary de Graeff użyje przeciw stadhouderowi wszystkiego, co usłyszy. Niech będzie, nie naciskam. Ja jednak jestem panience winien wdzięczność, ponieważ panienki efekt dopiero co uratował trzy moje okręty przed złupieniem u wybrzeży Gambii. Zaoszczędziłem dzięki temu bardzo duże pieniądze. Proszę więc się nie bać, nie życzę panience źle.

- To... bardzo miłe z pana strony. Ja... cieszę się, że moja praca się przydaje też do ratowania, a nie mordowania ludzi.

- Tak jest, chociaż w tym wypadku, nie ukrywam, istotą było ratowanie pieprzu, goździków, jedwabiu, drewna sandałowego, szafranu i kurkumy. Retourschipy, które pływają do Indii, mają bardzo małe załogi, w przeciwieństwie do fluit. Ale, och, zaraz się rozgamam o statkach! Widziała panienka kiedyś okręt tej klasy?

- Nie, nie miałam przyjemności. Tylko raz od przyjazdu byłam nad morzem, a w porcie nigdy.

- Och! To niesamowity widok. Coś pannie powiem: za tydzień wodujemy w rotterdamskiej stoczni galeon, „Amelię”, nowy okręt flagowy admirała de Witha. Jeżeli będzie panna miała czas i ochotę, zapraszam. Na pewno znajdzie się miejsce na platformie. - Skłonił głowę, a Katarzyna zrozumiała, że pogawędka jest skończona.

Dygnęła, a gdy tylko się odwrócił, wychyliła wino jednym haustem, aż jej zaszumiało w głowie. Uciekła szybko pod ścianę. De Graeff był nie tylko jednym z liderów opozycji antyorańskiej i burmistrzem Amsterdamu, ale przede wszystkim prezydentem Holenderskiej Kompanii Wschodnioindyjskiej, VOC, co czyniło z niego osobę

bajecznie bogatą i bajecznie wpływową, ponieważ handel dalekomorski w Niderlandach był wszystkim. Gdy przypomniała sobie, że jeszcze rok wcześniej małego księcia Wirtembergii należał do najważniejszych osób, jakie w życiu widziała, zachciało jej się histerycznie śmiać. De Graeff dysponował flotą ponad trzystu okrętów, z czego kilkanaście osobiście posiadał, a także trzydziestotysięczną armią i nieskończonymi wpływami, koniecznymi w rozbudowie holenderskiego imperium. A teraz zapraszał ją na wodowanie nowego statku. Najdziwniejsze w tym wszystkim było zaś dla niej to, że stary rentier wcale nie wydawał się straszny, wprost przeciwnie, okazał się bardzo miły, zwłaszcza biorąc pod uwagę strzelane przez nią gąfy.

Wśród grupki dam z towarzystwa zauważyła Cunaeusa i już miała ruszyć w jego stronę, gdy podszedł do niej bardzo młody szlachcic z kruczoczarnymi, utrefionymi włosami i ledwie syjącym się wąsem. Miał ładną, pociągłą twarz, która miała w sobie coś niemieckiego, nie wyróżniał się jednak wśród Holendrów ubiorem. Skłonił się jej głęboko. Odniosła wrażenie, że jest w najlepszym wypadku jej rówieśnikiem.

– Pani, nie przepadam za tańcem. Czy mogę bawić pannę rozmową? – zapytał nienaganną niemiecczyną, ale brzmiącą tak, jakby nauczył się jej z podręczników, tak bardzo pozbawiona była lokalnych naleciałości.

Nad ramieniem młodzieńca zauważyła pełne zdumienia spojrzenie Cunaeusa. Najeżyła się trochę.

– Ależ oczywiście, chciałabym jednak najpierw poznać pana miano.

– Karol Wittelsbach. – Skłonił się jeszcze głębiej. – Po prostu.

Stał przed nią syn Fryderyka Wittelsbacha, Zimowego Króla.

Na samym początku wojny, która rozdzierała Niemcy, a więc krótko po narodzinach Katarzyny, Czesi, zbuntowani przeciw władzy Habsburgów, zaofiarowali koronę swojego kraju dynastii Wittelsbachów, od niepamiętnych czasów władających Księstwem Palatynatu i większą częścią Nadrenii. Fryderyk Wittelsbach uznał, że koronacja ma szansę się powieść – był elektorem Rzeszy, miał pełny skarb i dużą armię,

a ponadto ogromne poparcie wśród protestanckich książąt. Przyjął więc koronę czeską i udał się do Pragi. Przeliczył się jednak – nie docenił zaciekłości cesarza, dla którego tytuł króla Czech, połączony z godnością elektorską, stanowił być albo nie być pozwalające przepychać kandydatury kolejnych Habsburgów na tron. Panująca w Niemczech dynastia najpierw odcięła świeżo upieczonego króla od jego krewniaka i największego sojusznika, króla Anglii, potem zaś za pomocą zabiegów dyplomatycznych rozbiła powstającą Unię Protestancką, która miała wesprzeć Fryderyka militarnie. Zajął to zaledwie jedną zimę, po której wojska Habsburgów roznieśli Czechów na strzępy, pozbawiając Fryderyka korony po raptem paru miesiącach. Palatynat i Nadrenia zostały zajęte przez Austriaków, tytuł elektorski przejął lojalny względem cesarza książę Bawarii, a nieszczęsny król musiał udać się na wygnanie do Anglii, gdzie zmarł jakiś czas temu. Stojący przed Katarzyną młodzieniec był jego najstarszym żyjącym synem, a więc spadkobiercą, teoretycznie księstwa i tytułu, w praktyce – jedynie resztki wpływów, które zawierały się w samym słowie „Wittelsbach”. Dlatego dodał to melancholijne „po prostu”.

Katarzyna pamiętała, że jej ojciec zawsze pomstował na historię Fryderyka, twierdząc, że byłby on o wiele lepszym cesarzem niż Ferdynand – i wielokrotnie, nawet publicznie, deklarował poparcie dla jego sprawy. Dlatego też, niewiele myśląc i nie wiedząc, że pieczętuje tym jednym zdaniem dalsze swoje dalsze losy, odpowiedziała:

– Bardzo miło mi poznać Waszą Książęcą Mość. Nazywam się Katarzyna von Besserer, grafina Thalfingen.

– Chciałbym jednak nadmienić – odchrząknął – że mój tytuł książęcy...

– ...został poddany kasacie cesarskiej, elektorski zaś przekazany Maksymilianowi Bawarskiemu, który to wyrok nie wszyscy uznają za zasadny i prawomocny. Darujmy sobie formalności.

– Oczywiście. – Zakłopotany przestąpił z nogi na nogę, nieco speszony jej podpatrzoną u Hortensjusza bezceremonialnością. –

Chciałem pannę o coś zapytać.

– Ależ oczywiście. O co?

– O bitwę pod Herbstein. Podobno była tam panna osobiście.

– Owszem. Co pana interesuje?

– Wszystko. Przebieg, zgromadzone wojska, rozstawienie...

Oczywiście zdaję sobie sprawę, że nie jesteś wojskową, ale...

– ...ale opowiedzieć mogę. Oczywiście.

W krótkich, wyraźnych zdaniach przedstawiła mu całą batalię. Odkąd zjawiała się w Lejdzie, zdążyła przeczytać kilka dzieł na temat sztuki wojennej, więc sypała jak z rękawa wojskową terminologią, a jej opis był precyzyjny i ścisły, jakby składała raport. Wittelsbach patrzył na nią z rosnącym zdumieniem, ale nijak nie skomentował jej biegłości.

– Tak. To by potwierdzało niektóre z moich... intuicji.

– Jakich na przykład?

– Takich, że liczebność tradycyjnych wojsk będzie coraz mniej istotna. Ważna stanie się liczba i wyszkolenie eteromantów czy też, jak ich nazywają w Londynie, mages. A to, delikatnie mówiąc, zmienia równowagę sił w tej wojnie. Mówiła panna, że w trakcie bitwy coś zablokowało działania eteromantów po obu stronach. Nie wiesz, co to mogło być?

– Nie mam pojęcia – skłamała ze wstydem, zdecydowana nie zdradzać za wiele.

– Szkoda. – Zasepił się. – To też byłaby ważna informacja.

– Być może udałoby się to... jakoś... ustalić – wybąkała, niepewna własnej deklaracji.

Książę bez ziemi budził jej współczucie i sympatię, więc kusiło ją, żeby podzielić się z nim „ważną informacją”, że to ona sama zatrzymała obie armie w szturmie.

– Naprawdę? Byłbym bardzo, bardzo wdzięczny – powiedział, a w jego oczach błysnęła jakaś absurdalna szczerłość, właściwa chyba tylko człowiekowi, który stracił wszystko i nie bardzo miał możliwość to

odzyskać. – Czy nie zechciałaby panna przyjąć zaproszenia na dwór mojej matki, tu, w Hadze?

– Jeśli czas i obowiązki pozwolą.

Skłonił się głęboko i odszedł. Po paru krokach potknął się na równej posadzce.

– No – odezwała się Blanche fleur, która znów pojawiła się nie wiadomo kiedy i skąd. – To na pewno nie jest wartościowa znajomość. Chociaż... Henryk Orański mówił przy mnie, że „chłopak jeszcze wszystkich nas zadziwi”. Ale nie wiem, co miał na myśli.

Katarzyna spojrzała na nią badawczo. W jej oczach błysnęła iskierka zaciekawienia.

Rozdział V

Schenka błyskawicznie ogarnęło podniecenie typowe dla myśliwego, który ściga zwierzynę. Warunki były wysmienite: słońce, podmokła, leśna droga, a trop tak wyraźny, że nie musieli nawet zwalniać z klusa, miejscami przechodzili wręcz w galop. A ponieważ tajemniczy „rycerze” z Bani wlekli się stępa, istniała spora szansa, że najemnicy już ich doganiali.

Niestety, zaczynało się ściemniać. Tropienie nawet najwyraźniejszego śladu po ciemku jest zasadniczo niewykonalne, więc Schenk, klnąc, zaczął rozglądać się za miejscem na nocleg. Okazało się, że nie będzie z tym wielkiego problemu, ponieważ ślady biegly obok zajazdu na rozstajach. Nie urywały się na nim ani nie zatrzymywały, co oznaczało, że tropieni jeźdźcy pojechali dalej i że gospoda znajduje się na odpowiedniej trasie do dalszego pościgu. Najemnik wyczuł, jak jego podkomendni odetchnęli z ulgą. O wiele lepiej spać w ciepłe niż świerknąć w szałasie pod jodłą.

Oberża była mała, parterowa, kryta obsypującym się gontem i pełniła raczej funkcję miejsca skupiającego lokalną społeczność niż zajazdu dla podróżnych. Niemniej miała stajnię, więc nawet gdyby właściciel nie oferował łóżek, mogli przespać się pod dachem z końmi. Gdy jednak zbliżyli się do budynku, zorientowali się, że coś jest nie w porządku, przy drzwiach bowiem tłoczyła się mała grupa wyraźnie wzburzonych chłopów. Podjechali do nich.

– Co się dzieje? – zapytał Sójka, nachylając się w siodle. – Czego wystajecie tak na dworze jak koły, zamiast pić w środku?

– Ano, panie... – odezwał się najodważniejszy po chwili milczenia – jakież pasibrzuchy nam karczmę zajęli. Siedzą, piją, pierdzą, baby obłapiają, Hansowi w pysk dali, a ruszyć się nie dają. Może panowie

poradzie, bo oni wszyscy przy broni, a my ino widły możemy z obory przynieść...

Sójka z Schenkiem wymienili spojrzenia. Co prawda ich trop prowadził dalej, ale podczas pościgu wszystko, co odbiegało od normy, miało dużą szansę przynieść nowe informacje.

– Nie wiecie, skąd przyjechali? Nie z zachodu aby, od Bani?

– Ni, panie, przeciwnie, od wschodu. A kogo waści szukacie?

– Nie twój... – zaczął Sójka, ale Schenk uciszył go gestem.

– Trzech zbrojnych na koniach, idących stępa od zachodu.

– A to nie wiem, panie, ale może to i ci. Konno są, choć z drugiej mańki przyjechali. Może i trzech ich jest.

– Dobra – rzucił Schenk. – Sprawdźmy to. Nawet jeśli to nie ci sami, i tak chcemy tu popasać.

Zsiedli z koni i przywiązali je do belki, dając jednemu z chłopów feniga za przypilnowanie i wytarcie słomą zwierząt. Poprawili broń i weszli do środka.

Tak jak należało się spodziewać po gabarytach budynku, główna sala karczmy była niewielka. Na klepisku widniały tysiące śladów chłopskich pantofli, przetykane nielicznymi odciskami podkutych butów. Za szynkwasem stał karczmarz, Żyd w średnim wieku, ewidentnie starający się nie rzucać w oczy i niespecjalnie zadowolony z nagromadzenia zbrojnych w jego zajeździe. W sali, całkiem nieźle oświetlonej, stało kilka stołów, w tym jeden długi, sześćoosobowy. Wystarczył rzut oka w jego kierunku, żeby zorientować się, że kmieć zrobił ich w wała.

Siedziało przy nim pięciu gości, a nie trzech, i z całą pewnością nie pochodzili z Niemiec. Gdy Schenk zobaczył egzotyczne suknie, przepasane szerokimi pasami materii, podgolone łby, ogromne wąsiska i zakrzywione ostrza, aż zazgrzytał zębami. Przybysze byli Polakami.

Najemnik widywał czasem polskich szlachciców, tu i ówdzie trafiali się na niemieckich polach bitew, na które przyjeżdżali, aby zakosztować wesołego życia żołnierza. Czasem zwiedzali kraj, wysyłani w podróż

edukacyjne przez swoich preceptorów i rodziców, czasem ściągała ich perspektywa zarobku albo dobrej zabawy. Odkąd pojawiła się Bania, wielu z nich, zwłaszcza tych ze wschodnich rubieży Rzeczypospolitej, przyjeżdżało osobiście obejrzyć ten dziw. Podobnie zresztą postępowali młodzi arystokraci z całej Europy. O ile jednak zwiedzający Francuzi, Anglicy i Włosi zajmowali się głównie wizytami towarzyskimi i pisaniem wierszy, o tyle specjalnością Polaków było robienie niemiłosiernego rozpiardolu. Kiedy parę miesięcy wcześniej przez Schweinfurt przetoczyła się kolumna Łukasza Opalińskiego, magnata, który uznał, że musi zobaczyć Banię na własne oczy, i przyjechał do Niemiec z całym dworem, hordą klakierów i połową chorągwi husarskiej, Oxenstierna musiał wysłać do miasta dodatkowy pułk huzarów, żeby utrzymać je w jakim takim porządku, co i tak nie do końca się udało. Schenk nie pałał więc miłością do wolnych obywateli Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Szlachcice siedzieli przy stole zastawionym jadłem, chlali na potęgę, przekrzykiwali się w ichnim narzeczu i co chwila wybuchali salwami rubasznego śmiechu. Wszyscy, rzecz jasna, byli przy szablach – i wszyscy pijani. Najemnik już chciał wycofać się rakiem, bo nie miał ochoty nadstawiać karku za chłopską karczmę, kiedy tamci zauważyli, że do zajazdu wkroczyło czterech knechtów. Natychmiast podnieśli niemiłosierną wrzawę, pokazując im gestami, że chcą porozmawiać. Schenk, rad nierad, podszedł do nich razem z Sójką. Polacy zaczęli coś gadać po swojemu. Najemnicy w odpowiedzi mogli co najwyżej pokręcić głowami. Szlachciury zaczęły coś szemrać do najgrubszego i najstarszego z nich, który patrzył nieprzytomnie zmętniałymi od alkoholu oczkami. Najwyraźniej jednak był najlepiej wykształcony, bo zaczął mówić łamaną niemiecczyną:

– Moi kolega wiedzieć, *quare w Germania* kobieta takie *deformis sunt*.

Schenk nie zrozumiał, o co mu chodzi. W odpowiedzi, z braku lepszego wyjścia, zapytał:

- Czy szlachetni panowie wiedzą coś może o trzech jeźdźcach, którzy szli najpóźniej wczoraj z zachodu?

Gruby, słysząc niemiecki, skrzywił się niemiłosiernie, jakby ktoś zrobił mu przykrość, i zaczął szeleścić do towarzyszy, którzy wybuchnęli obraźliwym śmiechem. Schenk poczerwieniał.

- Jeżeli nie - skłonił się najładniej jak umiał - to nie będziemy już szlachetnym panom przeszkadzać.

Na te słowa Polak siedzący u szczytu stołu, nieco starszy od Schenka i porządnie już nawalony, zerwał się na równe nogi i zaczął coś krzyczeć w stronę najemnika, wymachując kuflem i opluwając stół.

- Druh wiedzieć, czy ty go *insultare* - nieudolnie tłumaczył gruby.

Schenk zrozumiał ostatnie słowo i zaczął kręcić głową na znak, że nie, nie próbuje nikogo obrazić i nie szuka zwady.

Pieniacz podniósł ze stołu szablę i wyciągnął ją do połowy z pochwy, a jego towarzysze powstali gwałtownie. Najemnik cofnął się, wykonując przeczący gest, żeby jakoś się z tego gówna wykaraskać.

- Ja, Tomasz Dębiczak herbu Ogończyk, wszystkich tu obecnych biorę na świadki - darł się Polak - że ten psubrat niemiecki stanąć ze mną na szable nie chce, bo jest tchórz, śmieć, szwabski chwyt psi i z dupy mu śmierdzi, a matka jego ruchała się z osłem!

Schenk nic nie rozumiał z tego pohukiwania, ale z intonacji, postawy oraz rżenia i gwizdów zgromadzonych nietrudno było wywnioskować, że właśnie się go obraża. W końcu puściły mu nerwy i krzyknął:

- Zawrzyj pysk, prostaku, i odpierdol się!

Polak tylko na to czekał. W akompaniamencie wiwatów towarzyszy rzucił swoją długą szatkę, zostając w koszuli i luźnych spodniach, obnażył szablę i skoczył przez blat do przodu. Schenk, nie mając innego wyjścia, wyszarpnął z pochwy rapier i odtrącił kopniakiem stojący obok stół, żeby zrobić chociaż trochę miejsca. Nie znosił walczyć przeciw zakrzywionemu ostrzu, a już na pewno nie w takich warunkach -

ciasno, wąsko, brak przestrzeni, żeby trzymać przeciwnika na dystans, co było największą przewagą Schenka. Na szczęście Polak dużo wypił.

Awanturник rzucił się na niego jak wściekły pies. Najemnik odskoczył przed mocnym cięciem od dołu, mógł kontrować, ale wpadł na jakieś krzesło, zachwiał się i zaklął. Polak błyskawicznie skrócił dystans, uderzył, Schenk sparował, zakrzywione ostrze szabli oczywiście ześliznęło się, zamiast uczciwie zatrzymać, i szlachcic przeszedł do kolejnego ataku. Najemnik rozważał, czy nie gwizdnąć na chłopaków, ale zrezygnował z tego pomysłu. To był pojedynek i tylko ten fakt ratował ich przed bezładną siekaniną z liczniejszym przeciwnikiem w ciasnym wnętrzu.

Kurwa, miejsca! Miejsca, bo mnie zasiecze! – huczało mu w głowie. W desperacji wyszarpnął z pochwy lewak – niezbyt przydatny w starciu z szablą – w nikłej nadziei, że w zwarciu mignie szansa, żeby wsadzić go szlachciurze pod żebra. Tamten stracił trochę pary, zmarnowanej na pierwsze, gwałtowne ataki, odstąpił. Najemnik zaczął go okrążać, odręczając nogami walające się po ziemi stołki i przewracając ławy. Przeciwnik szybko się zorientował, co Niemiec próbuje osiągnąć i znów skoczył do przodu, tym razem z młyńcem, którego Schenk po prostu nie miał jak uniknąć, wyprowadził więc rozpaczliwe pchnięcie, wybijające atakującego z rytmu. Tamten nie wykorzystał sytuacji i nie ciął z rozpędu w drugą stronę, jakby zapomniał, że jego szabla jest dobre kilka funtów lżejsza. Najemnik pchnął znowu, Polak musiał odskoczyć. Szlachcic wyprowadził szerokie cięcie z góry w prawo, Schenk odruchowo sparował je lewakiem, ostrze się ześliznęło, ale nie przejął się tym i już ustawiał się do kolejnego pchnięcia, gdy gdzieś z tyłu głowy rozbrzęczało mu się tysiąc ostrzegawczych dzwoneczków.

Polskie szable mają fałszywe ostrze!

Za późno. Polak błyskawicznie zmienił kierunek cięcia i uderzył wierzchem klingi w górę, w lewe ramię od dołu. Schenk poczuł, jak ostrze przerzyna mięśnie i uderza o kość, zsuwając się aż do pachy. Krzyknął z bólu. Nie wypuścił rapiera z prawej ręki, ale lewa opadła

bezwładnie, znacząc klepisko fontanną krwi. Ukłął, zszokowany – gdyby Polak był mniej pijany albo miał cięższą szablę, upierdoliłby mu rękę.

Jego przeciwnik krzyknął tryumfalnie i dorzucił kilka najwyraźniej obelżywych słów po polsku. Z powrotem doskoczył do najemnika, ten podniósł się z trudem, ale walka była skończona, obaj to wiedzieli. Na szczęście wiedział to też oddział Schenka, który nie widząc innego wyjścia, obnażył klingi. Sójka przyskoczył do szlachcica od tyłu i wprawnym ruchem wbił mu sztylet między żebra. Polacy zakrzyknęli wielkim głosem i wyrwali z pochew szable, przeskakując stoły i ławy. Nikt się już nie interesował pokonanym. Sójka i dwaj Hesi starli się ze szlachcicami. Schenk, z najwyższym trudem przyciskając coraz bardziej krwawiące ramię do boku, wstał i desperacko rzucił się do przodu, zdradziecko dźgając walczącego najbliżej szlachcica w plecy. Czy atak odniósł jakiś skutek – o tym już się nie przekonał, bo stracił przytomność.

*

Obudził go rwący, koszmarny ból ramienia, promieniujący na całe ciało. Miał wrażenie, że lewa ręka zaraz mu odpadnie i uschnie gdzieś w krzakach jak wyrzut sumienia. Dygotał z zimna i potwornie chciało mu się pić. Otworzył oczy.

Był późny świt. Leżał na końskiej derce pośrodku przestronnej polany, rozświetlanej promieniami słońca. Całe jego ubranie i wszystko naokoło pokrywała cienka warstewka jesiennego szronu. Spróbował dotknąć lewego, rannego ramienia, ale zorientował się, że prawy nadgarstek ma przywiązany do paska. Spróbował poruszyć nogami – również skrępowane.

Ki chuj? – zdążył pomyśleć, zanim pojawił się nad nim jakiś człowiek.

– O, żyjesz – mruknął nieznajomy, kucając przy rannym. Schenk mógł wyraźnie zobaczyć jego kwadratową, pokaźną szczękę, niebieskie

oczy, wąskie usta i starannie przystrzyżone brązowe włosy i brodę. – Staraj się nie ruszać. Nieźle cię dziabnął.

– Kim jesteś? Rozwiąż mnie – wyszeptał najemnik wyschniętymi ustami.

– W tej chwili, obawiam się, to niemożliwe. Traktuj się jako... eee... jeńca. Nazywam się Klaus, a kim jestem, to długa historia, ale niewątpliwie nie tak ciekawa, jak to, kim ty jesteś, mój posieczony przyjacielu.

Schenk próbował odpowiedzieć, ale nie zdołał wydobyć z siebie słowa. Klaus zorientował się, w czym rzecz, i przytknął mu do ust buklak z wodą. Najemnik napił się z rozkoszą. Odchrząknął.

– Nazywam się Adam Blaumberg. Jestem kupcem, jechałem na targ w Schweinfurcie.

– Z trzema innymi zabijakami? To też kupcy? Bez towaru na sprzedaż? Wyparował? I po drodze wdałeś się w bójkę w karczmie, z polczkami w dodatku? Oj, chłopie, mógłbyś się bardziej postarać.

– Zaatakowano nas. A jechaliśmy na aukcję, kupić coś.

– Oduść sobie. Powinniście nieźle popracować nad lojalnością swoich żołnierzy. – Klaus wzruszył ramionami. – Tamci dwaj, których puściliśmy, notabene, wolno, bez mrugnięcia okiem wskazali ciebie i tego drugiego jako dowódców, Gottfriedzie Schenku, w specjalnej służbie Jego Książęcej Mości Wilhelma Heskiego zwanego Magiem.

Schenk nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Jeśli jednak rzeczywiście puścili tych idiotów wolno, miał szczerą nadzieję, że Hesi będą mieli na tyle jaj, żeby donieść Myliusowi, co się stało. Zaczynał bowiem rozumieć, kto go pojmał.

– Oho, widzę, że zaczynasz chwytac. Tak, jestem bardzo ciekawy, dlaczego z takim uporem deptaliście nam po piętach. Ponieważ jesteś niewątpliwie ciekawy, co właściwie się stało, ugaszę tę ciekawość. Kiedy zorientowaliśmy się, że ktoś nas śledzi, uznaliśmy, że trzeba dmuchać na zimne. Założyliśmy, słusznie, jak się okazało, że zatrzymacie się na nocleg w pechowym dla ciebie zajeździe i kiedy tam dotarliśmy,

chcieliśmy wziąć was z zaskoczenia. Okazało się jednak, że uprzedzili nas ci fascynujący Polacy, więc weszliśmy na gotowe: szlachcice martwi, ty nieprzytomny, twój towarzysz ledwo żywy ze zmęczenia, a obaj żołnierze ranni. Ot, cała historia.

- Kim jesteście?

- A to z kolei historia bardzo długa, której z pewnością teraz nie będę opowiadał. Chodź, spróbujemy cię podnieść.

Z pomocą Klauza najemnikowi udało się usiąść. Jego strażnik gwizdnał cicho dwa razy. Schenk odruchowo zapamiętał melodię. Na dźwięk spomiędzy drzew wyszedł łysy jak kolano mężczyzna uzbrojony w karabin skałkowy.

- Obudź tego drugiego - powiedział do niego Klaus. - I zbieramy się. Willi, kończ już to mycie! - Gdy Schenk ostrożnie się obrócił, zobaczył trzeciego, myjącego się w pobliskim strumyku.

Na derce obok leżał Sójka, również skrępowany jak świnia, ale, na ile Schenk mógł ocenić, cały i zdrowy. Obudzono go, dano mu wody, po czym cała trójka postawiła ich na nogi, rozcięła więzy u nóg i wsadziła na konie, pozostawiając związane ręce. Ruszyli w drogę: pierwszy jechał łysy, potem Schenk i Sójka, za nimi Klaus i długowłosa blondynka nazwana wcześniej Willim. Jechali na zachód, więc najemnicy mieli okazję podziwiać szykowne refleksy słońca błyszczącego na łysinie prowadzącego szyk. Schenk co jakiś czas syczał z bólu, ale nie pomniejszało to jego ciekawości. Po przejechaniu kilku kilometrów nie wytrzymał i zapytał głośno:

- Dokąd nas zabieracie?

Odpowiedziało mu milczenie.

- Po co wam jesteście? Nawet nie wiemy nic specjalnego.

Cisza.

- E, łysy! - krzyknął Sójka. - Polerujesz tę glacę smalcem czy sama się tak świeci?

Brak reakcji.

Klaus podjechał trochę do przodu, tak, żeby jechać z nimi bok w bok.

- Powiedzmy, że mój towarzysz nie jest zbyt rozmowny. Nie zaczepiajcie go, bo i po co. To infantylne.

- To może ty nam odpowiesz na kilka pytań?

- Przede wszystkim na to o glacę - wtrącił Sójka, najwyraźniej usiłując Klause sprowokować, czy to ze złośliwości, czy z bezsilności.

Tamten nie przejął się drwiną.

- Czy Stein poleruje glacę, nie mam pojęcia, nie moja głowa - powiedział spokojnie. - Po co nam jesteście? To dość skomplikowana kwestia, w której nie czuję się zbyt kompetentny. Powiedzmy, że ktoś z pewnością będzie to wiedział. Dokąd jedziemy? Przecież wiecie dokąd.

- Do Bani.

- Powinniście się cieszyć. Od pół roku przecież usiłujecie ją sforsować wszelkimi sposobami. To, że już jej nie opuścicie, nie powinno umniejszać waszej radości.

Schenk wymienił z towarzyszem szybkie spojrzenie. Sójka był arcymistrzem uciekania z niewoli. Od dziecka chwytny w ramach najróżniejszych bitew i przygód, nawiewał już z obozów, więzień, kolumn jeńców, nawet spod pręgierza. Schenk wiedział więc, że towarzysz prawdopodobnie w każdej chwili może bez problemu dać drapaką. Miał jednak do Sójki na tyle zaufania, żeby nie obrażać go podejrzeniem o skończoną głupotę, jaką byłaby ucieczka zanim znajdą się w środku. W związku ze specyficznym doświadczeniem przyjaciela nie przejmował się specjalnie sytuacją, w której się znaleźli - zresztą ręka bolała go tak bardzo, że nie mógłby wiele zrobić - natomiast darmowy wjazd do Bani z obstawą wydawał się nie tyle kłopotem, ile prezentem od losu. Wiedział, że Sójka też to wie. Niestety, wiedział też, że ów Klaus też to wie, tak samo jak tamten wiedział, że wiedzą oni. A to mogło oznaczać tylko jedno - jakiegoś asa w rękawie porywaczy, z którego nie zdawał sobie sprawy. Mimo to ufał, że jakoś sobie poradzi.

– Nie opuścimy, powiadasz? A czemuż to, jeśli wolno zapytać?

– Po pierwsze, z dużym prawdopodobieństwem traficie do celu. Po drugie, jak sami się przekonaliście, przekraczanie bariery nie jest specjalnie łatwe, jeżeli się nie wie, jak to zrobić. A wy nie wiecie.

– Ale się dowiemy.

– Być może. – Klaus uśmiechnął się tajemniczo i wrócił na swoje miejsce w szyku.

Wlekli się dalej. Schenk z braku lepszego wyjścia usiłował się zorientować, gdzie porywacze trzymają ich klamoty, w tym broń, ale ze skrępowanymi rękami, w tym jedną ranną, nie miał zbyt wielkiej swobody manewru – lewe ramię bolało jak cholera przy każdym ruchu, czuł też, że ma gorączkę. Przy którejś próbie obejrzenia się za siebie zachwiał się tak, że prawie spadł. Z poszarpanego rękawa kurty zaczęła ściekać krew, znacząc bok Burzy i ich trasę. Gdy Klaus to zauważył, westchnął i nakazał krótki postój.

Pomogli im zejść z koni, po czym usadzili Schenka na stojącym przy drodze pniaku. Odwiązawszy jego prawą rękę od paska, ostrożnie ściągnęli mu kurtę. Rękaw koszuli, który posłużył za bandaż, przesiąkł krwią.

– Ech, miałem nadzieję, że wytrzyma – odezwał się Łysy z lekkim, śpiewnym akcentem z Meklemburgii. Były to pierwsze słowa, jakie od niego usłyszeli. – No nic.

Podszedł do swojego konia i z sakwy wyciągnął skórzaną torbę. Wygrzebał z niej mniejszą sakiewkę i butelkę gorzały. Dał Schenkowi solidnego łyka i przystąpił do zdejmowania opatrunku. Mimo znieczulenia najemnik zasyczał.

Przypalone brzegi rany wskazywały, że w czasie, kiedy leżał nieprzytomny, ktoś ją odkaził i to całkiem sprawnie. Przeszło mu przez myśl, że, o ironio, prawdopodobnie zawdzięcza swoim porywaczom życie. Dla laika rozprute tkanki, rozchodzące się na boki, osmalone i zmartwiałe, wyglądały makabrycznie, ale obyty z urazami bojowymi najemnik widział, że jest wcale nieźle. Zrozumiał też, o co chodziło

Łysemu z „wytrzymywaniem” – cięcie okazało się głębokie, ale wąskie, więc zostawili je bez szycia, co najwyraźniej jednak nie wystarczyło. Dlatego też nie zdziwił się, kiedy w rękach tamtego zaczęły migać wyciągane z sakwy igły i nici. Westchnął ciężko i zacisnął zęby.

Kierowany naturalnym odruchem usiłował powstrzymać syczenie i nie pojękiwać, ale było to trudne, bo Łysy bynajmniej nie przeprowadzał operacji delikatnie – za to zgodnie z zasadą, że zabieg chirurgiczny należy skończyć najszybciej, jak się da. Rana pulsowała tępo, co chwila eksplodowała gwałtownym, ostrym bólem, gdy igła przebijała skórę, a kłaczysta dratwa szorowała po delikatnych brzegach uszkodzonych tkanek. Schenkowi zrobiło się niedobrze. W końcu jednak – minęły może dwie wydające się wiecznością minuty – Łysy przegryzł nić i dokładnie obandażował ramię najemnika świeżym kawałkiem płótna, wcześniej smarując je grubo maścią, od której jechało rozmarynem, świńskim łojem i Bóg wie czym jeszcze.

– No, łapy nie stracisz, jeśli się nie wda zakazanie – powiedział i splunął na ziemię, wycierając ręce z krwi. – Ale z lewakiem to się pożegnaj na dłuższy czas. A rapier to mało skuteczna broń, wiesz o tym?

– Poręczna. Przywykłem.

– No nie wiem. Ja to już bym wolał z siekierą iść. Ale po prawdzie to jesteśmy wrogami, więc baw się szpikulcem do woli, a na łapsko uważaj, a niech Bóg da, to jeszcze pomachasz i zweihanderem – rozgadał się cyrulik, zakładając mu temblak. – No, to wio, jedziemy.

Wsadzili rannego z powrotem na konia, przywiązując mu prawą rękę do łąku. Burza, wyczuwając ból i niepewność właściciela, szła powoli i spokojnie, usypiając go miarowym krokiem. Jak należało się spodziewać, dalej gorączkował, więc prawie nie widział mijanego lasu, mieniącego się wszystkimi odcieniami brązu i czerwieni, podobnie jak zaniepokojonych spojrzeń Sójki i rozmiękłej drogi, tej samej, którą gnali jak wicher jeszcze poprzedniego dnia. Koło południa zatrzymali się na chwilę, dali jeńcom trochę pieczonego mięsa, odgrzanego nad nie wiadomo skąd i jak rozpalonym ogniem, a potem było już tylko

kołysanie końskiego zadu, krótkie momenty otrzeźwienia i czujnego rozglądania się wokół, pasmo rozlewających się w oczach, obsypanych suchymi liśćmi drzew, bezsensowny trel ptaków. Bolało cały czas.

Ocknął się dopiero na widok Bani i wioski, od której cała ta historia się zaczęła. Mignęła mu jak przez mgłę obrzydliwie zadowolona twarz wodzireja Kaia, który przez okno swojej chaty przyglądał się jeńcom z mściwym zachwytem. Zatrzymali się przy samej krawędzi bariery i zsiadli wszyscy z koni. Klaus sięgnął za pazuchę i wyciągnął stamtąd skórzany miś. Łysy podetknął mu chlupiący bukłak, jego dowódca zaś alchemiczną miarką odmierzył z mieszka odrobinę zielonego proszku i wsypał go do środka. Wymieszał porządnie. W tym czasie trzeci z nich wsadzał coś koniom do pysków.

Klaus podszedł do Schenka.

– Goście najpierw. – Uśmiechnął się, trochę szyderczo. – Pij. Nie za dużo.

Schenk nie wykonał żadnego ruchu. Gdy tamten przyłożył mu bukłak do ust, szarpnął się. Klaus wywrócił oczami.

– Na rany Chrystusa, miałbym cię truć po tym, jak kazałem opatrzeć i wlokłem ze sobą przez pięćdziesiąt kilometrów? Myśl trochę. Patrz. – Pociągnął z bukłaka soczysty łyk.

Młodzian, chcąc nie chcąc, poszedł w jego ślady, gdy ponownie przytknięto mu szyjkę do ust. Smakowało jak zwykłe jabłkowe wino, niezbyt zresztą dobre. Po nim przyszła kolej na Sójkę i całą resztę. Gdy wszyscy wypili, Klaus wylał resztę płynu do tego samego strumyka, do którego Schenk wcześniej sikał, po czym rzucił skórzany wór na ziemię i spalił go za pomocą bardzo udanego maleficium, co było zresztą pierwszym świadectwem jakichkolwiek związków ich przeciwników z siłami nadprzyrodzonymi, jakie młody najemnik widział.

Następnie bez słowa, jakby to było najzupełniej naturalne, wszyscy po kolei przekroczyli barierę. Najemnicy poczuli tylko, jakby przeszli przez delikatną mżawkę – i już byli po drugiej stronie, zszokowani, i rozglądając się szeroko otwartymi oczami.

- Witamy – powiedział Klaus z powagą, jakby dopełniał jakiegoś obowiązku lub rytuału – w Księstwie Różanego Krzyża.

Rozdział VI

Erquicia spojrział na ciągnącą się przed nimi wąską, brudną uliczkę i westchnął, zastanawiając się, czemu Pan, zamiast posłać go w przestronne i jasne aleje Włoch lub Hiszpanii, znów wrzucił go w odmętę ciemnej, klaustrofobicznej, protestanckiej metropolii, jaką był Amsterdam. Z pobliskiego kanału śmierdziało zgniłą morską wodą i rybą. Mżyło.

Brat Albert, trzymający się pół kroku za nim, również nie miał humoru; snuł się za swoim preceptorem jak cień, chowając twarz w kapturze opończy. Amsterdam nie wpływał na niego dobrze, ale z zupełnie innego powodu – młody zakonnik, naczytawszy się o krwawych, heretyckich zabawach i solidnie nastraszony przez starszych braci, po prostu bał się okropnie, odkąd przekroczyli mury miejskie. Erquicia co prawda miał więcej powodów do obaw, bo nie dość, że był katolikiem, to jeszcze Hiszpanem – co nie przysparzało mu wielu przyjaciół w stolicy Niderlandów (żeby być precyzyjnym: nie przysparzało mu żadnych). Dawno już jednak przekonał się, że w tak wielkim mieście w zupełności wystarczało nie rzucać się w oczy, żeby uniknąć kłopotów. Trudne okazało się natomiast uspokojenie młodego kleroika, dogłębnie przekonanego, że oto znalazł się w siedlisku węży, grzechu, herezji i Bóg wie czego jeszcze. Dominikowi zresztą takie nastawienie towarzysza nawet odpowiadało – mniejsza była szansa, że ten chłapnie coś nieopatrznie lub zrobi coś głupiego, powodowany młodzieńczą porywcznością.

Tak jak planowali, od momentu wejścia do miasta trzymali się z dala od katolickich komun, chociaż w paru miejscach Erquicii udało się zlokalizować charakterystyczne dla papistowskiej konspiracji znaki: nabazgrane tu i ówdzie ryby, budynki, do których wierni przemykali

ukradkiem na msze, czy wychodzących z tych samych miejsc księży, nerwowo chowających manipularze pod płaszczami. Zakonnicy utrzymywali bezpieczne incognito, nie narażając ani siebie, ani braci w wierze na nieprzyjemności – zwłaszcza że należało założyć inwigilację tych środowisk. Na pomoc kalwinistów nie mieli co liczyć, paradoksalnie więc ich szansą okazały się kręgi zainteresowane tylko jedną formą zbawienia, tą mianowicie, która błyszczy i brzęczy.

Przeszli wąską alejką i przekroczyli smrodliwy kanał, aby stanąć pod niską, przysadzistą kamieniczką z narożną witryną. Wystawa świadczyła o tym, że lokal jest opuszczony – jakiegokolwiek przedmioty na niej stały, teraz obleczone były sukniem, a w środku, mimo półmroku poranka, nie paliło się żadne światło; zamiast szyldu zwisały nad wejściem smętnie pobrzękujące łańcuchy. Mimo to Erquicia energicznie zastukał kołatką. Nie czekali nawet minuty, gdy w oknach zabłysło światło i ciężkie, dębowe drzwi otworzyły się szeroko.

Równie szeroki okazał się uśmiech gospodarza, który szczerzył się do nich, aż światło trzymanej przez niego lampy odbijało się od żółtawych zębów. Gładko ogolona twarz z długim blond wąsem była podłużna i wyciągnięta, co nadawało właścicielowi wyjątkowo chytrego i złośliwego wyglądu, niejako wbrew oczom, głęboko osadzonym, o mądrym wyrazie. Pośrodku oblicza sterczał wielki, kartoflowaty nos, zupełnie niepasujący do całej reszty. Strój sklepikarza, składający się ze skórzanych butów, z szerokich spodni i ciemnego kubraka, był tak doskonale neutralny, że noszący taki przyodziewek mógł z równym powodzeniem wejść na bal arystokratów, jak i do szemranego szynku i nigdzie by się specjalnie nie wyróżniał.

– Toż to panowie Santiago i de Mirable! – przywitał ich nazwiskami, które mu podali, choć z całą pewnością wiedział, że są fałszywe. – I to jak punktualnie! – dodał entuzjastycznie, słysząc wybijaną w pobliskim kościele pełną godzinę.

– Panie van der Staats. – Erquicia się skłonił.

– Jaki tam pan van! Staats wystarczy, mówilem waszmości. – Jego rozmówca zamachał niecierpliwie ręką. – Wchodźcie, w progu się źle gada o interesach!

Przepuścił ich w drzwiach i poprowadził w głąb wymarłego sklepu. Główna izba, wypełniona zniszczonymi sprzętami, sprawiała wrażenie opuszczonej, tak jak sugerowała witryna, ale dalej, w mniejszym pokoju na zapleczu, płonął ogień w piecyku i czekały na nich miękkie fotele, a także wino, którym poczęstował ich gospodarz. Na regałach pod ścianami stały różne miscellanea, zaczynając od ususzonych bazylii w wazoniku, przez popsute kwadranty, aż do wielkiego słoja z formaliną, w którym pływały resztki czegoś organicznego, co mogło – ale nie musiało – być kiedyś homunkulusem. Rozsiedli się wygodnie.

– No dobrze, panowie – zaczął Staats. – Konkrety. Miło mi donieść, że za wasze guldeny dowiedziałem się wcale niemało, powiedziałbym nawet, że więcej, niżbym chciał, dlatego należy się dodatkowe dwadzieścia za, ekhm, koszty operacyjne.

– Czyli, mówiąc wprost, łapówki? – zapytał Albert.

Staats wykonał niesprecyzowany, chaotyczny gest, dający do zrozumienia, że jego oburzenie jest równie głębokie, co fałszywe.

– Oj, oj, to bardzo brzydkie słowo. Zostanmy przy kosztach operacyjnych. Płacie albo fora ze dwora. – Wzruszył ramionami. – Nie będę w własnej kieszeni dokładał do interesów moich klientów.

– Tu jest trochę ponad dziesięć. – Erquicia bez mrugnięcia okiem odpiął sakiewkę. Dostęp do nieskończonych funduszy zakonu był jedną z największych zalet służby w nim. – Reszta po wizycie w banku, bo nie mam więcej przy sobie. Nie kręć, Staats, wiesz, że jesteśmy wypłacalni.

– Wiem. Dlatego w ogóle nadal rozmawiamy, bo historia, w którą usiłujecie mnie wplątać, nie jest wcale bezpieczna. Poza tym wiem też, że w Holandii niewiele jest tak wypłacalnych organizacji, co każe mi się zastanawiać, do której z nich właściwie należycie... Ale, rzecz jasna, jest to zupełnie nieistotne. – Na widok miny Erquicii porwał ze stolika sakiewkę i szybko zmienił ton. – Nie obchodzi mnie wasze, a cudze

tajemnice. Poprosiłbym jednak o akredytywę na resztę kwoty. – Podetknął Dominikowi papier, pióro i kałamarz.

W czasie, kiedy Hiszpan wypisywał list bankierski, panowała cisza. Erquicia przerwał ją dopiero, gdy po zamaszystym podpisie postawił ostatnią, specyficzną ukształtowaną kropkę – zakon miał swoje sposoby, by rozpoznawać swoich, nawet na piśmie i pod fałszywym nazwiskiem.

– Czemu powiedziałaś, że sprawa jest niebezpieczna?

– Nie to, że ktoś czyhał na mnie z nożem. – Staats ponownie wzruszył ramionami. – Ale zaplątani są w nią bardzo wysoko postawieni ludzie. Nieco zbyt wysoko, jak na gust człowieka, który usiłuje się nie wyróżniać. Dokoła stadhoudera cały czas ktoś się kręci. Mądrale z Lejdy z jednej strony, kontrremonstranci z drugiej, a żadni nie przepadają za prywatnymi przedsiębiorcami w sektorze. Kontrremonstranci uważają eteromantów za wybryk natury, a uniwersytet, chociaż twierdzi, że jego powołaniem jest wymiana wiedzy, staje się zaskakująco zazdrosny, kiedy do informacji pcha się ktoś spoza niego. Nie wspominając o węszeniu wokół wewnętrznych spraw uczelni. A ja, tak jak mówiłem przy naszym pierwszym spotkaniu, jestem spokojnym człowiekiem i staram się nikomu w drogę nie wchodzić...

– Ale co mają do rzeczy stadhouder i uniwersytet?

– Otóż bardzo dużo, ponieważ to właśnie pod ich kuratelą znajduje się wasza poszukiwana pannica.

– Jakim niby cudem? – Erquicia się skrzywił. – Oj, Staats, czyś ty aby nie zmarnował naszych pieniędzy?

– Uważam to oskarżenie za skandaliczne, jestem profesjonalistą – skomentował chłodno Holender. – Ale skoro nie nadążasz, to najwyraźniej wiesz jeszcze mniej, niż mi się wydawało, więc zacznijmy od początku. Sam wtedy ocenisz, czy twoje pieniądze poszły w błoto.

Pociągnął kilka małych łyków z kieliszka, zbierając myśli.

– Mniej więcej w listopadzie zeszłego roku – zaczął opowieść – rada dziekanów w Lejdzie zamieniła się w nożową rozprawę, i to dosłownie,

jeśli wierzyć plotkom, ponieważ znany wam zapewne l'Empereur, któremu dopiero co pozwolono otworzyć katedrę eteromancji, podrzucił profesorom wielkie, zgniłe jajo. Wystąpił mianowicie o pozwolenie rady na przyznanie stypendium stadhouderskiego kobiecie, i to w dodatku Niemce, której nikt nigdy na oczy nie widział. Niestety nie udało mi się ustalić, skąd o niej w ogóle wiedział, bo to tajemnicza sprawa, w którą jest zaplątany wywiad orański, więc przykro mi, ale żadne pieniądze nie zmuszą mnie do wpakowania się w to, zwłaszcza że wydało mi się to nieistotnym detalem. Wiedział, to wiedział. Możecie się domyślić, że awantura, która wybuchła po tej propozycji, rozeszła się szerokim echem. Teolodzy i różni mizogini rzucili się l'Empereurowi do gardła, rektor był bardzo niezadowolony i w gruncie rzeczy nie jest jasne, jakim cudem ostatecznie podjęto decyzję o przyznaniu stypendium. Może to urok profesora, może jego powiązania ze stadhouderem, może poszła w ruch jakaś kasa?

- To bardzo interesujące, ale, o ironio, pominąłeś właśnie to, co mnie najbardziej interesuje: skąd l'Empereur wiedział o dziewczynie?

- Możesz iść i go spytać. - Staats znów wzruszył ramionami. - Tak jak mówiłem, ja się w to pakować nie zamierzam i nie sądzę, żebyś znalazł kogoś, kto zaryzykuje. Z tajną służbą Oranów nie ma żartów, mości Santiago.

Erquicia westchnął, ale skinął głową.

- Wracając do naszej historii. l'Empereur w styczniu zorganizował ekspedycję do południowych Niemiec, żeby przywieźć dziewczynę na miejsce. O ile mi wiadomo, Fryderyk Henryk na tym etapie nawet nie wiedział o sprawie, zresztą do dzisiaj obchodzi go ona tyle, co zeszłoroczny śnieg. Akademicy wydelegowali jakichś niezbyt lotnych magistrów, wynajęli im eskortę w postaci znanej tu i ówdzie hanzy Krauzego z Kleve, po czym posłali na południe, gdzie ślad po nich zaginął. Kiedy już wszyscy uznali, że cały ten absurdalny pomysł wziął w łeb, w marcu na progu uniwersytetu objawił się jeden z tych magistrów razem z dziewczyną, którą pokazano publicznie raz czy

drugi, po czym zamknięto na cztery spusty. Co stało się z resztą bohaterów dramatu, nie wiem.

- Ale my wiemy. Powiedzmy, że hanza Krauzego nie będzie już znana ani tu, ani ówdzie. Kontynuuj, proszę.

- Ależ oczywiście. Dziewczyna przepadła w Lejdzie jak rybka w toni, wiadomo jednak było, że komnaty gościnne uniwersytetu pozostają zajęte i nietrudno było się domyślić, kto je zajmuje. Jednocześnie na salonach Amsterdamu zaczęła brylować niejaka Blanchefleur von Barby, przeurocza, słodka dziewczyna, Niemka z dolnej Hesji, którą miałem okazję nawet przelotem poznać, bo nie jest zbyt wybredna w doborze towarzystwa. Ponieważ zjawiała się ona dokładnie w tym samym momencie, co wasza panna, i w dodatku również jest gościnią uniwersytetu, można domniemywać, że mają ze sobą coś wspólnego. Być może was to zdziwi, ale dziewczę, wyjątkowo chętne do dzielenia się informacjami na tematy wszelakie, zwłaszcza gdy dotyczą kwestii towarzyskich i politycznych plotek, w sprawie swojej koleżanki niestety nabiera wody w usta i nie daje z siebie wyciągnąć ani słówka. Jest jednak potencjalnym kontaktem. Może odpowiednia motywacja jej pomoże? Nie sprawdzałem, bo też o żadnym motywowaniu dotąd nie było mowy.

Dominikanie skinęli głowami.

- Innych informatorów nie ma zbyt wielu. Udało mi się dotrzeć do radnego, który widział Katarzynę, bo tak ma na imię, prawda?, na kolacji tuż po jej przyjeździe, ale nie powiedział mi nic mądrego, bo dziewczyna nie mówiła wówczas ani słowa po holendersku. Albo udawała, bo, jak wiadomo mi z innych źródeł, miesiąc później mówiła w tym języku jak rodowita lejdenka. Ciekawe, prawda?

- Szalenie. Czy to wszystko?

- A skądże, tu właśnie robi się naprawdę interesująco. Udało mi się bowiem, nie bez problemów, dotrzeć również do pewnego ambitnego akademika z katedry eteromancji, który cierpi na nadmiar pomysłów i niedobory gotówki, stąd koszty operacyjne, które ponieśliście z taką

godnością. Otóż twierdzi on, że dziewczyna jest na uniwersytecie nauczana w trybie specjalnym przez niemalże wszystkich profesorów. Nie jest to informacja rewolucyjna, bo plotkują o tym wszyscy żacy, ale za to jest pewniejsza niż plotki, ponieważ rzeczony akademik jest osobistym asystentem Cunaeususa. Doniósł mi on też, że dziewczyna jest podobno niesamowicie utalentowana, co udowodniła, okazując się prawdziwą autorką efektu Trompa.

– Efektu Trompa?

– Dzięki niemu udało się przebić bariery hiszpańskich i kaperskich statków. Przykro mi to mówić, ale przez to właśnie rodacy waszmości parę tygodni temu dostali u wybrzeży Galicji spektakularny wpierdół. Co więcej, efektem tym zainteresowała się Kompania Wschodnioindyjska, a oni zwykle bardzo dobrze wiedzą co i jak. Znajomy znajomego, prokurent w sztabie głównym kompanii, zdradził mi w zaufaniu, że komuś bardzo zależało, żeby efekt Trompa pozostał efektem Trompa, a nie efektem von Besserer. Natomiast faktem okazało się, że wasze dziewczę ma jakieś znaczenie militarne, a tu się już robi nieprzyjemnie, politycznie i generalnie smrodliwie, ponieważ zaczął dokoła niej węszyć de Graeff.

– Wiesz coś więcej na ten temat?

– Jeszcze nie zgłupiałem na tyle, żeby pchać swoje krótkie paluszki między drzwi, które trzymają Graeffowie, przykro mi. Mam wrażenie, że macie przesadne mniemanie o moich kontaktach i możliwościach.

– Te informacje są w ogóle pewne? – wtrącił Albert powątpiewającym tonem.

– Na tyle, na ile pewna może być historia złożona z plotek, półślówek i nieoficjalnych opinii, uzyskanych za sprawą pochlebstwa, perswazji, szantażu, łapówek i gróźb. Czyli nie bardzo. Ale płacicie mi za wieści, a nie za ich weryfikację, czym się zresztą nie zajmuję. Zwracam uwagę, że nawet wieściami się do końca nie zajmuję, jestem eteromantą, a nie szpiegiem.

- Biorąc pod uwagę to, co tu usłyszeliśmy, to raczej fałszywa skromność... - Hiszpan się uśmiechnął.

- Być może. Ale zarazem szczerą prawdą. Wracając do naszej historii, niewiele więcej udało mi się ustalić, ale za to znam dokładną lokalizację waszego dziewczęcia dziś wieczorem. Została bowiem zaproszona na wielkie przyjęcie w Hadze, wystawione z okazji powrotu stadhoudera do stolicy. Jest na oficjalnej liście gości między resztą profesorstwa. Nietrudno było do niej dotrzeć, kancelaryści plotkują gorzej niż stare baby. Poza tym jednym wieczorem gnije gdzieś w gmachu uniwersytetu i całymi dniami robi nie wiadomo co.

- Mógłbyś nas jakoś wcisnąć na to przyjęcie?

Staats parsknął.

- Na bal stadhoudera, w ciągu dziesięciu godzin? Przesadne mniemanie, przyjaciele, bardzo przesadne.

- No dobra, a gdzie się odbędzie?

- W Noordeinde, to ulubiony pałac Fryderyka Henryka. Sugeruję się jednak trzymać z dala od tej imprezki. Będą tam wszyscy najważniejsi ludzie w republice, niech Bóg nad nią czuwa, i jeśli wpadniecie, czeka was o wiele gorszy los niż czapa, zwłaszcza kiedy odkryją, kim właściwie jesteście.

- Przecież nie wiesz, kim właściwie jesteśmy...

- Skoro tak twierdzicie - rzekł obojętnie Holender - to pewnie nie wiem. Mam jednak swoje przypuszczenia, a skoro mam je ja, to z całą pewnością będzie je miała też tajna służba stadhoudera, o agentach kompanii nie wspominając. Uznajcie to za przyjacielskie ostrzeżenie.

- Twoja troska jest doprawdy wzruszająca. Ciekawi mnie tylko, skąd wypływa?

- Tak jak sam wspomniałeś, jesteście wyplacalni, a wyplacalny klient to dobry klient. Tak czy inaczej, to niestety wszystko, czego udało mi się dowiedzieć w ciągu trzech dni. Mogę węszyć dalej, ale tylko wokół tych tropów, które nie dotyczą kompanii ani wywiadu. Na przykład przycisnąć tę von Barby albo spróbować dotrzeć do Cunaeusy.

O ile mi wiadomo, nasza jurystyczna sława lubi czasem wypełznąć z uniwersytetu i poszukać trochę uciech.

- Na razie zostaw sprawę. - Erquicia pokręcił głową. - Musimy się upewnić co do paru rzeczy. W razie czego skontaktujemy się z tobą.

- Nie wątpię. - Gospodarz uprzejmie skinął głową. - No, w takim razie na waszmościów już chyba pora?

Odprowadził ich do drzwi, zgiął się w dworskim ukłonie i zatrzasnął za nimi ciężkie skrzydła wrót. W czasie rozmowy ze Staatsem zdążył się zrobić późny ranek - po pustawej wcześniej ulicy bieżeli w każdą stronę służący, kupcy, drobni handlarze i mieszczenie, aby jak najszybciej załatwić swoje sprawy. Gwar mieszał się z łopotem żagli na kanałach.

- Co dalej? - zapytał brat Albert.

- Przede wszystkim musimy ustalić, czy ta tajemnicza dziewczyna z uniwersytetu to rzeczywiście Katarzyna von Besserer. Czyli jedziemy do Hagi.

- Czego właściwie uniwersytet może od niej chcieć? Myślisz, że naprawdę... ją uczą?

- Całkiem możliwe - mruknął Erquicia. - Holendrzy to bardzo pragmatyczni ludzie. Jeśli uznali, że im się to opłaci, mogli rzeczywiście podeptać wszystkie zasady, tak samo jak zrobili to, buntując się przeciwko królowi Hiszpanii i próbując zalegitymizować swoje herezje w Dordrechcie. Niepokoi mnie coś innego. Z tego, co mówił Staats, wynika, że mogli mieć rację.

- Co masz na myśli?

- Pomyśl. Jeśli dziewczyna rzeczywiście jest aż tak utalentowana i rzeczywiście może zapewnić jakąś przewagę militarną, to bardzo źle, że trafiła w ręce protestantów. Równie dobrze mogliby to być Szwedzi - i co wtedy? Armie Gustawa Adolfa i bez tego są lepsze, sprawniejsze, szybsze i lepiej wyposażone niż cesarskie. Sjungonderzy są wciąż gorzej wyszkoleni niż nasi bracia, ale nie musi tak być zawsze. Utalentowana eteromantka, która opracuje nowe precyzja, może być ważniejsza, niż nam się zdaje.

- Czy to nie dlatego generał Tilenheim wysłał nas jej śladem?

- Myślę, że generał Tilenheim mógł sam nie do końca rozumieć znaczenie tej sprawy, ale mniejsza o to. Zmierzam do tego, że bardzo mądrze byłoby tego nie skiepszczyć, dlatego musimy być od tej chwili jeszcze ostrożniejsi. Tak jak mówię, zacznijmy od identyfikacji.

- A jak chcesz ją zidentyfikować?

- Wiem jak wygląda - odpowiedział Hiszpan. - Po prostu będziemy obserwować wejście do pałacu. Jeśli ją poznam, to wszystko będzie jasne. Ale w tym celu musimy znaleźć dobre miejsce, więc lepiej zjedzmy śniadanie i jedźmy do Hagi.

Udali się do kasy kupieckiej po gotówkę, a potem do gospody, w której się zatrzymali, szybko przełknęli jajecznicę, po czym zapłacili za pokój, odebrali ze stajni wyczesane konie i ruszyli w drogę. Z Amsterdamu do Hagi nie było daleko - raptem trzydzieści parę kilometrów - mimo wybrukowanych gościńców należało się jednak liczyć z całodzienną podróżą. W związku z tym jechali szybko, a kiedy dotarli do stolicy kraju, zaczynało już zmierzchać i zarówno oni, jak i konie byli zupełnie wyczerpani. Zostawili wierzchowce w stajni przy bramach, zapłacili, Erquicia wziął parę rzeczy z sakw i weszli do miasta. Bez problemu znaleźli drogę do pałacu, zapytawszy łamanym niderlandzkim pierwszego lepszego przechodnia.

Gdy ujrzeli niepozorną budowlę, bał jeszcze się nie zaczął, ale w okolicy już roilo się od orańskich żołnierzy, zabezpieczających okoliczne ulice. Obserwowanie wejścia z poziomu ziemi było niewykonalne - gdyby tylko przystanęli, zostaliby prawdopodobnie zatrzymani i posłani precz. Hiszpan nie zamierzał tego sprawdzać. Zaczął się rozglądać po dachach kamienic.

- Na rany Chrystusa! - zawołał Albert, wyglądając zza rogu. - Ilu ich tu jest? Kto będzie na tym balu?

- Poza stadhouderem połowa elit Holandii. Nie dziw się, że dobrze ich obstawiają. Widziałeś kiedyś, ile gwardii szwajcarskiej jest na konklawe?

- Nigdy nie byłem w Rzymie. - Młody zakonnik się zaczerwielił.
- Jeszcze będziesz miał okazję. A włamywałeś się gdzieś kiedyś?
- Słucham?! Oczywiście, że nie!
- Zawsze musi być ten pierwszy raz. Chodź.

Hiszpan pociągnął młodego do upatrzonej, narożnej kamienicy stojącej dwie przecznice od pałacu, z której, jak ocenił, powinien być idealny widok na rzęście oświetlone wejście główne. W żadnym oknie poza parterowymi nie dostrzegł światła, co wskazywało na to, że właściciela nie ma w domu. Na trzypiętrowy budynek bez żadnych fachwerków nie było szansy się wspiąć, ale od strony dziedzińca znajdowało się wejście dla służby. Erquicia bez żenady pchnął drzwi i wszedł do środka.

- Co jeśli kogoś spotkamy? - wyszeptał teatralnie Albert.

Erquicia zbył pytanie machnięciem ręki.

- Zapłacimy mu albo uciekniemy - odpowiedział, lustrując schody prowadzące w górę.

Na drugim piętrze usłyszeli kroki. Hiszpan pociągnął Francuza w załom korytarza. Służąca, pulchna dziewczyna w czepku, oślepiona niesioną przez siebie świecą, minęła ich o metr. Poczekali, aż zejdzie na dół, i wspięli się na ostatnie piętro.

- To zupełnie bezczelne - jęknął załamany Albert. Erquicia uciszył go syknięciem.

Znaleźli pokój z narożnym oknem, ciemny i cichy. Była to bawialnia, co pozwoliło przypuszczać, że nikt tu nie wejdzie aż do rana. Dominik ostrożnie uchylił okno, tak, żeby nie stuknąć okiennicą, po czym przystawił sobie krzesło i rozsiadł się wygodnie. Z sakwy wyciągnął małą perspektywę i zaczął lustrować okolice wejścia do pałacu.

- Proszę bardzo - wyszeptał, zadowolony. - Idealny widok i jeszcze wygodnie siedzimy.

- Ale to czyjś dom!

- Przecież nie zamierzamy nic kraść - odparł Hiszpan, próbując przywyknąć do odwróconego obrazu.

- I tak nie czuję się z tym dobrze.

- Cicho, nie robimy nic złego. Pilnuj lepiej, czy ktoś nie idzie.

Widoczność była doskonała, więc Erquicii nie pozostało nic innego, jak czekać. Po około godzinie zaczęli zjeżdżać się pierwsi goście stadhoudera. Niestety, powozy zajeżdżające pod bramę zazwyczaj zasłaniały wysiadających, więc Hiszpan widział ich twarze dopiero, kiedy podchodzili do drzwi, więc raptem przez kilka sekund. To jednak wystarczało w zupełności, żeby bez problemu rozpoznawać, kto Katarzyną nie jest. Nie byli nią z pewnością wysoko postawieni dygnitarze, których co prawda nie znał z nazwiska, ale nietrudno było ich rozpoznać po postawie i atmosferze potęgi, którą roztaczali wokół.

W końcu nadjechały dwie czterokółki, z których wysiadła grupa poważnych, naburmuszonych jegomościów w czarnych jak noc kubrakach i dwie młode kobiety. Erquicia, skupiając się, zacisnął szczęki, serce zabiło mu szybciej. Miał trzy sekundy, żeby obejrzeć twarze obu dziewczyn. Pierwsza na pewno nie była Katarzyną, druga chyba tak, ale do nabrania całkowitej pewności zabrakło mu pół sekundy. Zaklął, gdy zniknęły we wnętrzu pałacu.

- Co się stało?

- To chyba ona. Ale nie jestem pewny na sto procent.

- I co teraz?

- Poczekamy, aż będą wychodzić.

- A jeśli to ona? Co dalej?

- Nasze rozkazy są jasne: mamy ją zidentyfikować i zlokalizować. Przekażemy informacje do zakonu, a czekając na odpowiedź, rozejrzemy się za ewentualnymi możliwościami, ekhm, ekstrakcji, bo zapewne do tego to doprowadzi.

- Skąd wiesz?

- Nie wiem, ale to logiczne. Po co Tilenheim nas za nią wysłał? Żebyśmy jej pomachali i wrócili do Moguncji albo Rzymu? W zeszłym roku miał ją pozyskać dla zakonu, więc pewnie to będzie i naszym zadaniem, tylko tym razem nieporównanie trudniejszym.

- No to jak to zrobimy? Dziewczyna ma wszelkie powody, żeby nienawidzić katolików, a tutaj najwyraźniej ma się dobrze.

- Nie mam pojęcia.

W istocie Erquicia liczył na to, że uratowanie dziewczynie życia w Birstein się teraz zwróci, ale, wiedziony nieodłączną intuicją, nie wspomniał o tym. Nikt poza nim nie znał wszystkich szczegółów kwietniowych wydarzeń. Na dole zaskrzypiała podłoga, więc zamilkli, nasłuchując.

Czas włókł się niemiłosiernie. Od ciągłej obserwacji Dominika bolały oczy - wzrok miał wciąż jak sokół, ale z wiekiem męczył się coraz szybciej. Siedzący pod ścianą Albert z nudów skubał frędzle dywanu i rzucał je w kąt, dokładając służącej roboty. Bankiet zaczął się kończyć dopiero koło północy. Pierwsi, jak należało się spodziewać, wychodzili kupcy i starcy. Dopiero grubo po dwunastym dzwonie Erquicia zobaczył wychodzących profesorów; wyprostował się w krzesło, mocno przyciskając lunetę do oka. Była. Między dwoma grubymi akademikami, czysta, zadbana i w pięknej sukni, ale z całą pewnością była to Katarzyna.

- Jest! - wyszeptał triumfalnie.

- Na pewno? Jesteś pewny jak Świętego Krzyża? - zapytał Albert z za jego pleców.

- Pewniejszy - odpowiedział Hiszpan, nie przerywając obserwacji.

Nagle poczuł, jak jego bok eksploduje bólem. Jęknął, sparaliżowany szokiem, i osunął się bezwładnie na krzesło, perspektywa wypadła z dłoni. Pociemniało mu w oczach, ale zdołał się obrócić. Zszokowany Albert stał nad nim z przerażoną miną i zakrwawionym sztyletem w ręku. Tym samym, który kupił mu Erquicia, gdy młodzieniec chciał wyruszyć w drogę bez żadnej broni.

- Wybacz mi, Panie, bo zgrzeszyłem – wyjąkał Albert przez łzy, po czym odwrócił się na pięcie i uciekł.

Hiszpan osunął się na podłogę. Czuł, że rana jest śmiertelna. W akcie desperacji chciał rzucić *praeciosum vocantem*, ale uświadomił sobie, jak bardzo daremny byłby to gest.

Jego palce zacisnęły się bezwiednie na jakimś gładkim przedmiocie.

Perspektywa.

Miedź.

Znał tylko jedno precyzjum z zastosowaniem miedzi jako reagentu.

- *Lamp'da* – wyszeptał ostatkiem sił, a cały pokój oświetliło jaskrawe, białe światło stu słońc.

Rozdział VII

Reszta bankietu upłynęła Katarzynie nudno i męcząco. Nie dopchała się do stadhoudera ani nawet jego małżonki, nie przedstawiono jej też już nikogo interesującego, zmuszona była więc krążyć po sali i wymieniać zdawkowe uwagi z zazwyczaj mało znaczącymi, a często nieciekawymi ludźmi. Około północy poczuła się bardzo zmęczona i uświadomiła sobie, że są tu od niemal pięciu godzin. Zaczęła rozglądać się za l'Empereurem, zamiast niego jednak znalazła Blanchefleur.

– Fleur, powinniśmy już wracać na uniwersytet.

– Nie wierzę, że to powiem, ale masz rację. Za dużo wypiałam. – Przyjaciółka zachichotała. – Ja też tańczyłam z księciem Henrykiem! Ależ on jest przystojny!

Katarzyna wzruszyła obojętnie ramionami.

– Ale też dowiedziałam się tego i owego. Otóż wyobraź sobie, że młody Karol Wittelsbach w ogóle nie był tu zaproszony, zaproszona była jego matka i przysłała jego w zastępstwie.

– Czemu?

– Nie wiadomo. Może chciała obrazić stadhouderową? Od dawna mają na pieńku. A może żeby Karol wyrobił sobie kontakty? Widziałam go drugi raz w życiu, na co dzień siedzi w Londynie. A tego drugiego Wittelsbacha, Ruperta, w ogóle nie znam.

– Ruperta? A cóż on tu robi?

– Wojuje, a co ma robić? Jest adiutantem księcia Henryka.

Katarzyna się zamyśliła.

– Poza tym mniej się tu ciekawego działo, niż sądziłam – dodała dwórka. – Jest strasznie oficjalnie i wszyscy nabierają wody w usta. W Amsterdamie jest zabawniej. A ty, poznałaś jeszcze kogoś ciekawego?

- Rozmawiałam chwilę z de Graeffem.

- O rany. Wysoko celujesz! Kto cię przedstawił?

- Nikt, wpadłam na niego.

- W sensie?

- No... szłam i potraçałam go niechcący. - Katarzyna się zaczerwieniła.

Jej przyjaciółka roześmiała się perliście.

- Brawo! Pierwszy poważny bal w życiu, a ty wpadasz na jednego z najważniejszych facetów w Niderlandach. Strach pomyśleć, na kogo wpadniesz na następnym!

- Nie gniewał się. - Von Besserer się zawahała, speszona reakcją.

- Nie wątpię, też bym chętnie na ciebie wpadła - rzekła Blanchefleur i uszczypnęła ją w policzek.

W tym momencie zjawił się l'Empereur. Zanim zdążyły się odezwać, obwieścił, że wszyscy są już zmęczeni i że jeśli panny życzą sobie zostać dłużej, to pozostawi eskortę do ich dyspozycji. Przerwały mu, zapewniając, że też chcą iść. Towarzystwo udało się do powozów, wymieniwszy ceremonialne ukłony z gospodarzem. Gdy Katarzyna już siedziała w czterokółce, zobaczyła, jak okna najwyższego piętra pobliskiej kamienicy rozjarzają się nagłym, jaskrawym światłem, a tryskające z nich promienie rozświetlają całą okolicę.

- Co to jest? - zapytała, wskazując niepotrzebnie palcem, bo inni, zaskoczeni nagłą jasnością, też już zwrócili uwagę na tajemnicze zjawisko.

- To nie jest naturalny fenomen - zauważył zakłopotany l'Empereur. - To jest jakiś efekt. Co, do cholery... Żołnierzu! - krzyknął przez okno do stojącego obok gwardzisty, gapiącego się na światło z rozdziawionymi ustami i zmrużonymi oczami. - Czyja to kamienica?

- Państwa van der Stock.

- Nazwisko nic mi nie mówi. Weź trzech innych gwardzistów i chodź z nami - polecił zaafetowany profesor.

- Nie mogę, muszę stać na warcie.
- Stadhouder ci nie ucieknie.
- Przepraszam, jaśnie panie, mam rozkazy.

L'Empereur machnął na niego ręką i kazał woźnicy zbliżyć się do budynku. Tymczasem światło zdążyło już zgasnąć. Gdy wysiadał, powstrzymał dziewczyny ruchem dłoni.

- Panny tu zostają!

Blanchefleur była gotowa posłuchać, ale Katarzyna od dłuższego już czasu miała alergię na tak sformułowane rozkazy.

- Nie ma mowy! - warknęła i drugimi drzwiczkami wytarabaniła się z powozu.

Wraz z Cunaeusem i Vorstiussem załomotali do drzwi kamienicy. Otworzyła im przerażona i zdumiona służąca.

- Państwa nie ma w domu, są w Rotterdamie. - Popatrzyła na nich wielkimi oczami.

- Co jest na najwyższym piętrze tego budynku?
- Pokoje, a co ma być - odparła, coraz bardziej zdziwiona.
- Proszę nas w tej chwili wpuścić!
- Ale...

Cunaeus, jurysta, któremu brakowało cierpliwości naukowca, bezceremonialnie odepchnął ją na bok i wkroczył do kamienicy. Podnieceni, pognali wąskimi schodami na górę, ale musieli się zatrzymać, bo było tak ciemno, że wpadali na siebie i potykali się na stopniach. Vorstius znalazł gdzieś świecznik, odpalili świece od lampy służącej i wrócili do wspinalczki. Dotarli na ostatnie piętro, do bawialni.

Pod otwartym oknem, na zdobionym aksamitem krześle, w kałuży krwi wpołyżał niepozornie ubrany, brodaty mężczyzna. W wąłym świetle świecy wyglądał jak jeden z tysięcy podobnych mu obywateli, ale gdy przerażona nie na żarty służąca podniosła lampę, Katarzyna poznała go od razu.

- Kim jest ten człowiek? - L'Empereur naskoczył na służkę. - Co tu robi?

- Nie mam pojęcia, panie. - Dziewczyna złapała się za czepek. - Pierwszy raz go na oczy widzę! Zamordowany! Co państwo powiedzą?! - Zachlipała i dostała spazmów.

- Dobra, Cunaeus, weź ją stąd.

- Ja go znam - powiedziała nagle Katarzyna. - Z Niemiec. To dominikanin.

Profesorowie spojrzeli na nią, zdumieni.

- Żyje jeszcze - dorzucił Vorstius, który właśnie sprawdził puls leżącego. - Ale ciężko z nim. Ktoś go dźgnął w nerki, sztyletem albo nożem.

- Myślicie, że to on rzucił ten efekt?

- On albo ten, który go dziabnął. Jesteś pewna, że to ten, o którym myślisz? - zapytał Cunaeus Katarzynę.

- Uratował mi życie i puścił wolno, trudno to zapomnieć.

- Do wszystkich diabłów, co robi ledwo żywy, katolicki eteromanta w Hadze, dwieście kroków od balu stadhoudera? Trzeba go zabrać do pałacu...

- No nie wiem. - L'Empereur pokręcił głową. - To wróg. Może go tu zostawić?

- Nie - Katarzyna prawie krzyknęła. - Przejmie go wywiad i nic się nie dowiemy albo dowiemy się z drugiej ręki. Musimy go wziąć na uczelnię.

- Nie sądzę, żeby dociągnął. - Vorstius sceptycznie pokręcił głową, zawijając prowizoryczny opatrunek z podartej koszuli dominikanina.

- Dociągnie. Tylko trzeba jakieś nosze!

Szybko zaimprovizowali nosidło z zerwanej story i dwóch kijów od mioteł - byle jakie, ale udało się na nich położyć i znieść po schodach rannego. Wsadzili go do czterokółki i ułożyli na jednym siedzeniu, sami ścisnęli się na drugim. Wszystko odbywało się pod bacznym

spojrzeniem służącej, która zdążyła się już uspokoić, gdy prawnik upewnił ją, że trup na piętrze nie wpłynie na jej karierę.

- Cunaeus, zostań tutaj - zakomenderował l'Empereur - i wyjaśnij to wszystko tym van Smockom czy jak im tam, zaoferuj im też odszkodowanie w guldenach.

- Czemu ja? - oburzył się tamten.

- A znasz się na leczeniu? Nie, a Vorstius tak.

Preceptor Katarzyny zatrzasnął drzwiczki i dał sygnał woźnicy. Katarzyna uklękła na podłodze przy dominikaninie, by przeszukać mu kieszenie. Poza mnóstwem drobnych przedmiotów: bryłek ołowiu i złota, ptasich piór, strzępów różnych materiałów i ususzonych roślin, fragmentu czegoś, co wyglądało jak piryt, i innych bagatelek, w których bez problemu dało się rozpoznać reagenty, nie znalazła nic ciekawego. Na szyi zakonnika wisiał długi różaniec z egzotycznego drewna. Zdjęła go i schowała za stanikiem, żeby nie zginął. Usiłowała sobie przypomnieć, jak ranny się nazywa. Garcia? Marcia?

Przeszukiwany i krwawiący Hiszpan ocknął się na moment. Nie zobaczył wiele poza wirującym dachem powozu, ale wystarczyło mu to, żeby zrozumieć, że nawet jeśli zdechnie, to przynajmniej nie zostanie porzucony w przypadkowej haskiej kamienicy. Zaczął się modlić.

- *Padre nuestro, que estás en el cielo, santificado sea tu Nombre...*

- Co on mamrocze?

- Chyba się modli. Nie wiem, nie znam hiszpańskiego. Daleko jeszcze?

- Kilka kilometrów.

Ranny znowu stracił przytomność. Katarzyna w niepojętym odruchu... litości? wdzięczności? głupoty?... rozpaczliwie chciała utrzymać go przy życiu. Siedziała na piętach przy jego bezwładnym ciele i głaaskała go po głowie, nie mogąc zrobić nic więcej. Uwalana krwią suknia dawno straciła fason. Profesorowie patrzyli na tę scenę z mieszaniną obrzydzenia i fascynacji, Blanchefleur z pełnym romantycznego uniesienia przejęciem.

Katarzyna gładziła dominikanina po brudnych włosach. Nie wiedziała, dlaczego tak jej zależy na życiu zakonnika. Czuła jednak podskórnie, że jest to w jakiś sposób ważne, żeby ten człowiek przeżył, i w naiwnym akcie desperacji pozwoliła, żeby to uczucie ją wypełniło, jakby jej wola zatrzymania go na tym świecie miała mieć jakąś funkcję sprawczą. Tak się na tym skupiła, że dopiero gdy l'Empereur dotknął jej ramienia, zorientowała się, że dotarli na miejsce.

– Tulp! Budźcie Tulpa, Tulp jest na uniwersytecie!

W istocie, słynny lekarz wizytował akurat swoją Alma Mater, choć na co dzień prowadził praktykę w Amsterdamie. Od czasu, kiedy Rembrandt namalował makabryczny i skandalizujący obraz przedstawiający przeprowadzaną przez młodego fizjონoma sekcję zwłok, ów nie mógł się odpędzić od pacjentów i ofert pracy najróżniejszego rodzaju. Jako że był człowiekiem dumnym i wyniosłym, nawet go to łechtało, ale ponieważ nade wszystko cenił sobie spokój, w ostatecznym rozrachunku rozgłos wcale go nie radował. To z kolei przełożyło się na fakt, że stał się niezmiernie zręczliwy i nie zaskarbił sobie sympatii Katarzyny.

Zanieśli rannego do katedry medycyny i ułożyli go na jesionowym stole. Medyk przywłókł się, naciągając kamizelę na koszulę nocną; był zły jak diabli. Za nim ciągnęła rozespana, ziewająca horda ciekawskich studentów, których l'Empereur, obawiając się plotek, bezskutecznie usiłował rozgonić. Niestety, jego profesorski autorytet okazał się słabszy niż sensacja, którą wzbudził ranny.

Tulp ze skwaszoną miną stanął przed Vorstiussem.

– Co to za rwetes? Nie może się człowiek spokojnie wyspać, nie mogło to poczekać do rana?

– On umiera. – Profesor skinął głową w stronę dominikanina. – Nie dotrzyma do rana.

– I to naprawdę jest powód, żeby wyciągać mnie z łóżka w środku nocy? Jak nie dotrzyma, to najwyraźniej tak mu było pisane.

– Doktorze...

– No dobra, skoro już wstałem, obejrzę go.

Medyk pochylił się nad chorym, rozdarł resztki jego koszuli i zaczął badać ranę. Po krótkich oględzinach podniósł głowę, zażyczył sobie gorącej wody, oleju i paru narzędzi chirurgicznych, po czym rozejrzał się po zatłoczonym pomieszczeniu i głośno rzekł:

– Ale nikt się chyba nie spodziewa, że będę przeprowadzał zabieg w obecności kobiet?

L'Empereur spojrział na Katarzynę i ostrzegawczo pokręcił głową. Dziewczyna spochmurniała, złapała Blanchefleur za rękę i wyciągnęła ją z pomieszczenia, w odruchu wściekłości trzaskając za sobą drzwiami.

– To w sumie całkiem niezły pomysł, żeby na uniwersytet ściągać nie tylko trupy złodziei, ale też żywych ludzi i leczyć ich na miejscu, w celach edukacyjnych. Zasugeruję to komuś z medycyny – usłyszała za plecami.

Oparty o ścianę obok drzwi stał Cunaeus.

– Myślałam, że masz czekać na właścicieli kamienicy?

– Nie chciało mi się tam siedzieć z tą blond gąską. – Wzruszył ramionami. – Dałem jej list do nich i pojechałem za wami. Nie przejmuj się Tulpem, ostatnio stał się zrzędlivy jak stara kwoka, ale za to jest szansa, że postawi twojego podopiecznego na nogi.

– Podopiecznego?

– Przecież gdyby nie ty, do głowy by nam nie przyszło, żeby go tu przywieźć. – Rozbawiony, odepchnął się od ściany i wziął obie dziewczyny pod ręce, po czym skierował się w stronę wyjścia. – Jakiegoś przypadkowego tyпка, choćby nawet rzucał najwspanialsze efekty na świecie? Daj spokój. Masz szczęście, że l'Empereur słucha cię prawie bezdyskusyjnie, co jest zresztą bardzo zabawne, chociaż momentami trochę irytujące.

– L'Empereur w ogóle jej nie słucha – zaoponowała Blanchefleur.

– Ha, ha! Widać, że nie znałyście tego upartego osła, zanim się tu pojawiłyście. Przekonać go do czegokolwiek, czego sam nie wymyślił, graniczyło z cudem. Nie wiem, czy to przebywanie z wami go tak

odmłodziło, ale jest to w gruncie rzeczy pozytywna zmiana. No, jesteście. Życzę pannom dobrej nocy i mam nadzieję, że bal zostawił panny pełne wrażeń. – Uśmiechnął się ironicznie, skłonił i odszedł, zostawiając je pod kamienicą naprzeciwko uniwersytetu.

Katarzyna ucałowała Blanchefleur i weszła do swoich pokojów. Dopiero teraz przypomniała sobie, że jest cała we krwi dominikanina. Niestety, służba już spała. Rozebrała się więc, odłożyła perły do szkatułki, obmyła w miednicy na tyle, na ile się dało, po czym przebrała się w koszulę nocną i padła w pierzynę, po dniu pełnym wrażeń niezdolna już do niczego więcej.

*

Na ścianie małego salonu, który oddano do dyspozycji Katarzyny, wisiała niewielka, półtorametrowa tapiseria, przedstawiająca stylizowaną mapę Holandii, na której kraj uformowano w kształt lwa. Pyskiem była Zelandia, zadem – Fryzja, a monstualne łapy zwierzęcia wyciągały się chciwie w stronę Niderlandów Hiszpańskich. Nie było to kunsztowne dzieło, swego czasu tkano je manufakturowo, próbując na szybko stworzyć adekwatną do świeżo powstałego państwa mitologię założycielską, a za przyśpieszoną produkcją szło obniżenie jakości.

Gdy służąca weszła rano do pokoju, zastała Katarzynę siedzącą na krześle pod tą tapiserią i pieczołowicie, metodycznie prującą ją nitką po nitce za pomocą szydełka. Niemka we włosach wciąż miała resztki krwi zakonnika. Pokojowa, solidna, haarlemska dziewczyna z biednego, ale dobrego domu, z wrażenia aż zatrzymała się w drzwiach.

– Co... co panna robi? – odważyła się zapytać po dłuższej chwili.

– Badam struktury – odpowiedziała Katarzyna, nawet się nie odwracając i dalej prując tkaninę. Szydełko migąło w jej dłoniach, a z gobelinu zwisały już setki postrzępionych nitok.

– Czy przygotować kąpiel? Ma panna krew we włosach...

– Jak chcesz.

– Przyniosłam pocztę.

– Pocztę? – Katarzyna odwróciła się raptownie, jakby dopiero teraz dotarło do niej, że z kimś rozmawia. Odkąd zamieszkała w Lejdzie, otrzymała tylko jedną przesyłkę i był to list z banku, w którym plenipotent zapytywał, czy pieniądze ze stypendium inwestować raczej w handel, czy w magazyny. – Jaka pocztę?

– Nie wiem, panienko, przyszło wszystko dzisiaj rano.

Katarzyna wstała i z trzymanej w rękach dziewczyny tacy zabrała pokaźny stos kopert. Służąca dygnęła i uciekła, mijając się w drzwiach z już ubraną Blanche fleur.

– Boże święty, Katarzyna, wyglądasz, jakbyś właśnie wyszła z rzeźni!

Von Besserer nie odpowiedziała, zajęta wertowaniem kopert. Marszczyła przy tym brwi ze zdziwieniem.

– O, wizytówki! – Jej dwórka przebierała humory jak sukienki. – Od kogo dostałaś, od kogo?

– Od mnóstwa ludzi. Johan de Witt, Albrecht Janszoon... Kim, do diabła, jest Cornelis de Houtman?

– Pewnie poznaliście się wczoraj na balu i zapomnialiś.

– Ale czego oni ode mnie chcą?

– Utrzymania stosunków, rzecz jasna. To znaczy albo są tu zaproszenia, albo życzenia dobrego zdrowia, albo po prostu uprzejmości. Ciekawy zwyczaj, prawda? W Niemczech to było jakoś bardziej skomplikowane, trzeba było słać służącego i w ogóle.

– Ale co ja mam z tym zrobić? Nie mam pojęcia, kim są ci ludzie!

– Wizytówki od tych, których nie pamiętasz albo nie polubiłaś, wyrzucić, a resztę zostaw na przyszłość. Jeżeli masz wizytówkę, to znaczy, że możesz się zawsze takiemu władować na głowę i nie popełniasz żadnej niezręczności. Kto wie, kiedy się może przydać?

Wspólnie przejrzały listy. Blanche fleur co chwila wzdychała, bo niestety, mimo starań, nie udawało jej się nigdy zdobyć tylu cennych świstków – za mało wzbudzała sensacji i plotek. Puszczając jej protesty mimo uszu, Katarzyna wyrzuciła większość wizytówek od malarzy

i kupców. Znalazła nawet kilka takich, których właściciele z pewnością nie było na balu – nieomylny znak, że jej akcje zostały nieodwracalnie wprowadzone na towarzyską giełdę Niderlandów. Następnie ostrożnie przejrzały te przysłane przez polityków, a na końcu – przez damy dworów. Ostatecznie pozostały Katarzynie cztery ciekawe nazwiska: Henryk Orański, de Graeff, Hortensjusz, Karol Wittelsbach, czyli *de facto* jego matka – Elżbieta Stuart. Dwa z listów zawierały zaproszenia: Graeff zgodnie z obietnicą zapraszał na wodowanie okrętu, a Elżbieta Stuart na proszoną kolację. Również Henryk Orański załączył prośbę o kontakt, ale bez konkretnych deklaracji. Niestety, wśród wizytówek nie dostrzegła żadnej od stadhoudera ani jego żony, co było równie rozczarowujące, co zrozumiałe.

– Coś mi się widzi, Kasiu, że ten cały stadhouder wcale się tobą specjalnie nie interesuje.

– Naprawdę? – zapytała tamta z przekąsem, nie zdążyła jednak dodać żadnej złośliwości, bo weszły służące z balią.

Katarzyna rozebrała się do pasa i dała sobie umyć zakrwawione włosy, nie przejmując się lamentami i przerażonymi minami służek. Słuchała paplaniny Blanchefleur jednym uchem, gdy nagle usłyszała:

– A tak w ogóle, ten twój dominikanin się obudził rano i podobno nawet coś mówi.

O mały włos nie udławiła się wodą, którą akurat wylewano jej z dzbanka na głowę. Westchnęła w duchu. Jak zwykle z Fleur – najważniejsze na samym końcu.

Gdy tylko skończyła toaletę i zapleciono jej włosy w warkocz, wciągnęła na siebie pierwszą lepszą, szarą suknię i razem z dwórką ruszyły do pomieszczeń katedry medycyny. Niestety, nie wpuszczono ich do komnaty, gdzie położono Hiszpana – na straży stali orańscy gwardziści, którzy kategorycznie przecięli im drogę halabardami. Katarzyna zaklęła. Spodziewała się reakcji władz Republiki, ale nie aż tak szybkiej. Najwyraźniej studenci, którzy obserwowali nocne zabiegi, jak to studenci nie potrafili trzymać języka za zębami. Zresztą nikt

chyba się nie pofatygował, żeby ich poinformować, że cała afera ma zostać utrzymana w sekrecie.

Katarzyna odesłała Blanchefleur i wróciła do swojej pracowni, bezskutecznie usiłując się czymś zająć. Poprosiła jednego z bakałarzy, żeby dał jej znać, gdy tylko gwardziści znikną, aż do południa jednak najwyraźniej nic się w tym zakresie nie zmieniło. Z nudów zajęła się najbardziej nużącą rzeczą związaną z eteromancją: testowaniem nieskończonych połączeń różnych reagentów ze słowami z długiej listy aramejskich wyrazów w celu odkrycia nowych efektów. Zwykle, wiedzona intuicją, bardzo szybko znajdowała coś ciekawego. Nie tym razem; nie potrafiła się skupić, a efektem była wyłącznie rosnąca frustracja. W końcu po prostu siadła przy oknie i zaczęła gapić się na ulicę, poirytowana i pochłonięta niewesołymi rozmyślaniami.

Chciała koniecznie porozmawiać z dominikaninem. Teraz, na uniwersytecie, kiedy leżał ranny, byli w zupełnie innej sytuacji niż wcześniej w Niemczech, gdy spotykali się w bardzo dziwnych i zazwyczaj niebezpiecznych okolicznościach. Po raz pierwszy miała istotną przewagę nad kimś z zakonu i nie zamierzała jej zmarnować. Potrzebowała informacji na temat swoich potencjalnych przeciwników, a zakonnik mógł ich dostarczyć.

Nie zorientowała się nawet, jak pół roku spokoju i gruntownej edukacji, podpartej niesłychanym talentem, zmieniło jej myślenie. Z dziewczyny, która niejasno przeczuwała dalekosiężność swoich myśli, a jeszcze mniej jasno istotę tego, czego chce od życia, zmieniała się powoli w strażniczkę, planującą na kilka, albo i kilkanaście kroków do przodu. Jakby tego było mało, nabrane w czasach dzieciństwa spędzonego w ogarniętym wojną kraju przekonanie, że świat składa się z walczących ze sobą przeciwników, w naturalny sposób kierowało ją w stronę myślenia za pomocą opozycji swój – wróg, ona – inni, wygrany – przegrany. To zaś mogło jej albo bardzo się przydać, albo bardzo przeszkodzić. W oczywisty sposób nie pomagało w pracy

naukowej, ale bynajmniej nie zamierzała zostać lejdeńską alchemiczką, na co chyba liczył l'Empereur.

To w czasie rozmowy z Karolem Wittelsbachem, a raczej później, gdy o niej myślała, zorientowała się w końcu, co powinna robić i do czego dążyć. W pewnym sensie z tym melancholijnym młodzianem dużo ją łączyło – oboje byli dziećmi czasu wojny, oboje osierocono i odarto z całego dziedzictwa poza tytułami. Oboje też chcieli w pierwszej kolejności to dziedzictwo odzyskać. Katarzyna jednak, po zastanowieniu, wcale nie zamierzała ograniczać się do odzyskiwania. Im dłużej bowiem o tym myślała, tym bardziej dochodziła do wniosku, że ma sporo atutów w rękawach.

Rozmyślenia przerwała jej służąca, która zaanonsowała gościa. Katarzyna zdziwiła się, bo jedynymi osobami, które ją tu odwiedzały, byli profesorowie, a ich nikt nie zapowiadał, po prostu bezpardonowo wchodziłi do środka, aż ofuknęła za to jednego z drugim, dzięki czemu zaczęli przynajmniej pukać. Gdy przeszła do salonu, zobaczyła nieznaną sobie kobietę, wysoką, wyprostowaną, w szaro-czarnej sukni bez ozdób, jeśli nie liczyć skromnych kolczyków. Miała trójkątną twarz i bystre oczy migające wesołym błękitem, w których jednak błyszcząły stalowe refleksy. Wbrew modzie i – jak powiedzieliby niektórzy – przyzwoitości, ciemnoblonde włosy nosiła rozpuszczone.

– Ty musisz być Katarzyną? – odezwała się głębokim altem.

– Tak, w czym mogę służyć?

– Joanna von Naybor. – Kobieta skinęła delikatnie głową. – Jestem, hm, nazwijmy to, plenipotentką stadhouderatu i Stanów Generalnych.

– Plenipotentką? Czyli? – Katarzyna uniosła brwi.

– Och, chyba obie wiemy, co to oznacza. Usiądźmy – bezczelnie zakomenderowała tamta, zajmując miejsce na krześle pod ścianą.

Gospodyni, nie widząc innego wyjścia, a także wiedzona ciekawością, posłusznie usiadła obok. Gościni z kolei poprawiła rękawy sukni, strzepnęła z jednego nieistniejący pyłek i od razu przeszła do rzeczy:

– Co łączy cię z osobnikiem, który leży teraz, umierający, w katedrze medycyny?

– To przesłuchanie? – zaperzyła się Katarzyna.

– W istocie, tak, to przesłuchanie. – Tamta westchnęła z poirytowaniem. – Ty naprawdę nie bardzo wiesz, kim jestem, prawda?

– Nie bardzo.

– W takim razie odpuszczę sobie eufemizmy. Jestem szpiegiem. Służę w wywiadzie orańskim.

– To powinno zrobić na mnie wrażenie?

– Powinno, owszem. Stadhouder i jego chwilowa zachcianka gwarantują ci bezpieczeństwo, środki na życie i badania, dach nad głową. To może się jednak bardzo szybko zmienić. Łaska pańska na pstrym koniu jeździ, a my, to znaczy wywiad, mamy dość duży wpływ na to, kto cieszy się akurat łaską stadhoudera.

– A to z kolei była groźba.

– Owszem, cieszę się, że chociaż tego nie muszę dodawać. – Von Naybor, poirytowana takim obrotem rozmowy, najwyraźniej spodziewała się prostej, szybkiej i bezproblemowej interogacji. – Czy możemy wrócić do moich pytań?

– Nie sądzę, żebym miała jeszcze ochotę na nie odpowiadać, o ile w ogóle ją miałam – odparła zimno Katarzyna, równie poirytowana, co tamta.

– Na litość, dziecko, czy ty wiesz, co właściwie robisz? Mówię poważnie i wprost: odmowa współpracy z nami jest naprawdę bardzo głupia.

– Dzieci mają to do siebie, że głupio postępują.

Zapadła chwila kłopotliwego milczenia.

– To tak absurdalne, że nie chce mi się nawet na ciebie naciskać – odpowiedziała von Naybor. Wzruszyła ramionami i wstała. – I tak się dowiem, czego chcę. Liczyłam natomiast, że będzie się to dało załatwić inaczej niż torturami.

- Torturami?

- Dominikanin nie chce się do mnie odezwać ani słowem, więc muszę mu rozwiązać język. Myślałam, że będziesz chociaż trochę pomocna, ale najwyraźniej się myliłam.

Katarzyna się zachmurzyła.

- Chcę z nim porozmawiać - rzekła.

- Dobrze, ale tylko w mojej obecności. - Von Naybor sprawiała wrażenie, jakby tylko na to czekała.

- Zgoda.

Katarzyna również wstała i w ciężkim, nieprzyjemnym i przesyconym wrogością milczeniu ruszyły w stronę katedry medycyny. Dziewczyne wszystko w tej kobiecie irytowało, nawet jej chód, dynamiczny, płynny, pełen swobody i pewności siebie. Tak chodzili mężczyźni - i to przy broni.

Tym razem gwardziści nawet nie spojrzeli na Katarzynę, najwyraźniej uznając towarzystwo von Naybor za wystarczającą rękojmię. Hiszpan leżał w naprędcie wstawionym do pracowni łóżku. Był rozebrany do pasa, ale cały korpus miał szczelnie zabandażowany. Wyraz jego twarzy wskazywał, że cierpi, ale na widok Katarzyny zaśmiał się cicho.

- Co pana tak śmieszy?

- Nie chciała przyjść góra do Mahometa, Mahomet przyszedł do góry - powiedział słabym głosem. - Witaj, Katarzyno.

Von Naybor stanęła nieco z boku. Katarzyna, ignorując sentencjonalne stwierdzenie dominikanina, przystawiła sobie krzesło do łóżka i usiadła.

- Jak się nazywasz? - zapytała.

- Przedstawiałem ci się przecież. Erquicia. Dominik Ibáñez de Erquicia Pérez de Lete.

- Co robiłeś w Hadze?

Spojrzał bystro na agentkę stojącą w cieniu.

- Domyślałam się, że na obecność tej damy się zgodziłaś?

- Tak.

- Dobrze więc, jak uważasz. Szukałem ciebie.

- Czemu?

- Nie mam pojęcia. Taki dostałem rozkaz. Jak zapewne się domyśliłaś, z powodu zeszłorocznych wydarzeń nasz nowy generał ma do ciebie wyjątkową słabość.

- Nowy generał?

- Brat Eugen. Tilenheim.

Katarzyna wzdrygnęła się na wspomnienie upiornego dominikanina, po czym zapytała:

- Co się stało?

- A na co wygląda? Dźgnięto mnie w plecy sztyletem.

- Dobrze, ale kto to zrobił?

- To długa historia, którą nie bardzo mam teraz siłę i ochotę opowiadać. Boli mnie.

- Jak udało ci się rzucić ten efekt? W Hadze? Nie widziałam dotąd tak silnego działania eteromancyjnego, a byłeś półprzytomny i półżywy.

- Dla mnie to nie żadne efekty, tylko błogosławieństwa, *praeciosum*. - Erquicia próbował wzruszyć ramionami, ale zasyczał z bólu. - One nie są rzucające przez ludzi. Rzuca je Bóg, na nas. A on nie bywa półprzytomny - mówił coraz wolniej.

Katarzyna spojrzała na niego wielkimi oczami. Wyglądała, jakby trafił ją piorun. Zerwała się na równe nogi.

- Zdrowiej! - rzuciła i wybiegła z pokoju.

Erquicia i von Naybor patrzyli za nią, zdziwieni tą nagłą rejteradą.

- Co ty jej właściwie powiedziałaś?

- Sama pani słyszała. Nic. Chyba teraz głupio będzie nadal milczeć. - Dominik znów się uśmiechnął.

- W istocie.

- Ile mam czasu?

- Niewiele. A ja chcę się dowiedzieć paru rzeczy, mości zakonniku.
- Coś za coś. Chcę przystąpić do spowiedzi.

Von Naybor się zaśmiała.

- A skąd ja ci wezmę księdza w środku Holandii?
- Nie byle jakiego księdza. To musi być dominikanin.
- Tym bardziej. Nie ma żadnego w promieniu dwustu kilometrów.

Erquicia parsknęła ironicznie. Był zdecydowany.

- Idźcie na Rozenstraat w Amsterdamie – powiedział. – W pobliżu kanału znajdziecie kamienicę oznaczoną znakiem ośmiokąta na lewym rogu budynku. W środku znajdziecie punkt przerzutowy zakonu i przynajmniej dwóch braci dominikanów, a także kilka osób obstawy. Będą się bronić.

- I ja mam na to pójść? Nie za łatwo sprzedajesz swoich? Przecież to śmierdzi pułapką na kilometr.

- Powiedzmy, że moja lojalność względem zakonu mocno ostatnimi czasy osłabła.

Von Naybor zabłyśły oczy.

- Jeżeli usiłujesz mnie oszukać, osobiście wsadzę cię w hiszpańskie buciki.

- Tylko się pośpiesz. Jak sama powiedziałaś, nie mam dużo czasu. – Zakonnik opadł z resztek sił i osunął się na poduszki.

Rozdział VIII

Nie minęły nawet dwie godziny, odkąd przekroczyli barierę, gdy Sójka prysnął. Zatrzymali się na postój, spowodowany w równej mierze głodem, co tym, że Schenk ledwo trzymał się w siodle. Gdy Klaus zajął się przygotowywaniem posiłku, Łysy poszedł się odlać, a trzeci grzebał sobie w bucie, Sójka bezbłędnie wyczuł moment. Zrzucił poluzowane nie wiadomo kiedy więzy i dał dyla do lasu, co zajęło mu może dziesięć sekund. Schenk widział to wszystko jak przez mgłę. Ku jego zaskoczeniu, przymusowi towarzysze kompletnie się nie zmartwili ucieczką Sójki, chwilę tylko poklęli i wrócili do gotowania.

Stało się oczywiste, że tego dnia Schenk nie ujedzie już dalej. Rana bolała i paliła żywym ogniem, zakrwawiony opatrunek był rozgrzany jak piec, a najemnik gorączkował coraz bardziej i zaczął trochę majaczyć. Nakarmili go, rozwiązali, położyli na wojułku i najzwyczajniej na świecie oddali się grze w karty. Ranny usiłował słuchać ich rozmów, ale po pierwsze, nie wynikało z nich nic ciekawego – dotyczyły wyłącznie rozgrywki – a po drugie, na dłuższą metę okazał się na to zbyt osłabiony. W związku z powyższym nie mógł nawet marzyć o pójściu w ślady Sójki. Rychło zmorzył go sen.

Następnego ranka poczuł się już znacznie lepiej. Gorączka spadła, zdołał usiąść i wstać. Nie pierwszy raz był ranny, więc wiedział, że jego organizm przewyciężył szok i teraz, jeżeli nie wda się zakażenie, czeka go już tylko gojenie i długa rekonwalescencja. Również Łysy, obejrawszy ranę podczas zmiany solidnie przesiąkniętego opatrunku, wyraził zadowolenie z jej stanu. Bez zwłoki, a nawet w lekkim pośpiechu, wsadzili Schenka na Burzę i ruszyli dalej. Po paru kilometrach kluczenia między drzewami dotarli do gościńca. Najemnik znał tę trasę: wjechali na główny trakt do Würzburga.

Klaus gwizdał wesoło. Schenk uznał, że jego dobre usposobienie może być niezłą okazją do tego, by czegoś się dowiedzieć.

– Śpieszy się nam gdzieś?

– Śpieszy, nie śpieszy – odparł wesoło tamten. – Po prawdzie to nie, ale tęskno do braci. Dawno nie byliśmy w domu.

– Czyli w Würzburgu?

Brak odpowiedzi.

– Znam tę drogę, to gościniec z Ansbachu. Nie ma innego miasta na trasie.

– No to po co pytasz, skoro znasz odpowiedź?

Schenkowi chwilę zajęło przetrwanie tej riposty.

– A co wy – burknął – z tymi braćmi, zakonnicy jesteście?

Klaus zachichotał.

– Nie. Spotkałeś już chyba czarujących zakonników, więc powinieneś wiedzieć, że raczej nas nie przypominają. Nie, my jesteśmy po prostu bractwem. Bractwem Różanego Krzyża, żeby być precyzyjnym. Księstwo to od niedawna nasze ziemie.

– Księstwo, czyli to, co wewnątrz Bani?

– Ano. Jak wiem, wcześniejszym posiadaczom tych ziem, zwłaszcza twojemu szefowi, się to nie spodobało, ale ani oni, ani my nic na to nie poradzimy. To wola Boska.

– Bóg stworzył barierę?

– My, z Boską pomocą i wolą. Zresztą jestem pewien, że profesor... że Andreae powie ci wszystko, co będziesz chciał wiedzieć. Niesamowicie lubi gadać o swoim dziele, jak dla mnie nawet trochę za bardzo, ale on tu jest Pierwszym Wyśłannikiem, a nie ja.

– Andreae? Kto to? I co to za Pierwszy Wyśłannik?

– Zobaczysz. – Klaus mrugnął do niego i przyśpieszył.

Schenk zrezygnował z dalszej indagacji, bo poczuł, że przy szybszym tempie robi mu się niedobrze.

W ciągu swojego dwudziestokilkuletniego życia zdążył zjeździć całe Niemcy wzdłuż i wszerz – Würzburg również. Kiedyś, jeszcze z Krauzem, pomagali przez pół roku utrzymać porządek na granicy z Fuldą, biskup dobrze płacił, robota była łatwa – polegała głównie na oszukiwaniu kupców na mycie i obłapianiu panienek w karczmach – mieli więc czas rozejrzeć się po okolicy. Würzburg, Fulda, Bamberg i Moguncja, jako biskupstwa położone w samym centrum Niemiec, zawsze miały ciężko: każdy z okolicznych książąt nieustannie usiłował wykroić dla siebie jakiś kawałek zsekularyzowanego tortu, a w dodatku przez ziemie te szła każda armia maszerująca z północy na południe albo ze wschodu na zachód i odwrotnie.

Ponieważ jednak od pół roku żadne wojska wejść na teren Bani nie mogły, wszędzie dało się zauważyć świeże ślady napraw, które nieuchronnie nadchodzą po każdej wojnie. Schenk dostrzegł ledwie co ubitą ziemię w miejscach, w których wozy rozjechały gościniec, odbudowane tartaki i smolarnie na polanach w pobliżu drogi, pola ściętych drzew, które poszły na domy i mosty. Gdy przejeżdżali przez pierwszą na trasie wieś, aż miło było popatrzeć: w niskim, jesiennym słońcu nowe chaty lśniły jasnym drewnem, stare – porządnie zrobionymi łątami, a po drodze łążyły kury, świnie i grzeczne – a więc najedzone – psy. Tak spokojne wioski Schenk widział jedynie na granicy Szwajcarii. Zauważył jednak, że chłopci zachowywali się nietypowo – co prawda chodzili prościej i jakby wolniej niż ich pobratymcy z miejsc wciąż ogarniętych wojną, ale na ich widok pierzchali natychmiast, chowając się w chatach i gumnach. Poza tym kmiecie w Niemczech właściwie we wszystkich rejonach mieli zwyczaj przyczepiać do sukman ozdoby, a ci nie nosili żadnych, w dodatku same stroje były identyczne i o dziwnie workowatych krojach.

– Co oni tacy przestraszeni, jak przepiórki?

– Nie przywykli jeszcze do nowych porządków. Ale przywykną – odparł zagadnięty Łysy. Północna melodia jego głosu dziwnie nie pasowała do tego krajobrazu środkowych Niemiec.

– Jesteś z Meklemburgii? – dążył Schenk.

– Ano, z samego Schwerin. A ty pewnie gdzieś z Nadrenii?

– Kleve.

– No i widzisz, obaj daleko od domu, ale i obaj na łaskawym chlebie. Chociaż ty się swoim już raczej nie nacieszysz.

– Wydajecie się naprawdę przekonani, że się stąd nie wydostanę...

– Bo się nie wydostaniesz. Nie ma jak, chyba że zmusisz kogoś, żeby ci pomógł, a na to szansy nie ma. Twój koleżka też tu utknął, jak ten szarak-gracz w sidle, co to jeszcze nie wie, że biega na sznurku.

– Skoro tak mówisz...

– Widzę, że wątpisz, ale przekonasz się sam. Tymczasem patrz, to już Würzburg!

Faktycznie, gdy wjechali na szczyt wzgórza, ujrzeli w oddali białe wieże twierdzy Marienberg. Schenk się zamyślił. Z informacji dawkowanych mu przez porywaczy nie potrafił utworzyć żadnego w miarę spójnego obrazu tego, co właściwie dzieje się wewnątrz Bani. Nigdy nie słyszał o żadnym różanym krzyżu, a już tym bardziej o księstwie ani księciu różanego krzyża, nie wiedział też, co jego przymusowi towarzysze podróży mają na myśli, gładząc o braterstwie i nowych porządkach. Nie martwił się tym jednak, bo wiedział, że to nie są sprawy na jego głowę i że zajmie się tym prawdopodobnie sam książę Wilhelm, gdy tylko znajdą sposób, żeby przesłać mu wiadomość, a gadaninę o tym, że wydostać się z Bani nie da, puszczał mimo uszu – skoro tamci mogli, to on i Sójka też mogą. Nie martwił się też zniknięciem towarzysza, bo wiedział, że ten nie opuści go w potrzebie. Zresztą nawet gdyby chciał, musiałby się gęsto tłumaczyć przed Myliussem, a może i Wilhelmem, co właściwie stało się z Schenkiem i czemu wrócił bez niego.

Najemnika frapowało coś zupełnie innego.

Gdy tu bywał, kraj znajdował się w opłakanym stanie: popalone chaty, zniszczone gościńce, sypiące się zamki, samo miasto Würzburg zaś biedniało z każdym rokiem od początku wojny. Teraz najwyraźniej

karta się odwróciła, bo okolica okazała się cicha, spokojna i zadbana, tak jakby pół roku odcięcia od reszty świata okazało się zbawienne dla tej udręczonej ziemi. A jednak podskórnie dało się w tym spokoju wyczuć coś niepokojącego, upiornego, co Schenkowi bardzo się nie podobało, a z czym nigdy wcześniej w żadnym miejscu się nie spotkał. Było w nim coś z grobowej ciszy i miało się wrażenie, że zbliżająca się wielkimi krokami zima, gdy już owinie śniegiem okolicę, nigdy nie ustąpi, na zawsze zamrażając ten kraik w dziwnej pustce. Najemnikowi daleko było do romantycznych, poetyckich rozmyślań i metafor, ale wyczuwał ten klimat podskórnie i denerwowało go to.

Ta osobliwa atmosfera bynajmniej nie zniknęła, gdy wjechali do miasta. Strażnicy przy bramie zasalutowali Klausowi uderzeniem w pierś – co wskazywało, że Schenka najwyraźniej porwał nie byle kto – ale sama brama nie stała otworem. Wzmocniona kratą, trwała zatrzaśnięta na głucho; musieli poczekać, aż we wnętrzu koregardy przestawią wszystkie wajchy mechanizmu i dopiero wówczas wielkie wrota otworzyły się ze zgrzytem.

Na ulicach miasta nikt nie zwracał na nich specjalnej uwagi, ale najemnikowi nie umknęło, że działo się tak nie dlatego, że wmieszali się w tłum – wprost przeciwnie, jadąc na koniach, bardzo się wyróżniali – ale ponieważ przechodnie usiłowali na nich nie patrzeć. Jeszcze dziwniejsze okazało się to, że ulice były schludne i czyste, wolne od śmieci czy końskiego łajna, które stanowiły przecież nieodłączny element krajobrazu każdego miasta. Większość zakładów rzemieślniczych stała zamknięta albo miała zamalowane lub zdjęte szyldy. Mieszczanie i chłopci, chociaż zajmowali się swoimi sprawami – udawali się w stronę targowisk, rozmawiali, siodłali konie – sprawiali wrażenie niespokojnych i sterroryzowanych. Wszystko to zrobiło na Schenku dość ponure wrażenie.

Spodziewał się, że pojedą na zamek, ale Klaus najwyraźniej miał inne plany. Przejechali przez most, wzmocniony dodatkowymi

posterunkami i pilnowany przynajmniej przez tuzin chłopów, po czym skierowali się w stronę uniwersytetu.

- Gdzie jedziemy?
- Coś ty taki niecierpliwy? Zobaczysz.

Gdy minęli wspaniale zdobioną bramę przybytku nauki i edukacji, który dziwnie onieśmielał ledwo umiejącego czytać Schenka, błyskawicznie obskoczyło ich kilku parobków, którzy odebrali od nich konie i zaprowadzili je do stajni. Następnie poprowadzono młodziana dziedzińcem do wielkich, dębowych drzwi, w które Klaus zastukał kołatką. Otworzył im wysoki, szpakowaty, mężczyzna, cały ubrany na czarno.

- A cóż to, Klaus? Sam wejść nie umiesz?

- Złapaliśmy go na drodze do Bambergu. To agent Wilhelma Heskiego, węszył za nami, jest ranny. Co z nim zrobić?

Najwyraźniej nie uznał za stosowne wspominać, że agentów było dwóch, co na swój sposób bardzo rozbawiło Schenka.

- No jak to co? - zachnął się tamten. - Do turmy i dalej się zobaczy. Sam nie mogłeś rozkazać? I nie mitręż, bo Andreae czeka na raport.

Klaus popatrzył na Schenka i wzruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć: „Przykro mi, stary, sam widzisz”, po czym machnął na dwóch pozostałych i wszedł do środka. Stein i Willi popatrzyli po sobie w milczeniu, po czym zaprowadzili najemnika w przeciwnym kierunku, nieopodal stajni. Młodzian dostrzegł zejście pod ziemię, najwyraźniej do piwnicy.

- I co, tak mnie po prostu wpięprzycie pod ziemię? Panowie, bądźmy poważni - usiłował ratować sytuację, ale tamci nie dali się wciągnąć w żadne dyskusje.

Poprowadzili go schodami w dół, po czym bez żadnej żenady wprowadzili do pomieszczenia na końcu korytarza, zdjęli więzy z prawej ręki, wyszli i zatrzasnęli drzwi. Ani jeden, ani drugi nie odezwał się przy tym słowem. Gdy tylko zgrzytnęła za nimi zasuwa, Schenk zaklął, bardzo szpetnie. Wcale nie uśmiechało mu się gnić

w więzieniu, zwłaszcza ze świeżą raną i ręką na temblaku. Jak to jednak zwykle bywa, gdy wtrąca się kogoś do ciemnicy, nikt go o zdanie nie pytał.

Pokój, w którym się znalazł, z całą pewnością nie zawsze pełnił funkcję celi, był na to po prostu za duży – od ściany do ściany Schenk zdołał zrobić trzy–cztery duże kroki. Nie mógł też służyć jako piwnica na wino czy spiżarnia, bo pod sufitem miał okienko, wychodzące na ulicę na zewnątrz uniwersytetu. Jego pierwotne przeznaczenie nie miało jednak specjalnego znaczenia – w tym momencie ubogie umeblowanie, na które składały się długa ława i drewniane wiadro na nieczystości, wskazywało wyraźnie, że jest to cela i tyle. Ciężkie, okute drzwi z wizjerem i solidna krata w oknie również nie pozostawiały wiele wątpliwości. Ale w pewnym sensie warunki okazały się luksusowe, bo na pryczy leżał siennik i nawet nie był zgniły, a okienko gwarantowało całkiem sporo światła. Schenk westchnął. Poczul, że rana znowu zaczyna mu dokuczać, więc z braku lepszego zajęcia położył się na pryczy i bardzo szybko zasnął. Skoro już czeka, co mu los przyniesie, to dobrze to robić wyspanym.

W ciągu następnych dnia i nocy nikt się nie zjawił i Schenk zaczął się zastanawiać, czy o nim aby nie zapomniano. Przez okienko pod sufitem widział uliczny ruch, który drażnił go do niemożliwości swoją normalnością i niedosięgalną bliskością. Oczywiście nikt nie reagował na jego ostrożne syczenie ani nawet – gdy trochę się ośmielił – chamskie okrzyki. Przechodnie po prostu mijali jego celę, czasem tylko przyspieszając kroku. Przez tę pierwszą dobę co chwila przysypiał, starając się oszczędzać organizm; dokuczały mu głód i pragnienie, a rana bynajmniej nie doskwierała od tego mniej. Marzył o kojącej ból maści Łysego. Od doby nic nie pił i gardło pulsowało nieuśmierzoną tęsknotą. Zdesperowany, zlizal z krat okna rosę, która zebrała się tam o świcie. Za pomocą oderwanego od siennika kawałka materiału próbował pozyskać trochę wilgoci z zimnych kamieni, ale nic z tego nie wyszło. Coraz trudniej było mu zebrać myśli.

Wreszcie, pod koniec drugiej doby, gdy nie czuł już ani upływu czasu, ani własnej desperacji – mógł myśleć tylko o wodzie i jedzeniu – drzwi otworzyły się ze zgrzytem, budząc go z niespokojnej drzemki. Do pomieszczenia wszedł Klaus wraz z jakimś innym mężczyzną, na którego najemnik w ogóle nie zwrócił uwagi.

– Pić – wychrypiał Schenk, podnosząc się na prycy.

Na szczęście nie musiał się powtarzać. Klaus podszedł do niego, odkorkował niesiony bukłak i ostrożnie wlał odrobinę wody do ust najemnika. Wydała się Schenkowi najwspanialszą rzeczą, jakiej kiedykolwiek próbował, więc pił, aż zaczął się krztusić. Zakręciło mu się w głowie i opadł z powrotem na siennik. Porywacz z trudem wmusił w niego kilka łyżek cienkiego rosołu i kawałek chleba, po których żołądek podszedł Schenkowi do gardła. Rozkojarzony i mającący, najemnik znowu zapadł w drzemkę.

Gdy się obudził, za oknem już ciemniało, więc cela pogrążona była w półmroku. Na krześle pośrodku pomieszczenia siedział otyły, brodaty mężczyzna o wysokim czole i błyszczących oczach, ubrany w granatowy kubrak i pludry w tym samym kolorze. Światło odbijało się w miedzianych sprzączkach jego butów. W rękach trzymał jakąś książkę, ale nie czytał jej – po prostu gapił się na Schenka, podnoszącego się na łokciach. Bez słowa wskazał najemnikowi stojący obok łąwy dzban z wodą. Młodzian usiadł, zasyczał z bólu i z ulgą przywarł wargami do naczynia. Gdy skończył pić, nieznajomy zapytał:

– Myślałeś kiedyś o zbawieniu?

Schenkowi pytanie wydało się tak abstrakcyjne, że uznał, że z powodu gorączki i głodu się przesłyszał, a gościa sobie wymyślił. Nie uznał za stosowne odpowiedzieć, bo rozmawianie z własną halucynacją wydało mu się głupie.

– Na pewno myślałeś – rzekł po chwili milczenia tamten.

– Zdarzyło mi się – mruknął Schenk, opierając ciemię o zimną ścianę i przymykając oczy. To chyba jednak nie była halucynacja.

- Pytanie, czy myślałeś o swoim osobistym zbawieniu, czy o zbawieniu całego gatunku człowieczego? Nie odpowiadaj, nie trzeba. Wiem przecież, że o swoim. To naturalne. Każdego z nas najbardziej interesuje jego własna dusza i jego własny los, a także sąd, przed którym my sami staniemy. Ale co z resztą? Czy będziemy zbawieni pojedynczo? Czy nasze życie jako wspólnoty nie będzie miało wpływu na osąd Jezusa Chrystusa? Jak sądzisz?

Schenk w gruncie rzeczy nie sądził. Deklarował się jako luteranin, na szyi nosił mosiężny krzyżyk zdobyty na kimś w walce, ale jego życie religijne ograniczało się do okazjonalnych modlitw oraz – niegdyś – trwożliwego i zabobonnego lęku przed siłami nieczystymi, charakterystycznego dla żołnierzy, zwykle bardzo przesądnych. Odkąd jednak służył u Wilhelma i napatrzył się na różne cuda, zupełnie stracił respekt zarówno wobec Boga, jak i Szatana, w zasadzie zupełnie porzucając jakąkolwiek refleksję na ten temat. Wiedział niby, że cała ta wojna właśnie o to się toczyła, ale wiedział też, że jest to powód *de iure*, natomiast *de facto* był on taki sam jak w każdej innej wojnie – chodziło o pieniądze, władzę i ziemię. W związku z tym nagabywanie tajemniczego rozmówcy wydało mu się dość kuriozalne, bo o ile Schenk nie wątpił, że czeka go po śmierci jakiś osąd, o tyle nie bardzo się nim przejmował za życia. Nie wiedział, co mógłby odpowiedzieć, więc milczał.

- Widzę, że niewiele uwagi do tej pory poświęcałeś temu zagadnieniu – rozszyfrował go tamten. – No cóż, skoro już tu trafiłeś, to będzie musiało się zmienić. Wcześniej straci swe życie na szukaniu i śledzeniu nas, niż nas znajdzie ten, kto chciałby mieć udział w dobrodziejstwach bez zgody Boga.

- Co masz na myśli?

- Że nie dotarłbyś aż tu, gdyby taka nie była wola Ducha Świętego.

- Nie dotarłbym tu, gdyby twój podwładny mnie tu nie przyprowadził.

– Klaus? Och, Klaus, jak my wszyscy, jest tylko marionetką w rękach Pana. Czy to, co się tu dzieje – brodaty zakreślił ruch ręką – wygląda ci na plan człowieka?

– Łatwiej byłoby mi odpowiedzieć, gdybym wiedział, co tu się dzieje.

– Och, to akurat bardzo proste. Ale na odpowiedź będziesz musiał trochę poczekać. Tymczasem czekam na twoją: jak sądzisz, czy będziemy zbawieni pojedynczo?

Schenk nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć.

– Yyy... no, chyba tak – odparł zmieszany.

– Na podstawie swoich indywidualnych grzechów?

– No tak.

– A zatem każdy z nas stanie przed Jezusem Chrystusem w skrytości swojego sumienia? A jak tam twoje sumienie, najemniku?

– Trzyma się.

– Nie jesteś chyba bezgrzeszny?

– Oczywiście, że nie. Co to właściwie jest? – poirytował się w końcu Schenk. – Przesłuchanie? Kazanie w kościele? Jesteś pan duchowny?

– Po prostu ciekawi mnie ta rozmowa. Ciebie nie?

– Nie bardzo.

– W takim razie poczekam, aż zaczniesz cię interesować własna dusza. – Nieznajomy wstał nieoczekiwanie. – Krzesło ci zostawiam. Wybacz warunki, w których musisz przebywać, ale na razie to konieczne. Dopilnuję, żebyś więcej nie głodował. Do zobaczenia.

Odwrócił się, chowając książkę za pas, wyszedł z celi i trzasnął drzwiami. Zabrzmiały zamki i zasuw.

*

Gdy drewnianym trzonkiem łyżki wykrobywał na ścianie kreskę oznaczającą szósty dzień uwięzienia, drzwi otwarły się ze zgrzytem, mimo że nie była to jeszcze pora na posiłek. Stał w nich ten sam korpulentny mężczyzna, który wcześniej przepytował go z eschatologii.

Przez tych kilka dni Schenk zdążył sobie przemyśleć to i owo. Gruby dotrzymał słowa i najemnik rzeczywiście dostawał codzienną porcję jedzenia i wody, kilka razy pojawili się też różni osobnicy, żeby zmienić mu opatrunek i nasmarować ranę, która wyglądała coraz lepiej. W związku z powyższym doskwierało mu tylko jedno – okropna nuda. Uznał, że gdy „kaznodzieja”, jak zaczął w myślach nazywać tamtego z książką, przyjdzie ponownie, to zagra w jego gierkę – najwyraźniej było to niezbędne do wypłatania się z tej dość niefortunnej sytuacji, w której najemnik się znalazł. Dlatego widząc znajomą brodę, porzucił łyżkę i usiadł na pryczy, zostawiając krzesło gościowi. Przez okienko wpadały jasne promienie południa.

– I co? – zapytał tamten. – Zastanowiłeś się nad tym, o czym rozmawialiśmy?

– Tak.

– Jestem bardzo ciekaw.

– Będziemy zbawieni pojedynczo. Za swoje indywidualne grzechy. Nie odpowiadamy za to, co robią inni.

– Święta prawda. Ale co z grzechami, które wynikły z winy innych?

– To znaczy?

– Zdarzyło ci się kiedyś kogoś zabić?

– Oczywiście, jestem żołnierzem.

– A czemu nim zostałeś?

Schenk się zmieszał. Nigdy się nad tym nie zastanawiał, żołnierstwo było dla niego jak powietrze – stanowiło integralną część jego osobowości. Nigdy nie brał pod uwagę innej kariery życiowej. Milczał, szukając odpowiedzi; domyślał się, że proste „tak wyszło” raczej nie zadowoli rozmówcy.

– Przygarnęli mnie najemnicy – odpowiedział w końcu z wahaniem – którzy wyszkolili mnie na żołnierza.

– Otóż to. A więc splamiłeś się grzechem zabójstwa przez to, że inni cię do tego nakłonili, czy nie?

– No, w pewnym sensie... Może... – Schenk nie czuł się komfortowo w czasie tej rozmowy. Aż do tej pory nie interesowały go te sprawy, a nie lubił niespodzianek, szczególnie gdy dotyczyły jego samego. – Ale to nie ich wina. Moja też nie, bo nie wiedziałem, że mam inne wyjście.

– Otóż to. W tym momencie utrafiłeś w sedno. „Nie wiedziałem”. Grzech, mości żołnierzu, bierze się z niewiedzy, z niepewności co do zasad, które rządzą światem naturalnym. Kto żyje w zgodzie z nim, żyje w zgodzie z przykazaniami Bożymi i tym samym dostąpi zbawienia. W drodze zapytałeś Klauza, czym jest Księstwo Różanego Krzyża, prawda? Otóż jest miejscem, w którym ludzie żyją zgodnie z prawem naturalnym, powodowani wiedzą i mądrością, nagromadzonymi przez lata istnienia naszego świata. Co za tym idzie, dzięki wiedzy i oświeceniemu nie powodują się nawzajem do grzechu i sami też, jak można się domyślić, nie grzeszą. Ziemie, na które trafiłeś, są załącznikiem Szóstej Epoki, po której zapanuje Królestwo Boże.

– Czyli faktycznie jesteście zakonem?

– Bractwem – poprawił tamten, ale bez nacisku. – Jesteśmy zgromadzeniem ludzi, którzy jako pierwsi, dzięki Boskiemu błogosławieństwu, zrozumieli, skąd wieje wiatr i jak go zebrać. A reszta to ci, z którymi dzielimy się tą wiedzą.

– A Bania? Co to jest?

– Bariera? To logiczna konsekwencja tego, że świat nie jest gotowy na to, co chcemy mu przekazać. Gdybyśmy jej nie postawili, w ciągu paru miesięcy zjawyłyby się tu zastępy papieskiego antychrysta lub zagubionego króla Szwecji, aby ukrócić nasze zamiary, a tym samym spowolnić wykonanie planu, który sobie zamierzeliśmy. Ani mi się widziało użerać z tymi, którzy nie rozumieją, bo wiem, że rozumieją – kiedyś. Tymczasem wybraliśmy izolację, a barierę zdejmujemy, gdy oni i my będziemy na to gotowi. Co nastąpi zresztą rychlej, niż można się spodziewać. Stworzenie jej nie poszło zresztą tak łatwo, jak się spodziewaliśmy. Zastanawiałeś się pewnie, dlaczego ma tak

nieregularny kształt. Otóż początkowo miała być sferą, figurą doskonałą, ale Bóg widać chciał inaczej.

Innymi słowy, zjebali sprawę, pomyślał Schenk, którego cała ta dyskusja zdążyła kilkakrotnie zaskoczyć, wciąż jednak nie podszyła go bojaźnią względem Boga, jak chyba chciałby myśleć jego rozmówca.

– Nie uważacie, że używanie malefistyki może się nie spodobać Bogu? To częściowo szatańska sztuka.

Tamten parsknął.

– „Malefistyka”, cóż za nazwa! Czuć, że twój władca, Wilhelm, jest pod silnym wpływem Szwedów. Nic dziwnego, przecież zawdzięcza im niemal wszystko. Zaręczam jednak, że szwedzka doktryna związana z magią jest absurdalna. Nic, co istnieje naturalnie, nie może być złe samo w sobie. Zło to nieobecność Boga. Magia, bo to jest magia, panie żołnierzu, nie ma co się oszukiwać ani bawić w półśłówka i eufemizmy, jest czymś, co należy zrozumieć i wykorzystać, aby zbliżyć nas do Chrystusa, a nie jakąś diabelską sztuczką, która ześle na nas wieczne potępienie, jak sądzą na Północy. Do podobnego wniosku doszli dominikanie, ale oni próbują nagiąć świat do własnej woli, my zaś odwrotnie, przekształcamy go tak, abyśmy mogli służyć mu jak najlepiej. O czym zresztą niebawem się przekonasz. Tymczasem odpoczywaj. Umiesz czytać?

Schenk, nie chcąc wyjść na idiotę, pokiwał głową, chociaż z literami wcale nie szło mu najlepiej.

– W takim razie zostawiam ci Biblię. – Brodacz położył na krześle księgę wyciągniętą zza pasa. – Wróć za kilka dni.

– Czeka! Kim ty właściwie jesteś?

– Nazywam się Johan Andreae. Bywaj.

Rozdział IX

- *Laudetur Iesus Christus*, bracie - powiedział do przestraszonego, chudego dominikanina, którego przyprowadziła mu von Naybor. - Wybacz, że ściągnąłem cię tutaj w tak, hm, bezceremonialny sposób, ale jak sam widzisz, potrzebuję spowiedzi i ostatniego namaszczenia, a nowa reguła nakazuje, że musi to zrobić inny dominikanin. Mam nadzieję, że się nie gniewasz. Otrzymałem gwarancję, że będziesz mógł odejść wolno i liczę na to, że pani von Naybor dotrzyma słowa. Musisz się nacylić, nie mogę mówić głośniej. Rana bardzo mi dokucza. Albert chyba celował w wątrobę albo w serce, tylko brakło mu doświadczenia. Ale nie uprzedzajmy faktów.

Urodziłem się na pograniczu kraju Basków i Navarry, u podnóża Pirenejów. To była piękna, odludna okolica, pełna ukrytych ścieżek i słonecznych pastwisk, po których chodziłem od dziecka, bo moi rodzice hodowali bydło, które wypasałem od szóstego roku życia. Żeby dojść na pastwiska, trzeba było przegonić krowy przez pola arbuzów tak, żeby ich nie zdeptały. To wcale nie było łatwe i nie zawsze się udawało, a jeśli się nie udało, szedłem spać bez kolacji. Nie była to zbyt skuteczna kara, bo jeśli zwierzęta zdeptały krzaki, można z nich było bez żalu zebrać zmiążdżone owoce i zjeść, a potem umyć ręce w strumieniu. Z dzieciństwa pamiętam jeszcze *las fallas* - ogień przesilenia zimowego. We wszystkich okolicznych wioskach ludzie gromadzili się, rozpalali wielkie ogniska i modlili się o dobre plony. Pamiętam ich zielono-czerwone stroje, kolorowe kokardy dziewcząt i ściany ognia, które wydawały się sięgać nieba. Pamiętam też romański kościółek w naszej wsi, mały, ciemny wewnątrz, chłodny nawet w najgorszy skwar - dziś wiem, że bardzo stary, ale wtedy tylko to przeczuwałem.

Pamiętam też, oczywiście, kiedy pierwszy raz zobaczyłem klasztor San Telmo. Stał, przysadzisty, jakby schowany wewnątrz Góry Świętego Sebastiana. Ojciec przywiózł mnie tam, gdy miałem dziesięć lat. Byliśmy dość zamożną rodziną, niczego nam nie brakowało, ale miałem pięcioro rodzeństwa i coś trzeba było ze mną zrobić. Nigdy nie miałem o to żalu do ojca, no, może trochę. Oczywiście wolałbym sam zdecydować o swojej przyszłości, ale przecież i tak wszystko leżało zawsze w rękach Boga. Skoro miałem trafić do zakonu, trafiłbym do niego tak czy inaczej. Mój nowicjat też był raczej sielankowy. Byłem spokojnym dzieckiem, stroniłem od rówieśników i nastrój powagi, pracy i modlitwy odpowiadał mi w zupełności. Szybko okazało się, że mam smykałkę do ksiąg i dar wymowy, więc preceptorzy przepowiadali mi wielką przyszłość. Kolegami się nie przejmowałem; wolałem podziwiać wspaniałą rzeźbę arkad niż ich dziecięce wygłupy. W pewnym momencie jednak, jak chyba każdy, zapragnąłem ich akceptacji. Ukradłem z kuchni worek jabłek i podzieliłem się ze wszystkimi chłopcami z nowicjatu. Gdy nasz preceptor zapytał, kto to zrobił, donieśli na mnie bez chwili wahania. Chcieli mi dokuczyć za to, że wyprzedzałem ich w nauce. Chodziłem dwa tygodnie o chlebie i wodzie. Zapamiętałem tę lekcję dość dobrze.

Tuż przed tym, jak przyjąłem święcenia, dopuściłem się może najgorszego grzechu tego okresu swojego życia, a zarazem jedyne, którego nie żałuję – zaległem z kobietą. Nazywała się Barbara i przynosiła do klasztoru arbuzy. Pachniała nimi, może to dlatego? Kojarzyła mi się z dzieciństwem. Po tylu latach nie pamiętam nawet, jak to dokładnie się stało, ale pamiętam ciepło jej warg. Nikt nas nie złapał, sam się przyznałem, przez wyrzuty sumienia. Przeor był wściekły, ale wyrozumiały. W ramach pokuty nakazał mi bosą pielgrzymkę do Santiago de Compostela. Poszedłem. Wizyta w katedrze była duchowym przeżyciem, ale mniejszym, niż sądziłem. Przez chwilę zastanawiałem się, czy w ogóle wracać do klasztoru. O wiele większe wrażenie zrobiła na mnie sama droga. Szedłem północnym szlakiem, wzdłuż Atlantyku.

Kamienie kłujące mnie w bosc stopy, wiatr w uszach i krzyk mew zapamiętałem na zawsze. Byłem sam, swobodny, wiedziony tylko misją. To chyba wtedy zrozumiałem, że chciałbym podróżować. Przede wszystkim jednak zrozumiałem, że nie ma czegoś takiego jak kary i nieszczęśliwe wypadki – każde zło, które nas spotyka, jest próbą Chrystusa, która ma nas czegoś nauczyć. Gdy uświadomisz to sobie, nigdy już nie będziesz się bał sił zła. Polecam to przemyśleć. Miałem szczęście, że ta prawda dotarła do mnie tak wcześnie.

Po powrocie do San Telmo przyjąłem święcenia diakońskie i powiedziałem przeorowi, że chciałbym zostać misjonarzem. To wiązało się oczywiście z mnóstwem nauki. Nie tylko w klasztorze, ale też na uniwersytetach – w Salamance, Barcelonie, Madrycie, Walencji. Zjeździłem kawał kraju. Gdy na zaproszenie Orderu Chrystusowego udałem się do monasteru w Tomarze, poznałem tam brata Sebastiana, Portugalczyka. Był bibliotekarzem, a zanim wstąpił do zakonu, walczył w bitwie pod Lepanto, gdzie stracił oko i kawałek ucha. Miał chyba ze sto lat i niechętnie rozmawiał z kimkolwiek, ale do mnie zapałał, nie wiem czemu, sympatią. Powiedział mi kiedyś: „Będziesz dominikaninem, a więc kimś, kto dużo wie. Pamiętaj, że wiedza to przywilej. Dziel się nią chętnie, ale tylko tą, która jest wiedzą powszechną. Gdy już ją przekażesz, nie mów nic. Tylko ten jest uważany za mędrca, kto wie coś ponad to, co wyjawil”. Był wierny tej dewizie. Mimo moich błagań, nigdy nie przekazał mi wszystkiego, co wiedział, a przynajmniej tak twierdził. A jednak nauczyłem się od niego mnóstwo. Wyjechałem z Tomaru dopiero, gdy zmarł. Szczerze po nim płakałem. Krzyż, który nosiłem, dostałem od niego. Ponoć zrobiony jest z drzewa sandałowego ze zniszczonej tureckiej galery. Zgubiłem go gdzieś, gdy otrzymałem tę ranę.

To był dobry czas. Uczylem się pilnie, studiowałem Arystotelesa i Platona, Świętych Tomasza i Bonawenturę, czasem – w tajemnicy – zapuszczałem żurawia w pisma protestanckie, żeby zobaczyć, z czym przychodzi nam się mierzyć. Moja wiara utrwałała się i krzepła, głównie

przez Świętego Augustyna, w którego rozterkach rozpoznawałem swoje własne. Mnóstwo podróżowałem po całym półwyspie, poznawałem braci dominikanów, bernardynów, chrystusowców, jezuitów i kamedułów. W końcu ukończyłem studia. Moja dysertacja dotyczyła, o ironio, błędności dogmatów kalwińskich, z czego zapewne uśmiełaby się tutejsza katedra teologii.

Wysłano mnie na Filipiny. Dobrze pamiętam pierwszą podróż morską. Wyruszyliśmy z Granady, na trójmasztowym galeonie, który płynął do Meksyku po srebro. Kapitan i marynarze znali szlak jak własną kieszeń, kursowali nim każdej wiosny i jesieni. Chciałem zarobić na swój przejazd, więc próbowałem im pomagać – oczywiście przeszkadzałem na każdym kroku, jak to szczur lądowy na pełnomorskim statku. W końcu któryś z majtków powiedział mi to wprost, a ja w porywie złości i bezsilności zrugałem go z góry na dół, nazywając bezbożnikiem. To był taki drobny, prostolinijny chłopak... Strasznie się tym przejął. Mam nadzieję, że nie gniewał się na mnie, bo przeprosić już nie mam jak. Resztę podróży spędziłem z żołnierzami eskorty, bezskutecznie usiłując rozmawiać z nimi o Chrystusie. Byłem młody i pełen żaru, chciałem nieść słowo Boże wszędzie, gdzie się dało, i za żadne skarby nie stać się jednym z utuczonych kościelnych dostojników noszonych w lektykach. Narzucałem się wszystkim wokół. Może się brat domyślać, że po dotarciu do Veracruz od razu wyrzucili mnie na brzeg z ulgą.

Podobną niechęcią zapalałi do mnie przewodnicy, którzy przeprowadzili mnie i paru innych podróżnych, głównie kupców, przez Panamę do Acapulco. Dopiero na pokładzie statku do Manili trochę zmadrzałem i trzymałem się z dala od pozostałych. Podróż była ciężka, po drodze wpadliśmy na sztorm, a u wybrzeży Indonezji musieliśmy uciekać holenderskiej fregacie, ale teraz w razie kłopotów chowałem się po prostu pod pokładem albo modliłem ostentacyjnie. Myśleli pewnie, że zadzieram nosa, ale dystans pomógł mi zdobyć ich szacunek. Kapitan na do widzenia uklonił mi się nisko. Zrozumiałem, że Kościół to nie

tylko misja, ale też wizerunek, który był i moim wizerunkiem, czy tego chciałem, czy nie.

W Manili zaproponowano mi, żebym odpoczął parę tygodni po długiej podróży i zorientował się trochę w realiach. Oczywiście nie chciałem, śpieszno mi było do pogan. Dano mi wolną rękę co do tego, gdzie chcę nieść słowo Boże, a ja – puszczając mimo uszu wszystkie przestrogi – wyposażylem się, jak umialem najlepiej i ruszyłem do górskich wiosek. Co za kretyn! Nie miałem nawet najmniejszego wyobrażenia, czym jest wschodnioindyjska dżungla. Ilocano znaleźli mnie dwa tygodnie później, umierającego ze zmęczenia i głodu, pokąsanego przez owady, z zaropiałą raną od ugryzienia jakiegoś dzikiego kota i z początkami malarii. Przeżyłem to chyba tylko dlatego, że miałem dwadzieścia lat i byłem silny jak byk.

Hm? Tak, Ilocano to plemię. Przyjęli mnie z sympatią i szacunkiem, chociaż nie mieli wielu powodów, żeby lubić Hiszpanów. Przez *purók*, do którego trafiłem, przeszła ekspedycja Salcedo i chociaż uniknęli rzezi, bo nie byli muzułmanami, to moi rodacy nie zostawili po sobie zbyt dobrego wrażenia. Ale tubylcy postawili mnie na nogi, pokazali, jak przeżyć na wyspie. Żyłem z nimi prawie dwa lata. To oczywiście byli prości ludzie. Hodowali ryż, czosnek i tytoń, które wymieniali z Hiszpanami i Chińczykami za wyroby żelazne, broń i ozdoby. Nosili śmieszne nakrycia głowy robione z tykw zbieranych na środku lasu. Wierzyli w anitos, dobre i złe duchy mieszkające w przedmiotach, i składali im ofiary. Pomogłem im znaleźć drogę do Chrystusa, a przynajmniej większości z nich. Tym, którzy nie chcieli, nie narzucałem się. Nie dlatego, że szanowałem ich pierwotne zabobony, tylko dlatego, że było mi głupio zamęczać swoich dobroczyńców. Pomogłem im zbudować mały kościółek z bambusowych prętów i liści palmowych, wyświęciłem jednego zdolnego chłopca na kleryka i ruszyłem dalej, w głąb wyspy.

Tym razem miałem przy sobie tylko nóż, ale też byłem mądrzejszy o dwa lata życia z dzikimi. Byłeś kiedyś w dżungli, prawdziwej dżungli,

bracie? To miejsce, w którym wszystko próbuje cię zabić, od zwierząt, przez owady, aż po rośliny. Najgorszy jest jednak hałas. Dżungla jest głośnie, czasem tak bardzo, że ogłusza. Nie ma w niej ani sekundy ciszy. Zawsze śpiewają ptaki, syczą zwierzęta, a rzeczy, na które nie ma nazwy w europejskich językach, wydają dźwięki, których nie da się powtórzyć. Nie sposób opisać przerażenia, które ogarnia cywilizowanego człowieka w tej dżungli. Ale przywykłem do tego z czasem i lasy Filipin stały się dla mnie piękne. Odludne, czyste, puste, czasami nawet hojne. Pasowały mi.

Krałęm po Luzonie przez cztery lata. Gdzie tylko się zjawiłem, niosłem słowo Boże. Okazałem się w tym całkiem niezły, ludzie chętnie mnie słuchali, zwłaszcza gdy płynnie opanowałem ich narzecze. Po prostu szedłem do przodu, a gdy zacząłem słyszeć w języku obce naleciałości, zwracałem. W ten sposób schodziłem cały kraj i nawet w *purók*, do których docierałem po raz pierwszy, znali już moje imię. Schlebiało mi to. Szanowałem tych ludzi. Byli pracowici i spokojni, a niektóre z ich zwyczajów wydawały mi się wręcz lepsze niż europejskie.

Oczywiście to nadal dzicy, nieoświeceni barbarzyńcy. W jednej z wiosek, którą odwiedziłem, zastałem wyjątkowo silny opór przeciw idei Serca Chrystusowego, ale udało mi się przekonać do niej garstkę młodych. Pomogłem im postawić kapliczkę i ruszyłem dalej, obiecując, że przyprowadzę im z pobliskiego *ili*, czyli miasta, kleryka, który zaopiekuje się ich duszami. Gdy wróciłem z wyświęconym chłopakiem, okazało się, że ari wioski wypędził wszystkich nawróconych z ich chat, a kapliczkę zburzył. Krzyczał na mnie i rzucał pogańskie klątwy. Zdenerwowałem się, wziąłem od jednego z wioskowych kupców muszkiet i zastrzeliłem go jak psa. Gdy trafiłem do tej samej *purók* kilka miesięcy później, wszyscy mieszkańcy modlili się do Jedynego. Czasem trzeba było i tak.

Błądziłem po wyspie głębiej i głębiej, aż dotarłem w dżunglę, w którą żaden biały do tej pory się nie zapuszczał. Sam, boso, z nożem przy

pasie, nie potrzebowalem nic innego – wszystko dawala mi dzungla. Widzialem plemiona kanibali i matkobojcow, wojownikow poprzebieranych w skory swoich ojcow i totemy wielkie jak katedry. Ale bylem niezmordowany. Ktoregos dnia natrafilem na dosc powazny konflikt miedzy dwoma kacykami. Chodzilo bodajze o granice miedzy polami tytoniu, mniejsza zreszta. Oba plemiona byly juz schrystianizowane, wiec poproszono mnie o zaniewienie poselstwa do arcybiskupa, aby ten rozsadzil spor. Wrociłem do Manili po raz pierwszy od pol dekad.

Wzbudilem niejaka sensacje, bo slad po mnie zaginal i wszyscy byli przekonani, ze od dawna nie zyje. Arcybiskup, leciwy augustianin, nie byl zainteresowany klótniami tubylcow, natomiast spadlem mu jak z nieba, poniewaz wlasnie jak manny z nieba potrzebowal wykształconych kaznodziejow. W Manili nie bylo ich prawie w ogole. Myslam, ze zaniose poselstwo i wroce w dzicz, jednak Bog najwyrazniej chcial inaczej – zostalem w miescie, niosac poslanie wzrod na wpol pogańskich Chińczyków w jednej z wiekszych jego dzielnic.

To byla walka z wiatrakami. Co ci ludzie potrafili robic z doktryna! Wlos sie jezyl na glowie. Nie mogli pojac idei Boga najwyzszego, przemawial do nich tylko Chrystus w ludzkim wcieleniu – kompletna abstrakcja. Gdy probowalem wyjasnic im koncepcje Trojcy Swietej, zupełnie na powaznie uznali, ze w jej sklad wchodzi wszyscy zmarli, ktorzy kiedykolwiek zyli. Twierdzili, ze to niesprawiedliwe, ze Jezus sam jeden dostapil zaszczytu zasiadania po prawicy Boga Ojca, a reszta zmarlych nie. Nie moglem im wybic tego z glowy. Probowalem byc cierplivy, ale ich podejscie do zycia doprowadzalo mnie do szalu – w przeciwienstwie do Filipinczyków wydawali mi sie gnuśni i leniwi, niechetni niczemu, co ofiarowal im Bog.

Dlatego udalem sie do arcybiskupa i zaproponowalem, byc moze dosc rewolucyjnie, zeby zaczac wyswiecac na kaplanow filipińskich kleryków. Nie dlatego, ze chcialem skuteczniej niec slowo Boze, po

prostu nie chciałem mieć więcej nic wspólnego z Chińczykami. Po wielu namowach zgodził się i pierwsi księża-Mulaci poszli w gąszcz, a przede wszystkim przejęli ode mnie chińskie komuny. Odetchnąłem z ulgą. Arcybiskup poprosił mnie, abym objął katedrę teologii na malutkim uniwersytecie, który właśnie tworzył się w Manili. Zgodziłem się i dobre dwa lata kształciłem młodych kapłanów. Noszono mnie w lektyce. Zacząłem być dokładnie tym, czym nie chciałem nigdy zostać. A jednocześnie gdy przebywałem wśród Europejczyków, zaczęło nagle mnie razić, jak bardzo są małostkowi, żądni złota, zaszczytów i sławy, a jak mało wspólnego mają z Bogiem. Kontrast w stosunku do tubylców był ogromny. Tonąłem wśród wyrzutów i goryczy. Niech cię zatem nie dziwi, bracie, że gdy tylko pojawiła się okazja ucieczki, skorzystałem z niej.

Miałem jechać do Japonii. To były początki prześladowań, siogunat właśnie zakazał głoszenia katolicyzmu. Było to śmiertelnie niebezpieczne, ale chciałem jechać, naprawdę chciałem – żeby wyrwać się z Manili i pułapki, w którą sam nieopatrznie włąłem, i oczywiście żeby pomóc wiernym w Kataju. Znów jednak Bóg chciał inaczej. Na kilka dni przed odplynięciem holenderskiej fluty, którą miałem dostać się do Nagasaki, nadeszły rozkazy z generalicji: musiałem w najszybszym możliwym terminie stawić się w stolicy. Nie miałem pojęcia, o co chodzi, nie sądziłem, że ktokolwiek w Rzymie o mnie pamięta, choć powinienem zdawać sobie sprawę, że Święty Kościół zna każdego swego sługę na wylot.

Ostatecznie wsiadłem więc na holenderski okręt, ale płynący w drugą stronę – tak było najszybciej. To był ogromny retourschip, a arcybiskup wystarał się o kajutę mieszkalną dla mnie, więc podróż była komfortowa. Płynęliśmy trzy miesiące. Poduczyłem się trochę holenderskiego, a nawet liźnąłem odrobinę nawigacji. Wsiadłem w Agadirze, arabską galera popłynąłem do Neapolu i dotarłem do Rzymu. Był to dla mnie czas medytacji i rozważań – ocean sprzyja temu, wiesz, bracie? Nadal nie miałem pojęcia, czego chciał ode mnie zakon,

ale powziąłem głębokie postanowienie, żeby powiedzieć generałowi, że chcę wrócić do misjonarstwa. Głupi byłem jak but z lewej nogi.

Nie byłem wcześniej w Rzymie. Zrobił na mnie wspaniałe wrażenie. Uwielbiałem wielkie, przestronne wnętrza kościołów i ciasne uliczki, nawet śmierdzący Tybr wydawał mi się piękną rzeką. Zdarzało mi się siadać na jednym ze wzgórz i po prostu podziwiać miasto, przecięte nową iglicą Bazyliki Świętego Piotra. Czułem, że naprawdę jestem w środku świata.

Okazało się, że arcybiskup Manili w listach opisał mnie w samych superlatywach, aż się głupio robiło, bo wyglądało to momentami, jakbym nawrócił cały Luzon w pojedynkę. Secchi skierował mnie na studia z precyzjologii. To było tak, jakby cały świat nagle ujawnił przede mną swoje tajemnice. W przeciwieństwie do innych nie byłem podejrzliwy, przeciwnie, łaknąłem tej wiedzy jak zbawienia. Szybko okazałem się jednym z najlepszych precyzjologów w zakonie. Kurs, który innym zajmował trzy lata, zrobiłem w dziewięć miesięcy, a w trakcie jego trwania odkryłem kilka ciekawych błogosławieństw, których może i ty, bracie, używasz, nieświadomy ich pochodzenia. Nie, nie pysznię się teraz, po prostu stwierdzam fakty.

Europejczycy drażnili mnie co prawda, ale nauczyłem się to ukrywać. Ludzie mnie zawiedli, bracie, okazali się podli, małostkowi i nieciekawi, przez co nieustannie musiałem wystrzegać się grzechu arogancji. Tylko w zakonie i w alchemii znajdowałem jakąś pociechę, aż oddałem się całkowicie tej drugiej. Wierzę, że wypełniałem w ten sposób wolę Boga – ktoś przecież musiał kierować ręką generała, gdy podpisywał moje wezwanie do Rzymu.

Po studiach przyszedł trening bojowy. Przechodziłeś trening bojowy? Nic, tylko się cieszyć, bo to z kolei był koszmar. Wyobraź sobie dostojnych teologów w obozie wojskowym, wrzucanych w błoto, wyklinanych na czym świat stoi przez zwykłych sierżantów i żrących rozgotowane kartofle posiniaczonymi rękami. Nikogo w życiu tak nie nienawidziłem jak swoich instruktorów, nigdy wcześniej też tyle razy

mnie nie obrażono i nie wdeptano w ziemię. Schudłem tam chyba z ćwierć cetnara. Ale najgorsza była szermierka. Szermierka rano, szermierka w południe, szermierka wieczorem, po sześć, dziewięć godzin dziennie, rapierem, mieczem, szablą, z tarczą, bez tarczy, aż ramiona odpadały, mięśnie sztywniały jak drewno, i to mimo *praeciosum leviosum*. Od nieustannego wyężdżania uwagi w czasie ćwiczeń podskakiwałem na każdy ruch w pobliżu. Ładnych parę lat zajęło mi pozbycie się tego nawyku, a bliźni po przypadkowych cięciach mam do dzisiaj. Poznałem tam naszego obecnego generała, Tilenheima, wiesz? Od początku mi się nie podobał, miał w oczach coś, co kojarzyło mi się z mętłą, zamarznąłą wodą.

Do stania się *Abbas Praeolium* zostało już tylko jedno: wiązanie *vocantem*. Jesteś związany? Och, wiele straciłeś, to wspaniały rytuał, ma w sobie coś z pierwszych mszy w podziemiach Rzymu, i coś z zakazanego owocu okultystycznych eksperymentów. Nic mnie nie obchodzi, że to tajemnica, miałeś mnie wypowiadać, to spowiadaj. O czym to ja? Ach, *vocantem*.

Wybrani zbierają się w Świętej Sabinie, w nawie głównej, na tej samej marmurowej posadzce i pod tym samym złotym sklepieniem, które na pewno dobrze znasz. Nie wyobrażaj sobie jakichś pochodni i pogańskich ołtarzy, nie, po prostu stałem w kręgu, trzymałem braci za ręce i modliłem się, a generał wygłaszał inwokację. Ale atmosfera, poczucie braterstwa, jedności, wspólnoty wiary i przekonań, i to w miejscu, w którym modlili się Święty Dominik i Święty Tomasz z Akwinu... To było niesamowite. Nigdy nie czułem się bardziej związany z zakonem i swoimi braćmi niż wtedy.

Zaczęła się ciężka praca. Moim pierwszym zadaniem po objęciu nowej funkcji było zniszczenie grupy jezuickich renegatów, którzy zajmowali się precyzjologią w Walencji. To było trudne starcie, tym cięższe, że to byli nasi bracia w wierze; dwóch moich przyjaciół straciło tam życie. Później ścigałem okultystów i alchemików, odzyskiwałem aramejskie pisma, zdobywałem reagenty, brałem udział w bitwach,

wysyłano mnie nawet na misje skrytobójcze. Zjeździłem kawał Europy, nauczyłem się płynnie mówić po angielsku i niemiecku, trochę po francusku. Byłem nawet w Polsce, na dworze Wazów, zahaczyłem też o Syrię. Niezbyt to wszystko było pobożne, zazwyczaj zdecydowanie wbrew Dekalogowi, ale miałem poczucie, że robię coś ważnego i że przysługuję się Chrystusowi i zakonowi.

Przez jakiś czas usiłowałem się oszukiwać, że robię to wszystko w ramach charyzmatu, niektórzy z nas przecież do dzisiaj tak twierdzą, ale to oczywiście bzdura. Zakon, jeśli chce przetrwać jako święta instytucja, potrzebuje nowej reguły i jak znam życie, w ciągu paru lat taka powstanie, chociaż raczej nie za rządów Tilenheima – nic go przecież nie obchodzi teologia. Z czasem zresztą sam przestałem się przejmować posłaniem. Byłem w sile wieku, znałem języki i precyzja, zjeździłem cały świat, miałem ogromne doświadczenie i gruntowne wykształcenie, potrafiłem walczyć i manipulować ludźmi... To brzmi arogancko, prawda? Pysnie nawet. W gruncie rzeczy byłem szczęśliwy, ale może faktycznie brakło mi pokory?

Na pewno stałem się jeszcze bardziej porywczy. To zawsze była moja pięta Achillesa: impulsywność, działanie pod wpływem niezrozumiałych przeczuć albo gniewu i nienawiści. Jednym z najtrudniejszych zadań, jakie otrzymałem w zakonie, było odzyskanie ładunku pirytu, który ukradli berberyjscy piraci u wybrzeży Libii. Wiesz, że piryt jest potrzeby do *praeciosum aerum*, a to był środek kampanii Wallensteina, trzeba było utrzymać płynność dostaw. Kłopot w tym, że piratów trzeba było nie tylko złapać, ale najpierw wytropić, a to wymagało pewnych kompetencji. Udało się, ale w trakcie śledztwa straciłem trzech ludzi, w różnych tragicznych okolicznościach. Kiedy nasza galera znalazła się burta w burtę ze statkiem piratów, których szukałem, nie chcieli nas wpuścić na pokład – i nic dziwnego, nie wyglądaliśmy na takich, którzy mają dobre intencje. Wpadłem w szal. Kazałem wziąć okręt szturmem, straciłem kolejnych ludzi. Berberzy, widząc to, wyrzucili piryt za burtę, uznając, że zostawię ich wtedy

w spokoju. A ja kazałem zamknąć ich pod pokładem i podpaliłem krypę. Straciłem ludzi, straciłem ładunek, spaliłem żywcem trzydzieści osób, a to wszystko pod wpływem zwykłego gniewu. Pewnie nigdy za to nie odpokutuję. A może pokutuję właśnie teraz?

W końcu skierowano mnie głównie do misji dyplomatycznych. Byłem wygadany, znałem języki i mogłem rozmawiać z księżętami jak równy z równym. Jasne się stało, że plan Urbana i Secchiego, żeby przekształcić dominikanów w zakon bojowy, ma pewne wady. Coraz więcej braci ginęło w starciach z renegatami i precyzjomantami z obcych armii, nasze szeregi topniały w oczach, więc na gwałt rekrutowano coraz więcej nowicjuszy. Nadawaliśmy ze szkoleniem, ale nie z kształceniem. Wiesz o tym przecież, sam jesteś z tego drugiego rzutu. Studiowałeś teologię? Rok? No właśnie. Moje studia trwały pięć lat i kontynuowałem je jeszcze długo potem. Nowicjuszy pozyskanych w zeszłym roku w ogóle się już nie kształci, idą prosto do obozu w Lacjum, nie zdziwiłbym się, gdyby nie wszyscy znali *Ojciec nasz*. Dziś w zakonie jest tylko kilka setek teologów z prawdziwego zdarzenia. Argument i kazanie nie są już naszą bronią, zastąpiło je *praeciosum incendiarum*. Może dlatego Tilenheim kazał mnie zabić? A może wyczuwał we mnie konkurencję?

A, racja, przecież ty nie wiesz. Otóż tak się składa, że tę ranę sprokurował mi nasz brat, niejaki Albert. Osiemnastoletni gówniarz. Jestem pewien, że od samego początku tej misji miał rozkaz pozbyć się mnie, gdy tylko zidentyfikujemy dziewczynę. W każdym razie na pewno nie była to jego autorska inicjatywa. Z Tilenheimem mam na pieńku od lat, to jeszcze stare historie ze studiów... Nie zgadzałem się nigdy z jego bezlitosnym fanatyzmem i nienawiścią do wszystkiego, co dominikańskie. Ale nie myślałem, że posunie się tak daleko. Myślałem, że nawet dla niego braterstwo zakonne znaczy więcej. Myliłem się. W gruncie rzeczy był to majstersztyk intrygi. Gdyby Albert mnie zakłuł, generał miałby problem z głową. Gdybym to ja zabił go w samoobronie, łatwo byłoby mnie oskarżyć o morderstwo i wydalić z zakonu.

Szkoda mi tylko dzieciaka, bo zmarnieje pewnie pod takim zarządem. Ja skarżyć nie mam prawa, przebaczam mu z serca. Chociaż... Wiesz, co mi powiedział, stojąc nade mną po zadaniu mi ciosu? „Wybacz mi, Panie, bo zgrzeszyłem”. Nie widzisz w tym nic dziwnego?

„Panie”, nie „bracie”. Daje do myślenia, prawda?

Więcej grzechów nie pamiętam.

A jeżeli dotrzesz kiedyś do generała Tilenheima, przekaz mu, proszę, wyrazy najwyższego uszanowania od brata Dominika.

Rozdział X

Po tajemniczym wybuchu Katarzyna zamknęła się na pięć dni w pracowni. Nie pomagało stukanie, wołanie, błaganie ze strony Blanchefleur, nie pomogła perswazja l'Empereura, nie pomogły gniewne groźby rektora. Zamykała drzwi i nikogo nie wpuszczała, jadła w samotności i wychodziła z pomieszczenia tylko na krótki sen. Gdy w końcu wróciła do żywych, była tak samo stonowana i spokojna jak przedtem.

- Coś ty tam robiła? - zapytała ją Blanchefleur przy pierwszym śniadaniu, na które zeszła.

- To będzie moja słodka tajemnica. - Katarzyna zrobiła przekorną minę.

Później z kolei powiedziała l'Empereuowi:

- Wpadłam na pewien pomysł, ale nic z tego nie wyszło.

Tymczasem Erquicia po swojej spowiedzi wbrew wszelkim prognozom zaczął czuć się o wiele lepiej. Więcej nawet, zaczął mówić, i to dużo: bez najmniejszych oporów zdradzał szlaki przerzutowe i punkty wywiadowcze zakonu, obficie dzielił się opracowanymi przez dominikanów precyzjami, szczegółami taktyki bojowej i szkolenia, z pamięci cytował katalogi zakonnych bibliotek. Nieustannie krążąca w pobliżu von Naybor mruczała z zadowolenia jak kot, któremu udało się dorwać do kradzionej ryby.

- Czemu właściwie to robisz? - zapytała Katarzyna, gdy do niego zajrzała.

Erquicia popatrzył na nią swoimi czystymi, ale jakby niewidzącymi oczami. Milczał przez chwilę.

- Powiedzmy, że z powodów osobistych. Nie mam ochoty werbalizować swoich pobudek. Może kiedyś.

- Wiesz, że to wygląda co najmniej podejrzanie?

- To nie mój problem. - Wzruszył ramionami. - Von Naybor szybko się przekona, że mówię prawdę. Swoją drogą, nie wiesz może, co zrobiła z bratem, który mnie spowiadał?

- Pojęcia nie mam. Mówiła, że puści go wolno.

- Przypuszczam, że wsadziła go do ciemni i wyciągnęła z niego wszystko, co mu powiedziałem. Szkoda mi go.

Katarzynie też zrobiło się szkoda braciszka, który przecież nic nikomu nie zawinił, postanowiła więc zapytać o niego von Naybor osobiście. W tym celu udała się do jednego z gabinetów profesorskich, zajętego przez wywiadowczynię, najwyraźniej chcącą być blisko swojego bezcennego jeńca.

- Otóż, może cię to zaskoczy - odpowiedziała tamta - ale dotrzymałam słowa. Tak, spytałam go, co mu powiedział Erquicia, ale nie potrzeba było żadnych środków przymusu, sam wychłapał absolutnie każde słowo. Dominikanie są lepieni z coraz miększej gliny. Jeżeli bym go zatrzymała - dodała chłodno - to raczej z troski o naszego, ekhm, gościa, bo zakon nie toleruje renegatów i należy spodziewać się reakcji. Ale to przestanie być moim problemem w chwili, w której Hiszpan powie mi wszystko, co chcę wiedzieć.

Dziewczyna nie drażyła tematu i dla spokoju sumienia wzięła słowa von Naybor za dobrą monetę. Napisała natomiast krótki list do Elżbiety Stuart, a następnego dnia rano kazała Blanchefleur ubrać się elegancko i zażądała czterokółki. Zamiast lokaja zjawił się jednak nachmurzony l'Empereur.

- Powiedziano mi, że panienka zażyczyła sobie transportu. Nie wydaje mi się, żeby opuszczanie Lejdy w tych okolicznościach było dobrym pomysłem.

- Jestem zapowiedziana u Elżbiety Stuart. I dla odmiany mnie nie wydaje się, żeby okoliczności się zmieniły, poza tym, że wystawiliście mnie na widok publiczny - odparła bez żadnej litości dla swojego preceptora.

L'Empereur zachmurzył się jeszcze bardziej.

– Niech panienska pozwoli sobie chociaż przydzielić eskortę. Zawołam zaraz magistra Hoorta, albo poślę po gwardzistów...

– Nie jestem ze szkła, profesorze, nie rozpadnę się. Poza tym nauczył mnie pan, jak się bronić. Pojadę tak czy inaczej, ale zawsze mogę nie wrócić – wplotła w argumentację nutę szantażu.

Otyły profesor nie miał innego wyjścia, jak odpuścić, odszedł więc, skrzywiony, jakby właśnie zjadł cytrynę. Trudno jednak zaprzeczyć, że miał w pewnym sensie rację: nie dane im było spokojnie dotrzeć do miejsca docelowego. Nagabywanie zaczęło się natychmiast: w chwili, w której Katarzyna i Blanchefleur wyszły z uniwersytetu, podszedł do nich gwałtownym krokiem sędziwy jegomość, w tradycyjnym czarnym kubraku i z wielką, białą kryzą.

– Do usług Waszej Książęcej Mości. – Skłonił się. – Bonawentura Elsevier. Czy otrzymała pani moją wizytówkę?

– Nawet jeśli dostała, to powinien pan czekać na odpowiedź! – oburzyła się Fleur, nienawykła do takiego grubiaństwa.

– Nie mam czasu czekać, bo muszę z panienką jak najszybciej porozmawiać – rzekł, patrząc na Katarzynę i międląc kapelusze w dłoniach. – Ale na pewno nie na ulicy i nie w towarzystwie. Czekam na list. – Skłonił się znowu i odszedł.

– Co za gbur... – sapnęła za nim Blanchefleur.

Von Besserer chciało się śmiać: maniery tamtego nic ją nie obchodziły, za to oburzenie jej dwórki przybierało niemal karykaturalny wyraz. Nie roztrząsały jednak wydarzenia, bo stangret przebierał z niecierpliwością nogami. Wsiadły do powozu i ruszyły w krótką drogę do Hagi.

– Ale wspaniale, że jedziemy do Elżbiety Stuart! – Dwórka błyskawicznie się rozchmurzyła. – Jak by na to nie patrzeć, jest księżniczką angielską, mnie samej nigdy by tam nie wpuścili, ale z tobą to co innego. Znasz historię z nią i stadhouderową? – plotła Blanchefleur. – Amalia była jej dwórką, ale zostawiła Elżbietę i wyszła za

stadhoudera i od tamtego czasu się nienawidzą. Fryderyk Wilhelm ma niezłe problemy, żeby lawirować między tą dwójką. Najchętniej by się pewnie pozbył stąd Stuartów, ale nie może, przez sojusz z Anglią. Kiedyś podobno Amalia zażądała od niego, żeby ogłosił posiedzenie Stanów Prowincjonalnych akurat wtedy, kiedy Elżbieta wystawiała bal, rozumiesz, żeby nikt nie przyszedł, bo wszyscy byliby na sejmie, ale nic z tego nie wyszło, bo się jej postawił i była straszna afera. To znaczy tak słyszałam, bo nas tu jeszcze wtedy nie było. Ale Elżbieta też potrafi dopiec. Kiedyś poprosili ją, żeby zapowiedziała ich listownie na dworze w Londynie, a ona specjalnie tego nie zrobiła i zjawili się zupełnie niespodziewanie i było mnóstwo kłopotu. Elżbieta potem się tłumaczyła, że list musiał zginąć po drodze, ha, ha, to musiał być skandal!

Dwórka śmiała się perliście, a Katarzyna uśmiechała się i zerkiała w okno. Prawie nie słuchała Fleur, za to cieszyła się pierwszym od bardzo dawna momentem, kiedy nikt jej nie pilnował, nie obserwował i nie próbował mówić, co ma robić. Czuła, jakby lepiej jej się oddychało, i to mimo ściskającego żebra gorsetu. Bardziej niż sama Elżbieta interesował ją Karol Wittelsbach, którego poznała na balu. Była pewna, że to on jest inicjatorem tej wizyty. Plotka głosiła, że młodzieniec i jego brat Rupert, chociaż niedoświadczeni, cieszą się wyjątkową sympatią ich wuja, króla Anglii Karola Stuarta.

W ciągu ostatnich dni Katarzyna zdecydowała, że znów stanie się osobą o znaczeniu politycznym. Decyzja szybko nabrała twardości granitu, tajemnicze noce w pracowni ostatecznie ją w niej upewniły. Uznała, że zgromadziła już dość dobrych kart, żeby trochę namieszać, tym bardziej że ani w głowie jej było zostawać na uniwersytecie w roli eteromantki. Teraz jednak dopiero wchodziła do gry i zamierzała od razu licytować wysoko.

Pałac, w którym mieszkała Elżbieta wraz z synami – jeśli akurat byli w Hadze – nazywano po prostu „Dworem Czeskim”, wszak technicznie rzecz biorąc, księżniczka nosiła tytuł królowej Czech. Budynek nie

należał do niej. Dzierżawiła go od rodziny van Oldenbarneveltów, która musiała uciec do Francji po tym, jak paręnaście lat wcześniej Johanna van Oldenbarnevelta, w wyniku nieskończonego skomplikowanej intrygi politycznej, ścięto pod zarzutem zdrady stanu. Jej istota zupełnie umykała Katarzynie, nie do końca rozumiejącej przesadnie rozbudowany system administracyjny Republiki. Wiedziała jednak, że proces okazał się bardzo kontrowersyjny i że nie należy wspominać o nim, jeśli nie chce się wywołać długiej kłótni. Sam pałac nie był w zasadzie pałacem, a bardzo dużą, trzypiętrową kamienicą z jasnobrązową elewacją porożcinaną efektownymi portykami ogromnych okien i dobudówką z bramą prowadzącą do ogrodów. Tam właśnie czekał już na nich majordom.

Wbrew niemieckim obyczajom Zimowa Królowa nie oczekiwała ich przy wejściu, a angielską modą przyjęła je w salonie. Siedziało tam już kilka jej dwórek oraz najstarsza trójka dzieci: znany już Katarzynie Karol Ludwik, księżniczka Elżbieta oraz książe Rupert. Gospodyni była czterdziestoletnią kobietą zdradzającą pierwsze oznaki starzenia, wciąż jednak piękną, z trefioną fryzurą z kasztanowych, ciężkich, choć wyraźnie rzednących włosów. W przeciwieństwie do reszty zgromadzonych wciąż nosiła żałobę.

Przywitała dziewczęta jowialnie i po niemiecku:

– Witam w naszych skromnych progach rodaczki mojej świętej pamięci męża! Jestem zaszczycona, że zechciała panienka przyjąć moje zaproszenie. Tak rzadko mam okazję podszlifować język, który sobie ukochałam!

Szybko okazało się, że w potocznych frazach Elżbiety Stuart nie kryje się absolutnie nic interesującego. Stanowiły zwyczajną, arystokratyczną gadkę-szmatkę, która sprawiała wielką przyjemność Blanchefleur, ale o wiele mniejszą Katarzynie. Dlatego gościni zaczęła zerkać z ukosa na dzieci palatyna reńskiego.

Księżniczka Elżbieta była odrobinę młodsza od Katarzyny. Nie brała udziału w rozmowie, zatopiona w lekturze opasłej księgi, napisanej, jak

się wydawało, w grece. Von Besserer wiedziała, że tamta otrzymuje wszechstronne wykształcenie, co podobno było precedensem, który i dla niej okazał się korzystny, stanowiąc decydujący argument za przyjęciem jej na uniwersytet. Nie miała okazji przyjrzeć się okrągłej twarzy księżniczki, bo nie złapała ani jednego jej spojrzenia. Inaczej przedstawiała się sprawa z księciem Rupertem, który z uwielbieniem gapił się na Blanchefleur niby w święty obraz, co sprawiało zresztą dość bezczelne wrażenie. Piętnastoletni chłopak, ubrany w wojskowy strój, rósł na postawnego, bardzo podobnego do brata i bardzo przystojnego mężczyznę, ale w odróżnieniu od Karola Ludwika jego twarzy nie znaczyła melancholia – wprost przeciwnie, jaśniała ona młodzieńczym zapalem i czymś, co kojarzyło się z twarzą myśliwego na chwilę przed złowieniem zwierzyny. Mimo młodego wieku miał już za sobą sporo bitew i obłężeń, w których wykazał się u boku starszego brata i Henryka Orańskiego.

Po pół godzinie stało się dla Katarzyny jasne, że wdowę po palatynie nic nie obchodzi ta wizyta – wskazywała na to spektakularna liczba frazesów i bzdur, które towarzyszyły rozmowie. Mimo to von Besserer starała się grzecznie uczestniczyć w dyskusji, która aktualnie dotyczyła dziwacznych mód z Paryża oraz dworu Ludwika XIII. Kwestię hugenocką taktownie pomijano, co było kolejną rzeczą dającą Katarzynie do myślenia. W końcu zaczęła z niecierpliwością zerkać na Karola Ludwika, którego sylwetka w błękitnym kubraku kontrastowała z czerwienią mebli. Książę jednak nie odwzajemniał jej spojrzeń.

W końcu gospodyni ogłosiła, że jest zmęczona, i wymawiając się podeszłym wiekiem, udała się na drzemkę. Zanim odeszła, zaoferowała, że Karol oprowadzi po pałacu Katarzynę, a Rupert – Blanchefleur. Biorąc pod uwagę sposób, w jaki młodszy syn palatyna reńskiego patrzył na von Barby, niekoniecznie był to dobry pomysł, ale stanowił on rzecz jasna pretekst, aby Karol mógł na osobności przedstawić powody swojego zaproszenia.

- Czy chce grafina zacząć od ogrodów? - Skłonił się Katarzynie dwornie.

- Jeśli księżę sobie życzy.

Powiódł ją do obszernego, okazałego, reprezentacyjnego ogrodu na tyłach kamienicy, snując historię pałacu, którą już знаła. Wysypane żwirem alejki wiły się wokół zdobionych złotem i czerwienią topoli i akacji, a między drzewami czerniały świeżo skopane rabaty kwiatowe, teraz zupełnie gołe. W centralnej części ogrodu dumnie tkwiło poletko, na którym widać było tylko tabliczki z łacińskimi nazwami gatunków tulipanów. Tam właśnie się zatrzymali, zostawiwszy przyzwoitkę daleko z tyłu. Katarzyna marzyła, ale się nie skarżyła.

- Nie znam się na tulipanach, ale matka twierdzi, że te są wyjątkowo cenne - rzekł Karol.

- O ile mi wiadomo, w ostatnich dniach każde tulipany są wyjątkowo cenne.

- O, to prawda. Można zbić niezłe pieniądze, jeśli ma się kapitał. Ja dałem sobie spokój, nie mam żyłki do handlu jak miejscowi.

- Dobrze, księżę - westchnęła Katarzyna, zniecierpliwiona do granic. - Czy możemy w końcu przestać rozmawiać o tych głupotach i powiesz mi, co ja właściwie tutaj robię? Zamierzasz mi się oświadczać czy co?

- Nie planowałem jeszcze małżeństwa. - Jej rozmówca się zaczerwienił. - Widzę, że nie przywiązujesz wielkiej wagi do zwyczajów i etykiety.

- W porównaniu z wami - wzruszyła ramionami - jestem niemal wieśniaczką. Na dworze mojego ojca było w porywach do dwudziestu osób razem ze służbą, a licząc żołnierzy, najwyżej setka. Możesz sobie zatem wyobrazić, że nie jestem jakoś specjalnie obyta. A więc? Rozmowa z tobą w istocie sprawia mi przyjemność, ale chciałabym się dowiedzieć, po co męczyłam konie.

- Hm, tak na marginesie: myślę, że nie doceniasz ani siebie, ani swojego pochodzenia, ale mniejsza z tym. Zastanawiałem się, czy nie

chciałabyś mi udzielić jeszcze kilku informacji dotyczących swojej podróży przez Niemcy. A zwłaszcza dotyczących tego, o czym rozmawialiśmy na balu stadhoudera.

– A po co ci te informacje? – atakowała Katarzyna bez litości.

– Mam swoje... plany.

– Proponuję trochę hazardu. Ja ci powiem, jakie masz plany. Jeśli zgadnę, wysłuchasz, co mam ci do powiedzenia, i nie będziesz się śmiał ani nie wzruszysz ramionami. Jeśli nie zgadnę, powiem ci wszystko, co będziesz chciał wiedzieć. Co ty na to?

W oczach Karola błysnęło rozbawienie.

– Dobrze, spróbujmy. Ale jakoś nie sądzę, żebyś...

– Wracasz do Niemiec – przerwała mu. – Nie jesienią, raczej na wiosnę, kolejnego albo jeszcze następnego roku. Jesteś pozbawionym ziemi synem księcia Rzeszy; nie wierzę, że czegoś chcesz bardziej niż odzyskania swojego dziedzictwa i że zadowolisz się ochłapami z angielskiego stołu. Planujesz przyłączyć się do szwedzkiej kampanii i odbić Palatynat z rąk Habsburgów, żeby mieć jakąkolwiek kartę przetargową w rozmowach z cesarzem. Nie jesteś swoim ojcem, Ferdynand nic do ciebie nie ma, ale nie może ci tak po prostu oddać tytułu elektorskiego, bo już go przekazał Maksymilianowi Bawarskiemu. W tej chwili jesteś tylko pionkiem dla Stuartów, ale kontrolując własne księstwo, znowu będziesz księciem Rzeszy, z którym cesarz ma obowiązek negocjować.

Karol patrzył na nią wielkimi oczami.

– W tej chwili nie masz ani złota, ani armii, ale jeśli ze wsparciem matki robisz podchody w Hadze, to znaczy, że masz widoki albo na jedno, albo na drugie. Nie mam pojęcia, skąd miałbyś wziąć pieniądze... król Karol raczej ci ich nie da, aż tak nie lubi ani ciebie, ani swojej córki... ale za to mam pewne podejrzenia, skąd zamierzasz wziąć armię. Wojska Henryka Orańskiego, które stacjonują w Rzeszy, stoją, bezczynne i bronią Nassau przed niczym. Sam Henryk ci nie pomoże, bo będzie zajęty kampanią we Flandrii, ale co mu szkodzi oddać ci

żołnierzy? Ufa ci, widział cię na polu bitwy, wie, z jakiej gliny jesteś ulepiony. Twoim problemem jest jednak brak eteromantów. Zorientowaliście się wszyscy, że kto posiada ich większe i lepiej wyszkolone oddziały, będzie wygrywał bitwy, ale nie masz skąd ich wziąć, bo szkolenie eteromancyjne trwa wieki i jest bardzo kosztowne. Szukasz sposobu, żeby wyłączyć ich z gry i w ten sposób zaskoczyć Ferdynanda, dlatego tak bardzo interesuje cię bitwa pod Herbstein.

Pomyślała, że księżę zaraz wybuchnie. Poczzerwieniał na twarzy, na skroni pulsowała mu wypukła żyła. Poluzował kryzę, jakby miał problem z oddychaniem. Opanował się dopiero po dłuższej chwili.

– Kto... kto ci to wszystko powiedział?

– Nikt. Domyśliłam się. Nawiasem mówiąc, powinieneś brać pod uwagę, że skoro ja zdołałam to wydedukować, to wywiad austriacki tym bardziej nie będzie miał z tym problemów. Ale to na razie nieistotne. Zgadłam wszystko?

– Prawie. A wobec tego rozumiesz, że informacja na temat Herbstein jest dla mnie kluczowa. Dlatego muszę cię poprosić...

– Dam ci coś lepszego niż informacje – znów mu przerwała.

Wykorzystała już większość atutów, ale została jej jeszcze jeden as.

– Mianowicie?

– Dam ci eteromantów.

– Niby skąd?

– To już będzie moje zmartwienie.

Karol zachnął się i już otwierał usta, żeby coś powiedzieć, ale wtrąciła się:

– Obiecałeś, że mnie wysłuchasz.

– Faktycznie. Wybacz.

Katarzyna nabrała tchu i na jednym wydechu powiedziała:

– Wkroczymy do Niemiec razem. Też mam księstwo do odzyskania. Ty dasz żołnierzy i generałów, ja złoto i oddziały eteromantów. Odbijemy Palatynat, a potem Thalfingen.

Stało się. Zagrała *va banque*. Pomysł, który właśnie przedstawiła, kiełkował w niej od balu u stadhoudera. Od werbalizacji tego, co sobie zamierzyła, zakręciło jej się w głowie. Wiedziała, że plan jest zupełnie realny, zwłaszcza po schwyтaniu i cudownym ozdrowieniu Erquicii, który miał w nim odegrać dość istotną rolę. Wiedziała, że z Wittelsbachami może się udać. Miała co zaoferować i znajdowała się w świetnej pozycji do negocjacji. Wszystko zależało od reakcji młodego księcia – tego, czy uzna, że jest poważną partnerką do rozmowy, czy dziewczynką z urojeniami. Czekala z zapartym tchem.

– Ja... To jest... Hm... – Wittelsbach się zamotał. Zamyślił się na moment. – Sam nie wierzę, że to mówię, ale to ma sens. Ale musiałbym poznać więcej szczegółów. O wiele więcej. I skonsultować to z paroma osobami.

– Ja też.

– Nie możesz oczekiwać, że zdradzę ci wszystkie swoje tajemnice. Ledwo się znamy.

– I *vice versa*. Proponuję ograniczyć się do tymczasowego zaufania sobie nawzajem. Powiedz mi tylko: kiedy wyruszasz do Nassau?

– Nie ruszam do Nassau. W tym się pomyliłaś. Armię będę miał z zupełnie innego źródła.

Spojrzała na niego pytająco.

– Nie patrz tak na mnie. Sama powiedziałaś: ograniczone zaufanie. Natomiast swoją kampanię planowałem na wiosnę przyszłego roku.

– W takim razie mamy jeszcze sporo czasu. Ilu eteromantów potrzebujesz? A raczej potrzebujemy?

– Z tego, co mówiłaś, oddziały dominikanów i sjungonderów pod Herbstein liczyły około dwóch setek. Zakładając, że nie wpłacę się, a raczej nie wpłacemy, w walną bitwę, myślę, że wystarczy kompania. I ktoś, kto będzie nią dowodził, bo zarówno dla mnie, jak i Henryka to zupełna nowość. Hiszpanie nie wysyłają dominikanów do Niderlandów, nie mieliśmy z nimi do czynienia w polu.

– Zrobi się. A pieniądze?

– O to, szczerze mówiąc, też nie muszę się martwić.

– O. Czyżby Karol jednak lubił cię bardziej, niż sądziłam? Niee...

– Powiedzmy, że są w Europie ludzie, którym zależy na tym, żeby Habsburgowie byli możliwie jak najbardziej zajęci w Niemczech.

– Richelieu! – zgadła Katarzyna. – Ha. No proszę, nie sądziłam, że masz aż takie koneksje. Nie przeszkadza ci, że wymordował połowę protestantów w swoim kraju?

– To polityka – skrzywił się – a nie lekcja etyki. Nie powiedz tego przypadkiem nikomu, nawet tej swojej blondyneczce. To bardzo niepewny sojusz, a ja nie mam w nim za dobrej pozycji. Jeśli gdzieś wypłyną plotki na ten temat, Francuzi mogą się odciąć. A skąd ty niby chcesz wziąć pieniądze?

– Powiedzmy, że dobrze zainwestowałam swój kapitał. – Wyděła usta, robiąc szelmowską minę.

Na tym dyskusja się skończyła. Katarzyna, szczęśliwa i radosna, że Karol nie tylko potraktował ją poważnie, ale wręcz zapalił się do jej pomysłu, stała się o wiele wdzięczniejszą partnerką do rozmowy, więc przepłotkowali jeszcze dobrą godzinę. Gdy wrócili do pałacu, von Barby i Rupert już na nich czekali. Sposób, w jaki odnosili się do siebie, wskazywał na to, że ich spacer nie był może tak owocny jak ten Katarzyny i Karola, ale z pewnością również odbywał się z dala od przyzwoitki. Blanchefleur płoniła się jak róża za każdym razem, kiedy młody książę na nią spojrział, a zerkał na nią często i zalotnie. Katarzyna, niepewna, czy taki romans by jej nie przeszkodził w realizacji planów, szybko przywołała dwórkę do porządku, pożegnali się uprzejmie z braćmi i ich matką i wsiadły do powozu.

– Coś ty tam z nim robiła? – zapytała Katarzyna zaraz po tym, gdy pojazd ruszył.

– Nic. – Fleur znów poczerwieniała jak zachodzące słońce. – To znaczy, nic wielkiego. Takie tam.

– Czy z tego takiego tam może potencjalnie wyjść dziecko?

– Co? Nie! My tylko... Nieważne. Nie gniewaj się.

Katarzyna się zaśmiała.

– Nie gniewam się, Fleur, kochanie – uspokoiła przyjaciółkę. – Ale uważaj. Ten Rupert wygląda dość płochy. Powiedział ci coś ciekawego?

– My, e... nie rozmawialiśmy dużo – bąknęła Blanchefleur. – A ty co? Załatwiłaś, co chciałaś załatwić?

– Prawdopodobnie. Wszystko wskazuje na to, że w najbliższym czasie będziemy wracać do Niemiec.

– Ooo! To znaczy, ja się tu świetnie bawię, jednak trochę tęskno za domem. Nadal nie mówię za dobrze po niderlandzku. Ale jak chcesz to zrobić? Przecież Oberthalfingen jest spalone.

– Spalony zamek można odbudować. Większym problemem jest to, że ziemie ojca zajmują habsburskie załogi.

– No więc?

– No więc je odbijemy.

– Ale jak...

– Wszystko w swoim czasie.

Blanchefleur zamilkła, wyczuwając, że to koniec rozmowy na ten temat. Wytrzymała niecałą minutę.

– Kasiu?

– Hm?

– Jesteś pewna, że to dobry pomysł?

– Co masz na myśli?

– No... Niczego nam tu nie brakuje. L'Empereur cię uwielbia, możesz sobie tutaj siedzieć do woli, a nawet jeśli nie, to masz już na tyle umiejętności, że na pewno jakoś byś sobie poradziła. Mnie tu lubią, mam na oku paru kawalerów, wiadomo, że to nie to samo, ale jesteśmy tu bezpieczne.

– Po pierwsze – Katarzyna się skrzywiła – l'Empereur mnie nie uwielbia, tylko traktuje jak drogocenny eksponat, który złośliwie nie chce siedzieć w szklanej gablotce. Wiesz, że tego nie znoszę. Po drugie, nie, Fleur, nuży mnie ten kraj, nuży mnie absurdalnie skomplikowana

polityka, drażni praca naukowa. Męczą mnie dyrygujący mną faceci w krzykach. Poza tym nie wybaczyłabym sobie, gdybym przynajmniej nie spróbowała odzyskać ziem ojca, a moi bracia są nie wiadomo gdzie i nie wiadomo, czy w ogóle żyją. Ale – pogładziła dwórkę po policzku – jeśli chcesz, to zostań. Nie będę miała żalu. Umieścimy cię w którymś pałacu.

– Nie, nie! Jeśli jesteś przekonana, to jadę z tobą. Chciałam się tylko upewnić.

– Tak czy inaczej – Von Besserer zapatrzyła się w okno – czeka nas bardzo ciekawy rok.

Gdy tylko dojechały do Lejdy, zażądała widzenia z Erquicią. Jak się okazało, dominikanin zaczął już ostrożnie chodzić o kuli, von Naybor poinformowała ją, że poszedł do ogrodu Vorstiusa. Katarzyna miała dość łażenia po ogrodach jak na jeden dzień, ale nie widząc innego wyjścia, narzuciła płaszcz i czepek i poszła szukać zakonnika.

Hortus Botanicus, nazywany częściej po prostu ogrodem, składał się z dwóch części. Pierwszą stanowił ogród właściwy, w którym sadzono zioła lecznicze oraz tropikalne i egzotyczne rośliny sprowadzane przez Kompanię Wschodnioindyjską z całego świata – było to niewielkie, pięćdziesięciometrowe poletko wewnątrz murów uniwersytetu. Wystarczył jeden rzut oka na obłożone słomą, puste rabatki, żeby zauważyć, że Erquicii tam nie ma. Katarzyna skierowała się więc do części drugiej, parku, jak nazywano dość rozległy lasek rozciągający się wzdłuż miejskiej fosy, który studenci Vorstiusa pieczołowicie przystrzygali i cywilizowali tak, aby stanowił idealny obraz zachodnioeuropejskiej flory. Między topolami, wiązami i bukami coraz więcej jednak pojawiało się egzotycznych drzew z umiarkowanych stref klimatycznych, które po prostu nie mieściły się już wewnątrz dziedzińca. Nietrudno było sobie wyobrazić, że za kilkadziesiąt lat cały ten obszar będzie obsadzony gatunkami niespotykanymi w Europie.

Dominikanina znalazła na samym końcu parku, gdzie lasek stawał się w zasadzie zupełnie dziki. Erquicia siedział na pniu przewróconej

wiatrem jabłoni i patrzył na pływające w fosie kaczki. Idąc, szeleściła opadłymi, wilgotnymi liśćmi w barwach złota i oranżów, dlatego zakonnik usłyszał ją już z daleka.

– Nie za wcześniej na takie wycieczki? – zagadnęła, podchodząc i siadając na pniaku nieopodal.

Uśmiechnął się.

– Szczerze mówiąc, siedzę tu i czekam, aż ktoś zainteresuje się moim zniknięciem. Osłabłem i nie wiem, czy mam siłę wrócić. Ale nie mogłem już wytrzymać w tym dziwnym holenderskim łóżku.

– Boli cię bardzo?

– Bardziej niż bok boli mnie urażona duma. Ale pewnie jakoś sobie poradzę i z tym.

– Mam coś dla ciebie. – Katarzyna wyciągnęła zza stanika różaniec z drzewa sandałowego, który ściągnęła zakonnikowi podczas szalonej jazdy do Lejdy, i mu go wręczyła.

Wziął ozdobę do ręki i uśmiechnął się szerzej, jakby go coś rozbawiło.

– Zastanawiałem się, co się z nim stało. Wiesz, że podobno jest zrobiony z drewna ze zniszczonej tureckiej galery? Dostałem go od kogoś bardzo bliskiego.

– Tym lepiej, że go zachowałam. Cieszę się.

Ale dominikanin oddał jej krzyż.

– Możesz go zatrzymać. W ciągu następnych lat raczej nie będzie mi już potrzebny.

– Co zamierzasz? – zapytała, chowając ozdobę z powrotem w staniku. Wyczuła w jego głosie gorycz, która nie pozwalała się spierać.

– Nie jestem pewien. – Oparł ciężko łokcie na kolanach i spojrzał w dal. – W tym momencie jestem na łasce i niełasce *mademoiselle* von Naybor, więc najpierw muszę się wykaraskać z tej kłopotliwej sytuacji. A potem? Drogę do zakonu miałem zamkniętą już wtedy, gdy mnie

znalazłaś. Tilenheim uzna mnie za renegata, gdy tylko odkryje, że żyję, a co za tym idzie, nie mogę wrócić do żadnego katolickiego kraju. Może popłynę do Ameryki? – zakończył sardonicznie.

– Co zakon robi z odchodzącymi?

– Tej rangi co ja? Zabija. Bez litości. Sama widziałas, ile mogłem naszkodzić półżywy i w ciągu zaledwie kilku dni. Uwierz, że w dłuższej perspektywie mógłbym jeszcze bardziej napsuć dominikanom krwi.

– Mało po chrześcijańsku.

Nie skomentował. Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Zaczynało powoli zmierzchać.

– Musimy wracać – powiedziała Katarzyna. – Ale przedtem mam dla ciebie propozycję.

– Ty? Dla mnie?

– Tak. W istocie jest to oferta pracy.

– Pracy? I co miałbym robić, dawać lekcje retoryki i teologii?

– Nie. Miałbyś pomóc mi wyszkolić setkę zdolnych do walki eteromantów.

To była chyba ostatnia rzecz, której Erquicia się spodziewał. Popatrzył na dziewczynę zdumiony, a zarazem trochę nieobecny wzrokiem, jakby nie mogło do niego dotrzeć, co właśnie powiedziała. Jego pytanie zdawało się to potwierdzać:

– Słucham?

– Słyszałeś – zachnęła się, zniecierpliwiona.

– Ale... po co?

– Powiedzmy, że mam pewien plan, jak odzyskać swoje grafostwo. Które straciłam, nawiasem mówiąc, nie bez wymiernego wkładu dominanów.

– I zamierzasz tego dokonać z kompanią eteromantów? Przecież to absurd, Katarzyno, zastanów się przez chwilę, co mówisz.

– Zastanowiłam się, nawet kilka razy – rzekła chłodno, zniechęcona protekcjonalnym podejściem zakonnika. – Co ci niby nie odpowiada?

– Żeby prowadzić jakiegokolwiek działania wojenne trzeba mieć armię, pieniądze, sojuszników, pozycję polityczną! – uniósł się. – Nie masz żadnego z powyższych, jesteś, wybaczyć szczerą, nikim, dzieckiem w dodatku! Nawet zakładając, że zorganizujesz sobie oddział najemników, jak chcesz ich opłacić? I gdzie ich nająć? Jak zamierzasz wytłumaczyć się Szwedom z przemarszu przez Niemcy? Jak przekonasz Holendrów, żeby w ogóle ci na to pozwolili?

Katarzyna patrzyła zimno na wzburzonego Erquicia. Wahala się kilka sekund.

– Chodź ze mną. – Wstała i podała mu rękę. – Pokażę ci coś.

W milczeniu zaprowadziła go do kamienicy, w której mieszkała. Zajęło to dłuższą chwilę, bo Dominik musiał przystawać i odpoczywać. Gdy weszli do jej pracowni, usiadł ciężko na krześle. Widać było, że cierpi, Katarzyna nie zamierzała jednak zajmować mu dużo czasu. Zamknęła drzwi. Wzięła coś ze stołu i włożyła mu do ręki. Następnie oparła się o metalowy blat, patrząc wyczekująco.

Erquicia otworzył dłoń. Leżało na niej kilka złotych samorodków. Obejrzał je uważnie, ale nie zauważył nic dziwnego.

– Złoto. *Aurum* – stwierdził w końcu, widząc zniecierpliwiony wzrok dziewczyny. – Około uncji. Zamierzasz uncją złota opłacić armię?

– To ołów.

Teraz on rzucił jej zniecierpliwione spojrzenie.

– Co masz na myśli?

– To, co powiedziałam. Trzymasz w ręku uncję ołowiu.

Popatrzył na dłoń z niedowierzaniem. Ostrożnie spróbował rzucić *praeciosum refrigerum*. Nie zadziało. Pokręcił głową, żeby sprawdzić, czy nie śni.

„Kamień filozoficzny to albo kłamstwo, albo nieosiągalny cel. Nie ma przyszłości przed alchemią, która się nim zajmuje” – powiedziano mu pierwszego dnia szkolenia z precyzjologii. Wierzył w to głęboko, bo widział, że tradycyjna alchemia nie przynosi prawie żadnych efektów, a już na pewno nie pozwala transformować metali w złoto, wydłużać

życia czy latać. Tymczasem, jeśli dziewczyna nie kłamała, miał w rękę dowód na to, że wynalezienie kamienia filozoficznego jest nie tylko możliwe, ale też, że tego dokonano. Zadrżał w duchu.

– Jak to zrobiłaś? Precyzja wymaga podtrzymywania.

Uświadomił sobie, że widział już coś takiego, samopodtrzymujący się efekt, na uniwersytecie w Würzburgu.

– Pamiętasz, co mi powiedziałeś w czasie pierwszej rozmowy, kiedy się obudziłeś? „Precyzjum to błogosławieństwo Boga zsyłane na rzucającego”, albo jakoś tak.

Przytaknął. Była to podstawa doktryny pozwalającej dominikanom korzystać z precyzjologii.

– Nie wierzę za bardzo w Boskie błogosławieństwa, ale uświadomiłam sobie coś: nikt nie każe mi przecież rzucać efektu tylko na reagent czy obiekt. Rozumiesz? Efekt działa i na ołów, i na mnie. Ja jestem nieustannie pod jego działaniem i to podtrzymuje go również na obiekcie. To ja jestem reagentem. Teoretycznie mogę w ten sposób utrzymać każdy efekt w nieskończoność, robiłam już trochę eksperymentów.

– A sama transformacja?

– Banał. – Wzruszyła ramionami. – Równie dobrze mogłabym zamienić stal w miedź albo żelazo w cynę. To, co trzymasz, to nie do końca jest złoto, sam już zauważyłeś, że nie działa jako reagent. To raczej ołów przebrany za złoto. Ale da się go przetopić na monety. Da się też nim płacić, na przykład za wojsko.

– Pomysł genialny w swojej prostocie, ale jakoś mi się nie klei, przecież jesteś odporna na precyzja, sam widziałem... – Erquicia urwał i się zamyślił.

– To dość skomplikowany mechanizm, którego do końca nie rozumiem. Robiliśmy sporo prób z l'Empereurem i generalna zasada jest taka, że efekty rzucane na mnie, owszem, nie działają bezpośrednio, ale mogę odczuwać ich skutki, jeśli na przykład rzuci się je tuż obok mnie. To znaczy, nie można mnie uśpić czy podpalić, ale za

to można podpalić krzesło, na którym siedzę, a wtedy się poparzę. Mnie natomiast żadne ograniczenia nie dotyczą: jeżeli mi się tak zachce, mogę sama siebie zmienić w sopel lodu. Swoją drogą, to byłaby ciekawa śmierć.

- A co z innymi osobami odpornymi na precyzja? Na nich też działają twoje efekty? I odwrotnie, ich efekty na ciebie?

- Logika wskazywałaby, że tak. Ale to akademickie dywagacje, bo nie mieliśmy tego jak sprawdzić.

- Czemu mi to w ogóle pokazujesz? - zmienił nagle temat jej rozmówca. - To potwornie niebezpieczne. Gdyby ktoś się o tym dowiedział, byłabyś najbardziej poszukiwaną osobą na kontynencie, błyskawicznie by cię pojmano i zmuszono torturami do współpracy. Nikt nie może o tym wiedzieć!

Ponownie wzruszyła ramionami.

- A komu o tym opowiesz? Dominikanom, którzy cię zdradzili? Szwedom albo Holendrom, których nienawidzisz, bo całe życie byli twoimi wrogami? Karolowi Stuartowi, szykującemu się do rozprawy z eteromantami? Zresztą kto by w to uwierzył? Jesteś sam, Erquicia.

Miała rację i wiedział o tym doskonale. Posmutniał. Popatrzył na bryłki łże-złota w swojej ręce. Absurdalny pomysł Katarzyny zaczynał nabierać sensu.

- Sam powiedziałaś, że spotkaliśmy się nie bez przyczyny. Może to właśnie jest ta przyczyna?

Hiszpan nie wiedział, co odpowiedzieć, więc milczał, nadal gapiąc się na swoją dłoń jak sroka w gnat. Starł się rozważyć wszystkie za i przeciw, ale nie potrafił się skupić. Rana za bardzo mu doskwierała, był zmęczony i zszokowany.

- Musisz mi dać kilka dni. Wtedy ci odpowiem.

- Dobrze, ale śpiesz się. Jeśli mam zrealizować, co sobie zamierzyłam, to będzie bardzo pracowita zima.

- Zaraz, chwila. Właśnie. - Zakonnik stuknął się palcem w głowę. - A jak zamierzasz uzasadnić posiadanie takich ilości złota?

- Hm? Słucham?

- Nie możesz tak po prostu zacząć szastać skrzyniami kruszcu, jakbyś wyciągała je spod ziemi. Musisz mieć jakąś historię, która to wyjaśni. Inaczej zaraz ktoś się zainteresuje twoimi źródłami dochodu, zwłaszcza tu, w Holandii, gdzie pieniądze są sprawą życia i śmierci.

- Nie pomyślałam o tym - bąknęła Katarzyna, zakłopotana.

Zamyśliła się. Po dobrej minucie rzekła:

- Ale chyba znam kogoś, kto mi z tym pomoże. Tymczasem odpoczywaj. I decyduj się szybko.

Rozdział XI

Po upływie kolejnych trzech dni w niewoli Schenk z nudów – wyłącznie z nudów – otworzył na chybił trafił Biblię, którą zostawił mu Andreae. Księga miała bardzo ciasno ułożone, trochę rozmyte litery. Nie znał wszystkich, więc czytanie szło mu bardzo kiepsko, ale miał mnóstwo czasu i nic ciekawszego do roboty, więc po paru godzinach udało mu się rozszyfrować parę linii: „Lepiej jest dwiema być niż jednemu, abowiem lepszą mają zapłatę z pracy swojej. Bo jeśliż jeden upadnie, tedy go podniesie towarzysz jego, a przetoż bieda onemu jednemu, który gdy upadnie, nie będzie miał drugiego, co by go podniósł. Jeśliże też dwa społu spać będą, tedy im będzie cieplej, ale jeden jakoż się zagrzać może? Jeśli mu się też kto zmocni, tedy dwa staną przeciwko niemu; owszem, sznur we troje spleciony nie rychło bywa stargany. Lepszy jest młodzieniec ubogi a mądry, niżli król stary a szalony, który już więcej nie umie przyjmować upominania”.

Najemnikowi wersety te wydały się dziwnie niepowiązane i podejrzenie rewolucyjne w swojej wymowie. Zaciekawiony, próbował czytać dalej. Było tam o strachu przed Bogiem, o chodzeniu do kościoła, o zgubności dążenia do bogactwa. W gruncie rzeczy ze wszystkim, co przeczytał, się zgadzał. Otworzył księgę w innym miejscu, o wiele dalej: „A iż mamy tegoż ducha wiary, jako napisano jest: uwierzyłem, a przetożem mówił; i my też wierzymy i dla tego też mówimy. Wiedząc, iż ten, który wzbudził Pana Jezusa i nas wzbudzi przez Jezusa i postawi z wami. Abowiemci wszystkie rzeczy są dla was, aby łaska ona barzo obfita, z dziękowaniem wiela ich, obfitsza się stała ku chwale Bożej”. Była to czcza gadanina, którą słyszał wielokrotnie od kaznodziejów z ambon, zarówno katolickich, jak i protestanckich, innymi słowy – nuda jeszcze gorsza niż gapienie się w ścianę.

Te „studia”, polegające na odczytaniu kilku fragmentów Biblii, zajęły mu cały dzień. Następnego ranka, gdy zjadł dostarczony mu posiłek, spróbował znów poszukać czegoś ciekawego w pierwszej części książki. Po ciężkich bojach odcyfrował taki werset: „Także Reu, gdy był we trzechdziesiąt i we dwu leciech urodził mu się Sarug. A po narodzeniu Saruga żyw był Reu dwieście i siedm lat mając inne syny i dziewczki. Sarug także, gdy był we trzechdziesiąt lat urodził mu się Nachor. A po narodzeniu Nachora żyw był Sarug dwieście lat mając inne syny i dziewczki”.

Sfrustrowany Schenk oparł się o zimną ścianę i rzucił Biblię na ławę. Jeśli to było całe to Słowo Boże, które wywołało tę wojnę, to naprawdę, znalazłby tysiąc lepszych powodów do mordowania ludzi. Mimo tej mało bogobojnej refleksji, co chwila wracał do książki i znajdował kolejne wyrwane z kontekstu wersety, bo człowiek pozbawiony jakiegokolwiek zajęcia dość szybko chwyta się wszystkiego, co pozwala mu nie zwariować. Tak minęły mu kolejne trzy dni, w czasie których nie przeżył co prawda objawienia religijnego, ale za to zorientował się, gdzie w Biblii są w miarę ciekawe kawałki. Ku swojemu zdumieniu odkrył też, że czytanie idzie mu coraz lepiej. Najwyraźniej była to kwestia praktyki.

Dokładnie po dwóch tygodniach od uwięzienia do jego celi przyszedł Łysy, żeby zdjąć szwy z rany. Uwinął się szybko, precyzyjnie i najdelikatniej, jak się dało, ale nie odezwał się ani słowem, ignorując wszystko, co Schenk do niego mówił. Zrobił swoje i uciekł bez oglądania się za siebie, jakby przestraszony. Najemnik z trudem uniósł lewe ramię, żeby przyjrzeć się rozcięciu pod pachą. Na tym etapie gojenia się im bardziej makabrycznie wygląda rana, tym lepiej, a jego zdawała się okropna. Paskudną czerwoną pręgę z delikatnie krwawiącymi dziurkami po szwach otaczał gigantyczny czarnofioletowy siniak. Nie było śladów ropy. Goiło się jak na psie – tyle szczęścia w nieszczęściu. Mógł też już sam zmieniać sobie opatrunki. Zrobił to, korzystając z przyniesionych mu szmatek i kawałka sznurka robiącego za temblak.

Parę godzin później zjawił się Andreae. Tym razem jednak nie usiadł w krześle.

- Chodź ze mną - powiedział bez żadnego przywitania i wyszedł, zostawiając otwarte drzwi.

Schenk, nie bardzo mając inne wyjście, zwał się posłusznie z ławy i wyszedł z celi. Po plecach przebiegł mu dreszcz rozkoszy, towarzyszący zawsze człowiekowi opuszczającemu swoje więzienie. Andreae poprowadził go na wewnętrzny dziedziniec uniwersytetu, którego dotąd nie widział. O ile zewnętrzny plac był po prostu wybrukowanym kwadratem, o tyle wewnętrzny przypominał raczej zadbane park na planie trójkąta. Stały tu ławy w rzymskim stylu. Usiedli na jednej z nich. Schenk się nie odzywał. Cieszył się słońcem i widokiem nieba.

- Przed wojną i w jej trakcie - zaczął w końcu Andreae - byłem profesorem teologii na tym uniwersytecie. Nie tylko na tym, ale też w Tybindze, Lipsku, Jenie i w paru innych miejscach. Wcześniej podróżowałem jako tutor do Włoch i Szwajcarii. To było spokojne życie, pełne kontemplacji i przyjemności. Miałem żonę, dziecko, bezpieczną posadę, wiedzę i szacunek. Ale zawsze mnie coś nosiło. Czy wpadł ci kiedyś w ręce tekst zatytułowany *Fama Fraternitatis*?

- Obawiam się, że nie - bąknął Schenk, zastanawiając się, dlaczego ten człowiek zakłada, że najemnik pobierał jakiejkolwiek wykształcenie.

- Tak się składa, że jestem jego autorem. Anonimowo. Pisałem go w czasach, kiedy publikowanie takich rzeczy pod nazwiskiem mogło się źle skończyć, a ja byłem młody i miałem widoki na świetlaną karierę. Dziś trochę mi głupio, że wyrzekłem się dzieła, które dyktował mi Duch Święty, ale staram się to naprawiać, tym razem pod swoim nazwiskiem. W każdym razie *Fama* jest teologiczną broszurą na temat konieczności poznania Chrystusa poprzez wiedzę. Gdy czytam ją dzisiaj, nie przestaje mnie zadziwiać moja młodzieńcza naiwność i wiara w ludzi, choć to w pewien sposób urocze. Krótko po napisaniu tego tekstu odkryłem czary. A raczej pokazano mi je - poprawił się. - Zrobił to mój mentor,

Komeniusz, który znał mój manifest. Uznał, że to wielkie odkrycie mnie zaciekawia. Miał rację. Po paru latach studiów doszedłem w tej dziedzinie do całkiem niezłej biegłości. Ale sama moc, która z tego wynikała, niewiele mnie interesowała. Ciekawiły mnie za to implikacje teologiczne. Domyślałem się, że nigdy tego specjalnie nie rozważałeś?

- Nie, dla mnie to tylko część roboty.

- A widzisz, sprawa jest bardzo ciekawa. Pojawia się bowiem problem: jak wyjaśnić to, że przez stulecia ścigaliśmy ludzi parających się magią, uważając ich za sługi szatana, paliliśmy ich na stosach, topiliśmy w rzekach, łamaliśmy kołem, więziliśmy, a teraz nagle sami używamy czarów? Z perspektywy każdej strony biorącej udział w tym konflikcie to rażąca hipokryzja. Trzeba sobie jednak uświadomić, że to, co dzieje się od kilkunastu lat, to nie jest zwykła alchemia, taka jak dawniej, polegająca na goecji i przyzywaniu demonów. Tamte dziedziny były sztuczne, heretyckie, usiłowały łamać prawa natury, jak alchemicy, którzy próbowali przekształcić ołów w złoto. Tymczasem magia, to, co niektórzy protestanci nazywają malefistyką, a dominikanie precyzjologią, jest całkowicie naturalna. Nie ma żadnych powodów, żeby się jej bać. Nie zmienia to jednak faktu, że każdy fenomen naturalny musi znaleźć swoje uzasadnienie w wierze. Różnie sobie z tym poradzono. Szwedzi, jak zapewne wiesz, uznali, że korzystając z czarów, są skazani na potępienie, i uprawianie tej sztuki wiąże się z poświęceniem duszy wiecznej. Dlatego rekrutują swoich magów z marginesów społecznych. Myśl ta przeniknęła niektóre księstwa protestanckie, stąd dziwaczna nazwa „malefistyka”, której używa twój książę. Angielscy purytanie z kolei, wiem to, szykują się do zakazania magii na amen. Najtrudniej mieli chyba dominikanie, którzy musieli znaleźć jakiś sposób, żeby uzasadnić podeptanie swojego charyzmatu. Doszli oni do wniosku, że czary to w istocie błogosławieństwa od Boga. Jest to spektakularny fikołek logiczny, który sprawia, że na swój sposób podziwiam elastyczność Kościoła, jeśli chodzi o sprawy teologii. Mają rację w tym sensie, że, jak już wspominałem, czary w istocie są

błogosławieństwem, ale w żadnym wypadku nie powinno być ono zarezerwowane dla wybranych, jak twierdzi Zakon Kaznodziejski. Nawiasem mówiąc, ta nazwa jest już mocno nieaktualna, biorąc pod uwagę, że ich elitarne jednostki to aktualnie najlepsi żołnierze w Europie, a nie żadni kaznodzieje. W zeszłym roku próbowałem się z nimi porozumieć i dogadać, ale, jak to katolicy, nie potrafiały myśleć rozsądnie i zignorowali mnie... Zresztą mniejsza z nimi. Zastanawiałeś się kiedyś, dlaczego dopiero teraz zaczęliśmy używać magii?

- Wiesz, że to brzmi bardzo źle - powiedział Schenk, uznając, że skoro profesor jest z nim na „ty”, to nie będzie mu dłużny - kiedy mówisz „magia” i „czary”?

- Tak ci się wydaje, bo przywykłeś do używania tych słów w zupełnie innym kontekście. To stąd dziwaczne nazwy, które ludzie nadają temu zjawisku. „Rzucać precyzja” czy „śpiewać zło” brzmi o wiele mniej heretycko niż „uprawiać czary”. To uspokaja ich sumienia, w których utrwalono, że czarowanie to działka Szatana. Ale język jest zmienny. Obawiam się, że musisz do tego przywyknąć. Natomiast nie odpowiedziałeś mi na pytanie.

- Może cię to zdziwi, ale owszem, zastanawiałem się, nawet kilka razy. Widzę dwie możliwości: albo ktoś bardzo długo trzymał to w tajemnicy, albo zostało odkryte dopiero niedawno.

Schenk cieszył się, że w końcu mógł na jakieś pytanie odpowiedzieć inaczej niż „nie wiem” albo „nie myślałem o tym”. Z niejakim zdumieniem zauważył, że ta rozmowa ciekawi go i sprawia mu przyjemność.

- W istocie. Poprawna jednak jest ta druga odpowiedź. Przystudiowałem dość dokładnie źródła: pierwsza wzmianka o jakichkolwiek czarach, które przypominały faktyczne czary, a nie polegały na kwaszeniu krowom mleka przez wsiowe wiedźmy, pochodzi sprzed dokładnie dwunastu lat. Wcześniej - cisza, nawet w księgach antycznych. To niechybny znak, że wkroczyliśmy w Piątą Epokę, *quintaetatis*. A to oznacza, że jesteśmy, jako ludzkość, na prostej drodze do

zbawienia. Coraz bliżej sądu ostatecznego. Uznałem, że takiego znaku nie wolno zignorować ani przegapić. Dlatego zdecydowałem się powołać do życia wytwór własnej fantazji: Bractwo Różokrzyża.

– Czym ono właściwie jest?

– O tym kiedy indziej. Tymczasem chodź.

Profesor poprowadził go wzdłuż dziedzińca do kościoła, który dobudowany był do jednego z narożników budynku uniwersytetu. Nie wstąpili jednak do kaplicy, a skierowali się do niepozornych, drewnianych drzwi obok wejścia. Przeszli krótkim korytarzem i dotarli do komnaty, która niegdyś pełniła chyba funkcję sali przykościelnej, jakich wiele w niemieckich miejscach kultu.

W salce oświetlonej światłem świec i kaganków oraz słońcem padającym z niewielkiego okna, siedziało kilkunastu chłopców, zarówno brzdąców, jak i wyrosniętych już byczków. Wszyscy ślęczeli nad książkami, niektórzy przysypiając, inni wciągnięci w lekturę, a jeszcze inni – przytrzymując głowy rękami opartymi o blaty. Gdy Andreae i Schenk weszli, chłopcy oderwali się od swoich zajęć i popatrzyli na nich z ciekawością. Dopiero wtedy najemnik zauważył mężczyznę w czarnym ubraniu, stojącego pod ścianą i zerkającego na uczniów. Nauczyciel skłonił się z szacunkiem profesorowi.

Andreae położył dłoń na ramieniu najbliższego chłopca, najwyżej trzynastoletniego. Dziecko było ubrane w workowate szaty, podobne do tych, które Schenk widział po drodze do Würzburga.

– Czym się zajmujesz, dziecko? – zapytał profesor.

– Żywiolami – odparł dzieciak, sepleniąc.

– I czego się dowiedziałeś?

– Ze według Arystotelesa są cztery żywioły. Ogień, woda, ziemia, powietrze. I ze odpowiadają one bryłom. Oktaedrowi, heksaedrowi, tetraedrowi i eee... eee...

– Ikosaedrowi – odpowiedział zyczliwie Andreae i poklepał chłopaka po głowie.

Ręką dał Schenkowi znać, żeby opuścił pomieszczenie. Wyszli na korytarz. Profesor ostrożnie zamknął za sobą drzwi.

– I co sądzisz? – zapytał najemnika.

– Co to w ogóle miało być? – odpowiedział pytaniem zdumiony Schenk. – Co to za dzieci?

– To była szkoła. A dzieci? Różnie. Część to synowie mieszczan. Jest paru chłopców ze wsi, kilku szlacheckich synów. Część to sieroty. Staramy się ich wykształcić najlepiej, jak umiemy.

– Ale po co?! – wybuchnął Schenk. – Przecież nie będą wszyscy profesorami, to zupełnie bez sensu!

– A czemu nie mieliby być? – odpowiedział spokojnie Andreae, splatając ręce za plecami i ruszając z powrotem w stronę dziedzińca. – Jest jakiś przepis, który mówi, że na świecie nie może być za wielu uczonych? Albo że chłopci nie mogą czytać? Za parę lat ci chłopcy zaczną szkolenie z magii. A później staną się wartościowymi członkami bractwa. Jako ludzie niewykształceni nie mogliby w pełni zrozumieć, czym się tu zajmujemy, więc nauka wydała się naturalnym rozwiązaniem, nie sądzisz?

– Ale... Skąd w ogóle ten pomysł?!

– Przecież właśnie ci tłumaczę – westchnął zniecierpliwiony Andreae. – Przyszłe pokolenia w bractwie muszą rozumieć, czym bractwo jest i skąd się wzięło. Do tego jest potrzebny elementarz wiedzy teologicznej. A do zdobycia tegoż konieczne jest z kolei poznanie elementarnych prawideł rządzących światem. Idee, które nam przyświecają, spotykają się z oporem z powodu braku wiedzy, tak jak, żeby daleko nie szukać, u ciebie. A w dodatku nie wszystko da się wyjaśnić prostymi przypowieściami i paralelami, jak staram się to zrobić z tobą.

– Jak to „przyszłe pokolenia”? Zamierzacie siedzieć tu zamknięci tyle czasu?

– Ile będzie trzeba, Schenk. Zrozum, naszą misją jest zaprowadzenie na świecie *Sextae Aetatis*, ery zbawienia. Nie spodziewasz się chyba, że

zajmie to kilka tygodni?

- To wszystko jest zupełnie szalone, po prostu oszaleliście. - Najemnik pokręcił głową.

- Z czasem przekonasz się, że jest wprost przeciwnie.

Schenk nie mógł w to uwierzyć. Wykształcenie stanowiło przywilej szlachty i czasem - rzadziej - bogatych mieszczan. Było też niebezpieczne, co potwierdzały rozliczne przykłady ludzi, którzy wskutek nauki oszaleli albo oddali się w usługi Szatanowi. Mnóstwo opowieści chłopskich i mieszczańskich traktowało o prawnikach trafiających do więzień za przekręty, alchemikach płonących w ogniu piekielnym, młodych dziewczętach, którym sama umiejętność czytania wystarczała, aby zejść na złą drogę. Nie bez powodu łacina, greka, astronomia, teologia, filozofia i alchemia nie były przeznaczone dla prostego ludu i Schenk dobrze o tym wiedział. Dlatego na samą myśl o kształceniu prostaczków przechodził mu po plecach zimny dreszcz - to nie mogło skończyć się dobrze.

Dotarli do drzwi celi najemnika, czego ten, zajęty własnymi myślami, nawet nie zauważył. Gdy zobaczył znajome drzwi ze skoblem, skurczył się cały.

- Potraktuj to pomieszczenie jako swój, eee, pokój - powiedział Andreea. - Skoro rozumiesz już mniej więcej, co się tu dzieje, nie ma potrzeby dłużej cię więzić. Mam nadzieję, że pojąłeś, że wszelkie próby ucieczki z księstwa będą marnowaniem twojego i mojego czasu. Proszę cię, abyś nie opuszczał na razie terenu uniwersytetu. W jego obrębie rób sobie, co uważasz za stosowne.

- Jak to? Czego ty właściwie ode mnie chcesz?

- Wszystko w swoim czasie - mruknął sentencjonalnie profesor, odwrócił się i odszedł.

Zwiedzenie całego obszaru uniwersytetu zajęło Schenkowi raptem parę godzin. W zasadzie nie było w nim nic ciekawego. Szybko znalazł kuchnię, gdzie nakarmiono go porządnie, i łaźnię, gdzie mógł zmienić swoje śmierdzące już łachy na koszulę z grubego płótna i komplet o wąskim kroju, wykonany z czarnej wełny. Nikt nie robił mu przy tym żadnych problemów – dostał, czego potrzebował, jakby rozumiało się to samo przez się. Ktoś nazwał go nawet „gościem”, od czego zachciało mu się śmiać, milczał jednak.

W kilku miejscach stojący na wartach różokrzyżowcy zabronili mu wejścia, ale za każdym razem uprzejmie wyjaśnili mu, co kryje się za drzwiami, przez które usiłował przejść. Jeśli nie kłamali, nie miał dostępu do biblioteki, prywatnych kwater Andreaego, zamkniętej na głucho kaplicy oraz arsenału i stajni. Podobnie skończyła się próba opuszczenia uczelni przez bramę główną i boczne wejścia, którą oczywiście podjął. Za każdym razem ktoś go zatrzymywał i delikatnie, ale stanowczo przypominał, że ma nie opuszczać budynków uniwersyteckich, oraz oferował pomoc w dotarciu do jakiegoś innego miejsca – najczęściej sugerowano kuchnię, jakby zakładając, że najemnik bez przerwy będzie głodny.

W czasie tego błędzenia Schenk poczynił kilka odkryć. Znalazł kolejne salki szkolne, w każdej trwały zajęcia. Oszacował liczbę uczących się chłopców na ponad setkę, co zszokowało go jeszcze bardziej niż sam fakt, że podejmowali nauki. Minął też coś, co przypominało koszary – przerobione dawne sale uniwersyteckie, w których stały rzędy wymoszczonych słomą ław – nikogo jednak tam nie zastał. W ogóle w całym budynku znajdowało się zaskakująco mało ludzi, biorąc pod uwagę jego gabaryty. Gdy zagadnął o to mijanego różokrzyżowca, ten powiedział mu, że w ciągu dnia większość bractwa odchodzi do swoich zadań, a wielu z jego członków w ogóle nie bywa w uniwersytecie, bo zakwaterowani są gdzie indziej. Ocenianie rozmiarów tej dziwacznej organizacji miało się więc z celem – na

podstawie liczby łózek Schenk strzelał, że braci jest około setki, ale jeśli baz było więcej, równie dobrze mógł to być tysiąc.

W końcu sfrustrowany usiadł na tej samej ławce, na której wcześniej dyskutował z Andreae, którego, jak zdążył się zorientować, wszyscy nazywali tu „Pierwszym Wysłannikiem” albo po prostu „Pierwszym”, ewentualnie „profesorem”. „Wysłannikami” ogólnie byli, o ile dobrze zrozumiał, wszyscy członkowie bractwa. Nie mógł się jednak zorientować, jak działa struktura władzy w tym miejscu; musiała istnieć jakaś hierarchia, ale poza tą jedną sytuacją, kiedy kazano go uwięzić, nie znajdował na to żadnych dowodów. Nie miał pojęcia, co robić. Teoretycznie, posiadając więcej swobody, mógłby próbować uciec, choćby przez jakieś okno – z temblakiem byłoby to trudne, choć w dalszym ciągu wykonalne – ale nie widział w tym żadnego sensu. Nie znał sposobu na przekroczenie bariery, więc nie mógł wrócić do Wilhelma. Sójki nie widział od czasu ucieczki i nie miał pojęcia, gdzie przyjaciel jest i co robi – być może złapano go i nie żyje. Wiedział natomiast, że księstwo, to znaczy obszar wewnątrz Bani, jest na tyle duże, że poszukiwania w pojedynkę okazałyby się szukaniem igły w stogu siana, a jednocześnie na tyle małe, że oblawa z nagonką zgarnęłaby go w parę dni.

Był w zupełnej kropce. Nie wiedział, co robi w Würzburgu i nie mógł z niego uciec. Jedyne, na co mógł liczyć, to że Wilhelm albo Mylius w jakiś sposób dowiedzą się, co się stało, i zaproponują różokrzyżowcom jakąś wymianę jeńców albo okup, ale to też marzenie ściętej głowy. Po pierwsze, nie przedstawiał sobą aż takiej wartości. Po drugie, jaki tam okup, skoro na zewnątrz nikt nie wie, co tu się dzieje, a co za tym idzie, nawiązanie stosunków dyplomatycznych z Księstwem Rózanego Krzyża jest raczej niemożliwe. Co to w ogóle za nazwa, „Księstwo Rózanego Krzyża”! O co im chodzi z tym różokrzyżem?

Pochłonięty rozważaniami, ledwo zauważył męzczyznę przechodzącego pod ścianą uniwersytetu. Dopiero po chwili rozpoznał w nim Klause. Zawołał za nim, ten jednak nie obejrzał się, tylko

przyspieszył kroku. Schenk, zapomniawszy, że jest ranny, zerwał się na równe nogi, zasyczał z bólu i ruszył za swoim porywaczem. Dogonił go dopiero w połowie kwadratowego dziedzińca.

- Hej! Może byś się zatrzymał, jak wołam - syknął za nim, porytowany.

Klaus zatrzymał się i odwrócił powoli, jakby z wahaniem.

- Witaj - powiedział cicho. - Andreae wypuścił cię z więzienia?

- Do którego sam mnie wtrąciłeś, dzięki wielkie.

- Niezbadane są wyroki Pana. Mogę ci jakoś pomóc?

- Odpowiadając mi na parę pytań.

Klaus westchnął ciężko.

- W takim razie słucham.

- Przede wszystkim po co mnie tu w ogóle przywlokłeś?

- Andreae kazał być z tobą szczerym, więc będę. Nie wiem. Kiedy się na was natknęliśmy, nie miałem pojęcia, co robić. Mielśmy po prostu kupić kilka rzeczy poza Banią, to nie miała być misja szpiegowska ani nic podobnego. Nie spotkaliśmy dotąd agentów Wilhelma, chociaż oczywiście wiedzieliśmy o próbach infiltracji księstwa. Uznałem, że Andreae będzie ciekawy rozmowy z tobą... Nazwij to impulsem, jeśli chcesz. Nie do końca miałem rację.

- Jak dotąd rozmawia ze mną bardzo dużo - wtrącił zaskoczony najemnik.

- Bo sam nie ma za bardzo pomysłu na to, co z tobą zrobić, a przynajmniej tak sądzę. Nie zwierza mi się. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że to było bez sensu. Przywożąc cię tutaj, złamałem sporo zasad bractwa, a przecież i tak nie możesz mieć żadnych informacji, które mogą nam się przydać. Popełniłem błąd, za co cię przepraszam.

- Twój „błąd” kosztował mnie dwa tygodnie w mamrze. - Schenk zgrzytnął zębami.

– Już przeprosiłem, nie będę się powtarzał. Zwróć jednak uwagę, że postawiliśmy cię na nogi, i to całkiem skutecznie. Nie sędzę, żebyś znalazł lepszego lekarza niż Stein. Był chirurgiem polowym w korpusie Adolfa Meklemburskiego i wyleczył w życiu więcej ran, niż ty zadałeś.

– Łaskawcy – mruknął najemnik, coraz bardziej poirytowany. – Kim ty tu właściwie jesteś, co?

– Nikim. – Klaus podrapał się po brodzie. – Jednym z wielu braci, którzy realizują Boski plan.

– Przecież widziałem, że niektórzy ci salutują.

– Odruchy z dawnych czasów. Przed księstwem dowodziłem załogą zamku. Biskupa już nie ma, zamkiem komenderuje kto inny, ale większość moich ludzi nadal traktuje mnie jak swojego dowódcę. Andreae też mi ufa, nie bez powodu.

– Czyli nie zawsze byłeś... różokrzyżowcem?

– Oczywiście, że nie. Większość z nas nie była. Gdy stworzono barierę, postawiono przed nami wybór. Osobiście nie wahałem się zbyt długo, ale wielu moich żołnierzy nie wstąpiło do bractwa.

– I co się z nimi stało?

– Nic. – Klaus wzruszył ramionami. – Żyją sobie. Część zajęła się uprawą roli, kilku rzemiosłem.

– *À propos* rzemiosła, w mieście widziałem mnóstwo opuszczonych warsztatów.

– To zakłady ludzi, którzy wstąpili do bractwa, tak. Stoją puste, bo na razie nie ma ich kim zapełnić, ale jak zauważyłeś, niczego nam nie brakuje. Nikt nie wywozi towarów poza księstwo, a kupców w zasadzie się pozbyliśmy, więc jesteśmy raczej samowystarczalni.

– „Raczej”?

– Są rzeczy, których nie zdobędziesz w rejonie bariery, na przykład złoto. Ale jest ich mało, szczerze mówiąc, mniej, niż się z początku spodziewałem. Tak się śmiesznie złożyło, że bijemy nawet własną monetę, bo przejęliśmy mennicę biskupią. Spójrz.

Podał Schenkowi srebrnego dublona. Na awersie monety widniał wizerunek krzyża, na rewersie – stylizowany trójkąt z okiem w środku. Najemnikowi nie umknęło, że pieniądz ma charakterystyczne ślady na brzegach, sugerujące, że był oberżnięty. Zachował tę obserwację dla siebie i oddał srebro Klausowi.

– A skoro przy tym jesteście, co się właściwie stało z biskupem? – zapytał.

– Dostał uczciwy proces i został powieszony.

– Za co?

– Za herezję i działanie na rzecz watykańskiego antychrysta. Nie powiem, żeby zbyt wielu ludzi po nim płakało. Nie był zbyt przyjemną osobą. Ty też nie wyglądasz mi na takiego, który specjalnie żałowałby koronowanych głów.

– Jak chyba nikt, kto wychował się w rynsztoku – parsknął Schenk. – Kiedy powiedziałeś, że pozbyliście się kupców, co miałeś na myśli?

– Kiedy ogłoszono powstanie księstwa, na kilka dni zapanował chaos. Nikt nie znał jeszcze nowych zasad i mieliśmy problemy z zaopatrzeniem. Większość znaczących kupców, których uwięziła bariera, usiłowała za wszelką cenę się za nią przedostać. Ci zazwyczaj spływali z Menem, bo Andreae nie ma cierpliwości do osób nierozumnych, a wtedy miał jej jeszcze mniej. Z kolei drobni, miejscowi handlarze narobili nam mnóstwo kłopotu. Szybko zwietrzyli interes w odcięciu, pozamykali dobra – szczególnie importowane – w magazynach i sprzedawali po paskarskich cenach. Trzeba było ukrócić ten proceder. Paru z nich wstąpiło do bractwa, ale większość musiała zmienić zajęcie, nie bez naszej perswazji. Nie uwierzyłbyś, Schenk, co ludzie potrafią zrobić dla pieniędzy. Widziałem na własne oczy kupca, który żądał sztuki złota za kwartę kaszy, i to od matki trzymającej głodne dziecko w ramionach.

– Uwierzyłbym. A raczej wierzę, bo widywałem podobne rzeczy. Klaus, a tak szczerze, co o tym wszystkim sądzisz? O całej tej historii z Różokrzyżem i o Andreae?

Jego rozmówca zauważalnie zeszytywniał. Zmierzył go uważnym spojrzeniem spod krzaczastych brwi i pogładził się po brodzie. Nie od razu odpowiedział.

- To wizjoner. Zaprowadzi nas do *Sextae Aetatis*, a za nami całą ludzkość. Różokrzyż oznacza zbawienie.

- Szczerze? Nie zabrzmiałeś zbyt przekonująco.

- Ale to prawda - odpowiedział Klaus oschle. - Czy mogę ci jeszcze jakoś pomóc? Zmierzcha, chcę odpocząć, bo jutro znów opuszczam miasto.

- Gdzie jedziesz?

- Gdzie wola Boska poprowadzi. Żegnaj, do zobaczenia za dwa-trzy dni.

Najemnik się skłonił. Nie miał pewności, czy ostatecznie słowa Klaus'a były celowe, czy przypadkowe. Niedysiejszy oficer dał mu do zrozumienia, że pozostanie w obrębie Bani, bo nie zdążyłby w ciągu kilku dni jej opuścić i wrócić. Rozmowa dała Schenkowi do myślenia. Klaus nie brzmiał jak fanatyk religijny, raczej jak ktoś, kto dostosował się do sytuacji, ale niekoniecznie był z tego specjalnie zadowolony. Zastanawiająca okazała się też jego reakcja na prośbę o własną opinię. Schenk przesłuchiwał wystarczająco wielu wiejskich czarowników, żeby wiedzieć, kiedy człowiek nie chce odpowiedzieć szczerze na zadane pytanie. Zauważył, że mężczyzna ma coś do ukrycia, a raczej - że myśli swoje, ale z jakiegoś powodu obawia się to zwerbalizować. Najemnik skrupulatnie zanotował to w pamięci.

Tak czy inaczej, Klaus miał rację - zmierzchało. Schenk, nie widząc innego wyjścia, udał się do swojej celi, która stała się pokojem gościnnym. Pod jego nieobecność ktoś dostosował trochę pomieszczenie do nowej funkcji, wstawiając do niego stołek z miednicą i kandelabr z kilkoma świecami. Wymieniono też siennik na nowy, a wiadro na nieczystości - na nocnik, z którego Schenk nigdy w życiu nie korzystał, uznał jednak, że jakoś sobie poradzi. Zdążył już zresztą zlokalizować ustęp.

Na ławie nadal leżała ta sama Biblia, którą zostawił mu Andreae. Nie miał najmniejszej ochoty po nią sięgać, więc po prostu rozmyślał. Nagle usłyszał cichy gwizd. Spojrzał w okno. Trudno wyrazić radość, którą poczuł, kiedy między kratami zobaczył wyszczerzoną w uśmiechu twarz Sójki Lorenza.

– Co tam, szefie? Dobrze się bawisz w Księstwie Różanego Krzyża?

Ze szczęścia Schenk prawie podbiegł do okna, rana znów zarwała tępym bólem.

– Sójka! Żyjesz!

– Pewnie, że żyję. Trochę mi zajęło zlokalizowanie cię, miejscowi są wyjątkowo niechętni do rozmowy. Ale udało się. Trafieś do gniazda szerszeni, wiesz o tym?

– Wiem aż za dobrze.

– Nie mogę tu siedzieć, bo mnie złapią. Możesz wyjść z tego pierdła?

– Tylko do budynku i na dziedziniec. Na zewnątrz mnie nie wypuszczą.

– Szlag, a przydałoby się pogadać. Słuchaj, szefie, muszę wiać, bo chyba ktoś mnie widział. Wrócę za dwa dni o drugiej w nocy, wtedy warty są najslabsze. Będę gwizdał, wiesz jak, ale lepiej nie śpij. Dziś byłoby zbyt ryzykownie. A szukają mnie, już parę razy prawie mnie capnęli. Dobrzy są i uparci.

Schenk ze wzruszeniem spojrział na starego najemnika. Sójka nie miał broni i nosił cywilne łachy. Sumiasty wąs kłuł w oczy jak zawsze, ale ukryta za nim twarz wydawała się o wiele bardziej wychudzona niż kiedyś. Minione dwa tygodnie wyraźnie nie były dla niego łatwe.

– Dobra, uciekaj. Sójka?

– Tak?

– Wjebaliśmy się jak śliwki w gówno, prawda?

– Nawet sobie nie wyobrażasz. Bywaj.

Rozdział XII

Na dzień przed planowanym wyjazdem Katarzyny do Rotterdamu gruchnęła wieść, że Karol Stuart pod groźbą śmierci lub więzienia zakazał uprawiania eteromancji, którą określił jako sztukę nieczystą. Dla nikogo nie było to zaskoczeniem, plotki na ten temat chodziły już od kilku miesięcy, teraz po prostu się potwierdziły. Nie zmieniało to jednak faktu, że stało się to gorącym przedmiotem rozmów we wszystkich salonach, bo nikt do tej pory tak zdecydowanie i otwarcie nie reagował na nowe odkrycia alchemiczne.

Wiadomość ta miała pozytywny skutek dla Katarzyny, ponieważ wieczorem tego dnia przyszedł do niej Erquicia.

– Pomogę ci – powiedział na wstępie, ledwo usiadł na krześle pod ścianą. – Ale pod kilkoma warunkami.

– W takim razie podaj je.

– Po pierwsze, jeżeli zaczniesz robić coś, co mi nie odpowiada z perspektywy etycznej, politycznej albo jakiegokolwiek innej, natychmiast odchodzę.

– To się chyba rozumiało samo przez się. – Katarzyna popatrzyła na niego zdziwiona. – Przecież nie uwiążę cię na smyczy.

Dominik chrząknął, nie wiadomo, czy w ramach potwierdzenia, czy zrobiło mu się głupio, że nadal myśli kategoriami zakonu.

– Po drugie, pomożesz mi się pozbyć znad karku von Naybor, która zaczyna mnie troszkę irytować.

– To może być trochę trudniejsze, ale postaram się. Nie mogę nic obiecać.

– Po trzecie, chcę z tobą jutro jechać do Rotterdamu.

– Po co? – zapytała zaskoczona Katarzyna.

– Chcę się w końcu ruszyć z tego zadupia. Małe holenderskie miasta działają mi na nerwy. No i nigdy nie byłem w Rotterdamie, a uśmiejesz się, ale lubię myśleć o sobie jako o podróżniku.

– No cóż... Dobrze, jeśli tego sobie życzysz, to nie widzę powodu, dla którego nie miałabym się zgodzić. Ale nie sądzę, żeby wpuścili cię na wodowanie.

– To poczekam w powozie. Po prostu chcę się stąd wyrwać.

– Dobrze. Czy coś jeszcze?

– Nie. Ale musimy porozmawiać. Moja decyzja jest bowiem powiązana z tym, co stało się w Anglii. – Erquicia rozparł się wygodniej w krześle.

– Z zakazem eteromancji? W jaki sposób?

– Widzisz, moje wahanie wzięło się też stąd, że szkolenie eteromantów od zera to kompletna mrzonka. Taka rekrutacja byłaby piekielnie skomplikowana, nie tak łatwo znaleźć ludzi, którzy chcą się parać dziedziną kojarzoną z czarami, a samo szkolenie zajęłoby przynajmniej kilka dobrych lat. Do tego doszłoby mnóstwo problemów z infrastrukturą, żołdem... Sformowanie pierwszych oddziałów nowego typu w zakonie zajęło dziesięć lat. Nie, to nie mogłoby się udać. Ale skoro Karol Stuart w końcu zdecydował się wygonić precyzjologów – Erquicia najwyraźniej nie mógł zdecydować się, czy używa nomenklatury zakonnej, czy holenderskiej – to gwarantuję ci, że całe ich setki pojawią się za parę tygodni w miastach Republiki, uchodzącej za ostoję wolności. Dokładnie to samo mogliśmy obserwować podczas wojny Richelieu z hugenotami, z tym że Anglicy mają do Holandii jeszcze bliżej.

– Chcesz ich przekupywać? Jak najemników?

– Większość bez problemu się na to zgodzi. Nie będą się mieli gdzie podziąć, a my im zaoferujemy dach nad głową i pieniądze. Potem wystarczy ich przeszkolić z działania w formacji i bojowych precyzjów i mamy twoją wymarzoną kompanię. Tu jednak wracamy do mojego drugiego życzenia: trzeba będzie jakoś do tych ludzi dotrzeć, a w tym

celu muszę się pozbyć von Naybor, chyba że masz ochotę, żeby orański wywiad siedział w tej sprawie po uszy.

- Hm. - Katarzyna się strapiła. - Ona faktycznie zaczyna tu trochę przeszkadzać. Spróbuję coś z tym zrobić.

- Spróbuj. A tymczasem chodźmy spać, bo jutro kawał drogi przed nami. Dobranoc.

Jakby wyczuwając, że coś się święci, następnego dnia w kuchni Katarzynę przywitała von Naybor, siedząca przy stole z rozpuszczonymi włosami i w szarej, dopasowanej sukni. Przerażona służba usiłowała jej dogodzić, wywiadowczynie zaś konsekwentnie rugała ją z góry na dół, najwyraźniej z czystej złośliwości i z nudów.

- Przestań mi straszyc służbę - fuknęła na ten widok Katarzyna.

- To przestań mi się umawiać z jeńcem na wycieczki - odparła równie zaczepnie von Naybor.

Katarzyna usiadła naprzeciwko niej. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, uświadomiła sobie, że wywiadowczynie trzyma swojego „jeńca” na uniwersytecie bez żadnego wyraźnego powodu. Dlaczego nie siedział w orańskim więzieniu, gdzie można by go maglować bez najmniejszych problemów? Przecież nie dlatego, że von Naybor bała się urazić jego uczucia.

- Myślałam, że nie jest twoim jeńcem, tylko gościem - powiedziała Katarzyna z przymilnym uśmiechem.

- Słucham?

- Przecież siedzi sobie tutaj, a nie w Oranienburgu, i nikomu nie wadzi. Zresztą technicznie rzecz biorąc, jest on gościem uniwersytetu - zastanawiała się na głos. - Może to rektora powinnam pytać, czy mogę dysponować czasem Hiszpana?

- O czym ty mówisz? - Głos kobiety mógłby zamrozić nurt Renu. - Ostrzegam cię...

- Dlaczego trzymasz go tutaj, Naybor, zamiast zabrać do lochu i przesłuchać, hm? Twój przełożeni w ogóle o nim wiedzą czy jest po prostu sprężynką, na której odbijasz się w górę? Może powinnam

szeptać Henrykowi Orańskiemu, z kim mamy przyjemność tutaj współpracować? A co na to kontrremonstranci? Nie sądzisz, że fanatycy religijni chcieliby wiedzieć, że trzymasz w schowku na miotły dominikańskiego czarnoksiężnika? Ich reakcja mogłaby być całkiem interesująca.

Trafiła. Von Naybor poczerwieniała na twarzy. Nabrała tchu, żeby coś powiedzieć, ale zrezygnowała. Gwałtownie wstała, i wyszła z kuchni, zamazyście zbierając za sobą suknię. Katarzyna uśmiechnęła się do siebie, gratulując sobie małego zwycięstwa. Erquicia zjawił się dziesięć minut później.

- Co zrobiłaś naszej arcydziełce? Właśnie poinformowała mnie, że mogę sobie jechać, gdzie chcę, i ma to, cytuję, w dupie, a wściekła była jak zacadzony szerszeń.

- Ja tylko snułam na głos domysły. - Wzruszyła ramionami. - Przesadza. Przejdzie jej.

Zjedli szybkie śniadanie i ruszyli czterokółką do Rotterdamu. Blanchefleur miała coś do załatwienia w Amsterdamie, więc Katarzyna nie miała sumienia ciągnąć jej ze sobą. Wodowanie okrętu, na które von Besserer została zaproszona, wyznaczono na godzinę drugą po południu, musieli więc jechać dość szybko. Podskakujący na bruku i terkoczący powóz nie sprzyjał rozmowie, zresztą Erquicia, przebrany w mieszczański strój, nie był w nastroju do pogaduszek. Całą drogę patrzył za okno i niewidzącym wzrokiem lustrował nudny zelandzki krajobraz. Katarzyna z kolei czuła się niezręcznie, międlila w rękę fałdy szarosrebrnej sukni i usiłowała wymyślić, o co mogłaby zapytać zakonnika. Wszystko, na co wpadła, brzmiało bardzo źle, nietaktownie, albo jedno i drugie. Dopiero po ładnej godzinie przywykła do ciszy na tyle, że przestała się nią przejmować. Skupiła się na rozważaniu wariantów niełatwej rozmowy, którą spodziewała się odbyć po wodowaniu.

Do rotterdamskiej stoczni dojechali akurat w samą porę. Znajdowała się na północnym brzegu Renu, w sporym oddaleniu od centrum

miasta, choć i tak dało się z niej dostrzec odległą wieżę kościoła Świętego Wawrzyńca, tkwiącą w samym środku metropolii. Sama stocznia w pierwszej chwili nie robiła dobrego wrażenia: podróżnych czekał najpierw spory kawałek drogi po dużym, błotnistym polu, na którym składowano sęgi drewna, skrzynie z płótnem żaglowym, ogromne zwoje lin i najróżniejsze materiały budowlane. Między tym wszystkim nieustannie kręcili się brudni, ubłoceni robotnicy, popędzający konie na ścieżki prowadzące w stronę brzegu i pokrzykujący na siebie nawzajem.

Warsztaty ciesielskie, druciarskie, powroźnicze, szewskie i rzeźbiarskie porozrzucane były po całej okolicy w formie drewnianych, gnijących bud. Dopiero za nimi zauważyli budynki stoczniove – jedyne murowane domy w okolicy, pozbawione ozdób i proste aż do przesady – ustawione kilkadziesiąt metrów od brzegu rzeki. Mieściły się w nich kwatery inżynierów oraz administracja. Tam właśnie zmierzali. Stangret zapytał o zarządcę stoczni i skierowano ich w stronę drewnianego pomostku, wiodącego przez morze błota. Erquicia został w czterokółce, zaparkowanej w szeregu innych powozów, a Katarzynę powiedziano po drewnianej konstrukcji ku szerokiej, osadzonej na palach platformie, na której zebrało się już kilkadziesiąt osób. Dopiero gdy dziewczyna dopchała się do zbitej z ledwo ociosanych pniaków balustrady, zobaczyła stocznnię w pełnej krasie.

Na piaszczystej plaży o dość dużym nachyleniu stały cztery okręty. Gdy Katarzyna je ujrzała, zabrakło jej tchu w piersiach – były gigantyczne. Największy z nich, wielki, opasły, błyszczący od świeżej smoły kadłub pozbawiony masztów miał chyba ze sto kroków długości i ze trzydzieści wysokości. To musiała być „Amelia”. Dwa kolejne stały jeszcze niewykończone – jeden składał się niemal z samej stępki, a na drugim kładziono pokład, zasłaniając bezwstydnie odsłonięte wręgi i poprzecznice – ale wydawały się równie potężne. Czwarty, stojący najdalej od platformy, był najmniejszy i prawie gotowy, o wiele bardziej

pękaty niż smukłe konstrukcje wojenne – musiał być statkiem handlowym. Między czterema ogromnymi cielskami kręciły się setki ludzi, których znikome rozmiary tworzyły kontrast z wyrzuconymi na brzeg Behemotami; nawet najwyżsi robotnicy musieliby stworzyć pięcioosobową piramidę, żeby sięgnąć burt galeonu. Wszystkie kadłuby podtrzymywały ogromne belki, ustawione na wyslizganych pochylniach skierowanych prosto ku morzu. Spod „Amelii” właśnie wyciągano podpory.

Katarzyna z trudem zmusiła się, żeby oderwać wzrok od oszałamiającego widoku i rozejrzała się po platformie. Zauważyła de Graeffa, który stał w samym rogu pomostu razem z niskim jegomościem obwieszonym szarfami medali, zapewne wiceadmirałem de Withem. Nie mogła jednak złapać wzroku starego rentiera, żeby choćby skinąć mu głową. Obok niej przechodzili głównie kupcy i żeglarze. Niektórych znała z widzenia z balu. Części z nich towarzyszyły żony i córki, chyba z rozpędu kiwające jej głowami, bo z żadną wcześniej nie miała styczności. Wiedziała, że są tu wszyscy główni udziałowcy Kompanii Wschodnio- i Zachodnioindyjskiej oraz syndycy najważniejszych cechów i gildii w Holandii, ale były to kręgi, w których orientowała się jeszcze słabiej niż w śmietance towarzyskiej. Z arystokratów zauważyła tylko Henryka Orańskiego, słynącego z zainteresowania wszystkim, co miało związek z wojskiem – nieważne, czy to coś jeździło, biegало, pływało czy stało w miejscu. Jemu, w przeciwieństwie do de Graeffa, przybycie Katarzyny nie umknęło, bo łowił jej wzrok od dłuższej chwili, a gdy mu się to udało, skłonił się jej głęboko.

Robotnicy usunęli ostatnie podpory trzymające w miejscu kadłub okrętu. Wzdłuż i w poprzek pokładu biegali majstrzy, sprawdzając, czy wszystkie luki są zamknięte. Admirał de With zaczął przemowę, z której, stojąc za daleko, słyszała co trzecie słowo. Było coś o potędze, coś o handlu, o łaskawym oceanie i o panowaniu – i brzmiało dokładnie jak to, co powiedziały w takich okolicznościach admirał morskiego

imperium. Następnie wystąpił skromnie ubrany pastor i zmówił modlitwę za powodzenie okrętu i jego właściciela. Gdy skończył, de Graeff dał znak stojącym na dole szkutnikom.

Do kadłuba przyskoczyła horda mężczyzn. Każdy z cieśli chwycił grubą linę, przymocowaną do burtowych desek – po tuzin na jedną. Na głośną komendę stojącego na podwyższeniu z drewnianych skrzynek głównego projektanta liny napięły się niemal jednocześnie. Brygadziści rozpoczęli swój miarowy zaśpiew:

– Heeee... jo! Heeeee... jo! Heeeee... jo!

Początkowo wydawało się, że wysiłek setek mięśni nie ma żadnego wpływu na olbrzyma. A jednak po kilku rytmicznych pociągnięciach kadłub drgnął odrobinę. Zatrzeszczały łączenia i deski. Robotnicy ciągnęli dalej, zapierając się w piasku tak, że nawet z tej odległości Katarzyna mogła rozpoznać na ich twarzach wyraz wysiłku ponad ludzkie pojęcie. Za szóstym albo siódmym krzyknięciem brygadzisty – po sekundach, które wydawały się rozciągnięte w kwadrans – statek powoli, majestatycznie zaczął zjeżdżać po pochylni, najpierw o parę metrów, a potem coraz szybciej, aż dziób uderzył o wodę z przeraźliwym łoskotem i galeon niewiarygodnie szybko zsunął się do wody. Katarzyna miała wrażenie, że trwało to krócej niż mrugnięcie. Pracownicy stoczni porzucili liny i zaczęli uciekać przed wielką falą, którą wzbudził rozpędzony kadłub – w większości nieskutecznie. Tylko ci, którzy stali w okolicach rufy, zdołali uniknąć przemoczenia do suchej nitki. Zakotwiczone w okolicy pochylni łodzie zakolysały się mocno, podobnie jak sam okręt, przez chwilę balansujący na granicy stateczności. Dziewczyna wstrzymała oddech, gdy zobaczyła, jak burta przechyła się niebezpiecznie blisko tafli wody i odetchnęła z ulgą dopiero, kiedy statek osiadł ciężko na stępce, wciąż jeszcze kołysząc się delikatnie w ostatnich spazmach uderzenia. Z łodzi wskoczyli do wody szkutnicy i zaczęli błyskawicznie wspinać się po linach na burty, aby opanować kadłub i zaczepić go na holu.

- Uroczycie nadaję temu okrętowi imię „Amelia”! - krzyknął de Graeff.

- W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego - podchwycił pastor, a zgromadzeni odparli chóralnym „Amen!”.

Katarzyna nie otworzyła ust, bo wciąż patrzyła jak urzeczona na wspaniałe widowisko. Dopiero teraz, gdy okręt znajdował się na wodzie, zauważyła bogato rzeźbione detale rufy i piękny, złożony galion z lwem - symbolem Republiki. Tak się zapatrzyła, że nie zorientowała się, kiedy platforma opustoszała, a de Graeff, Henryk i inni zgromadzeni zniknęli, ruszając do swoich powozów. Na podeście pozostał tylko jeden mężczyzna w szarym kubraku i różowawej kryzie; wysoki kapelusz holenderskiego kroju trzymał w ręku. Nie patrzył jednak na „Amelię”, a na plażę, gdzie spoczywały niedokończone statki. Po chwili odwrócił się do dziewczyny i uśmiechnął.

- Pierwsze wodowanie? - zapytał.

Katarzyna skinęła głową, a mężczyzna podszedł do niej. Miał okrągłą, łagodną twarz, wielkie, rude wąsiska i podobnego koloru włosy, przyzlane na gładko.

- To będzie wspaniały okręt. Chociaż wolałbym, żeby miał sto łasztów niż sto armat.

- Jest pan kupcem?

- Abraham Willaert, miło mi poznać.

- Katarzyna von Besserer. - Dygnęła.

- Och, jest panna Niemką?

- Tak. Nie miałam wiele do czynienia z morzem. Ale dla pana takie wodowanie to chyba nie pierwszyna?

- Szczerze mówiąc, jestem tu przypadkiem. - Zaśmiał się. - Wpuszczono mnie na uroczystość po znajomości. Przyjechałem sprawdzić prawdziwość przysłowia, że pańskie oko konia tuczy.

- Co ma pan na myśli?

- Widzi panna tamten kadłub z gruszkowym żebrowaniem? - Wskazał ręką na najmniejszą z umieszczonych na plaży pochylni, tę, która stała najdalej. - To mój okręt. Fleuta, sto pięć łasztów ładowności. Będzie pływać po zboże do Gdańska. Nazwę go „Złota Mewa”.

- I będzie pan też organizował uroczystość nadania imienia?

- Tak, oczywiście. Zwyczajowo robi to właściciel okrętu.

Zdziwiła się.

- Myślałam, że „Amelia” - rzekła, pokazując brodą na rojący się już od skutników, majestatycznie chyboczący się w rytmie fal kadłub - to okręt wiceadmirała?

- Nie, nie, skądże! - zaprzeczył Willaert. - De With jest urzędnikiem Republiki, a Republika nie posiada żadnych okrętów. Statki wojenne są wypożyczane albo dzierżawione od kupców i rentierów. Ten galeon jest własnością burmistrza de Graeffa.

- Dziwaczne rozwiązanie.

- Ale opłacalne. Dzięki temu państwo nie musi utrzymywać horrendalnie drogiej floty w czasach pokoju, a statki wojenne mogą pełnić funkcję handlowych.

- Co się teraz z nim stanie? - Znów wskazała okręt. - Mam nadzieję, że nie zamęczam pana pytaniami?

- Ależ skąd, odpowiem z przyjemnością! Szkutnicy odholują go do portu, gdzie otrzyma maszty, takielunek i wyposażenie, a także aprowizację i załogę. Potem wypłynie na rejs próbny i dopiero wtedy zostanie skierowany do służby, tak więc wiceadmirał poczeka na swoją zabawkę jeszcze przynajmniej dwa-trzy miesiące. Ja na swoją - uśmiechną się szerzej - prawdopodobnie krócej, ale to o wiele prostsza konstrukcja. Może panna przyjdzie i na moje wodowanie?

- Jeśli obowiązki pozwolą. - Odwzajemniła uśmiech.

Kupiec był bardzo miły i chętnie odpowiadał jej na wszystkie pytania dotyczące handlu i okrętownictwa, dziwiąc się chyba, że kobieta - i to tak młoda - może się tym w ogóle interesować. Nawet jeśli czuł zaskoczenie, nie dawał niczego po sobie znać. Sam zadał jej kilka pytań

o sytuację w Niemczech, głównie dotyczących ekonomii – odpowiedziała, jak umiała najlepiej. W końcu jednak założył kapelusz i powiedział, że musi wracać do swoich spraw.

– Proszę mi odpowiedzieć na jeszcze jedno pytanie – poprosiła Katarzyna. – Gdzie teraz znajduje burmistrza de Graeffa?

– Wydaje mi się, że jeszcze nie opuścił stoczni. – Willaert obejrzał się i wskazał skromny, prawie biedny powóz, wciąż stojący przy pomoście. – To jego ekwipaż. Powinien być w budynku administracji, o, tam, to ten mały ceglany domek z wieżyczką. Życzę miłego dnia, było mi bardzo miło panią poznać!

– Do widzenia!

Kupiec oddalił się, a Katarzyna została sama. Rzuciła jeszcze jedno spojrzenie statkowi, który właśnie ruszył w drogę, holowany przez portową galereę, i ruszyła w stronę wskazanego jej budyneczku. Rychło jednak się okazało, że nie będzie to takie proste, jak mogłoby się wydawać: drogę do domku pokrywało mokre, rozdeptane przez setki butów błocko wymieszane z gliną, a do przejścia było dobre sto metrów. Normalnie by jej to nie przeszkadzało, ale planowała zrobić dobre wrażenie, dlatego przed wyjściem z domu wybrała suknię do ziemi i jasne pantofle. Zakłęła szpetnie, próbując zrobić chociaż krok, ale natychmiast zamoczyła skraj ubrania w jednej z kałuż.

Walczyła ze sobą przez minutę, zastanawiając się, czy nie wezwać kogoś, kto by ją przeniósł suchą stopą przez tę przeszkodę terenową. W końcu, rozdrażnionej całą tą sytuacją, Katarzynie puściły nerwy. Po prostu wlaźła w błoto i zaczęła przez nie brnąć jak przez bagno, klnąc, na czym świat stoi. Gdy dotarła do budynku administracji, cały dół jej kreacji przedstawiał sobą obraz nędzy i rozpacz. Obciążona gliną i wodą suknia straciła fason, a trzewiki przemokły i nabrały rdzawobrazowej barwy. Rzuciła jeszcze jednym przekleństwem, weszła do budynku i zamarła.

Domek okazał się jedno-, maksymalnie dwuizbowy, a w każdym razie pozbawiony przedpokoju. W związku z tym weszła prosto do

pomieszczenia pełnego ludzi, siedzących przy stolikach i sekretarach nad stosami papierów. Nieozdobione niczym ściany pachniały cegłą, a niewielkie jak na niderlandzką architekturę okna nie dawały wiele światła, przez co w pomieszczeniu panował półmrok. Gdy za Katarzyną trzasnęły drzwi, wszyscy podnieśli głowy i spojrzeli na nią ze zdumieniem. Spaliła raka, uświadamiając sobie, jak idiotycznie musi wyglądać.

Przy wielkim, niskim, zawalonym płachtami papieru stole pośrodku pomieszczenia stali de Graeff, Henryk Orański i odziany w czarny kubrak człowiek, w którym rozpoznała dyrygującego wodowaniem. Pierwszy odezwał się Henryk.

- Na litość pańską. Czy ty przyszedł tutaj piechotą z platformy?

Katarzyna zaczerwieniła się jeszcze mocniej, ale uniosła dumnie głowę, usiłując zachować resztki godności. Henryk podskoczył do niej w dwóch szybkich krokach, skłonił się i podał ramię. Przyjęła je z wdzięcznością, a on poprowadził ją do stołu. Rzuciła okiem na papiery - były to schematy okrętów i mapy.

- Panie de Graeff. - Skłoniła się.

- Panienko Katarzyno. - Również się uklonił, ale po tonie głosu poznała, że jest bardzo zaskoczony tą sytuacją. - Proszę poznać Salomona van der Tempela, projektanta mojego galeonu - dodał zażenowany.

Mężczyzna w czarnym kubraku skłonił się, patrząc na nią z mieszaniną zdumienia i niesmaku.

- Co ci strzeliło do głowy, żeby w ogóle tu przychodzić? - zapytał Henryk, trochę zmieszany, a trochę rozbawiony jej brawurą i bezczelnością.

- Szczerze mówiąc - podniosła głowę i spojrzała prosto na starego rentiera, odzyskując trochę rezonu - chciałam porozmawiać z panem, panie de Graeff.

Starszy mężczyzna odchrząknął z zakłopotaniem, ewidentnie niepewny, czego może od niego chcieć ta nastoletnia dziewczyna

z Niemiec, i to tak zdesperowana, że wzięła po kolana w błoto.

– Ekhm, tak. Nie wiem, czy to wypada... Ale skoro... No dobrze... W takim razie, ee... Zapraszam panienkę, tu z tyłu jest kantor. – Wskazał jej drogę ukłonem i machnięciem ręki. – Przepraszam panów. – Skłonił się też Henrykowi i projektantowi.

Katarzyna wyplątała się spod ramienia Henryka Orańskiego i ruszyła za burmistrzem-dyrektorem. W istocie, poprowadził ją do maleńkiego kantorka. Było to pomieszczenie o przekątnej paru kroków, które w większości zajmowała ogromna, blokująca część przejścia sekretera, prawie niewidoczna spod pergaminów, ksiąg rachunkowych i papierów. Znalazły się tu jednak dwa krzesła, ustawione w rogu tak blisko siebie, że gdy je zajęli, niemal stykali się kolanami.

– Wina? Wody? – zapytał de Graeff, sięgając do stojących na półce nad sekreterą karaf i kielichów.

– Wina, jeśli łaska. Nie przywykłam do picia takich ilości wody, jak Holendrzy.

– Woda może i zmiękcza żołądek – de Graeff uśmiechnął się, nalewając – ale za to nie osłabia umysłu, a to przydatne w interesach. Nie jestem, oczywiście, Henrykiem Orańskim i tym samym brak mi młodzieńczej beczelności – podał jej kielich – ale nie powstrzymam się i muszę zapytać: co skłoniło panienkę do zajrzenia tutaj, i to po pokonaniu skądinąd niezbyt przyjaznej drogi?

– Rozmowa z panem, oczywiście, tak jak mówiłam – odparła i zanurzyła wargi w winie. Było doskonałe.

– Przyznam, że trochę mnie panienka zszokowała. Nie pamiętam, kiedy ostatnio w tym budynku była kobieta, a pamiętam niemało. Czy nie mogliśmy się spotkać w Amsterdamie?

– W Amsterdamie złapać pana w wolnej chwili graniczy z cudem. – Katarzyna miała przygotowaną odpowiedź. – A tu byłam pewna, że pana zastanę.

– No dobrze. – De Graeff próbował się rozeprzeć wygodniej na krześle. Skrzywił się, jakby coś go zabolalo. Niemce przyszło nagle do

głowy, że rentier jest już przecież człowiekiem w podeszłym wieku. Wrócił do poprzedniej pozycji. – W czym mogę właściwie panience pomóc?

Dziewczyna pociągnęła solidny łyk z kielicha.

– Mam nadzieję, że odwdzięczy mi się pan za uratowanie swoich okrętów.

– W jaki sposób?

– Nie da się tego powiedzieć tak, żeby źle nie zabrzmiało, więc powiem wprost. Tak się składa, że znalazłam się w posiadaniu dużej ilości gotówki, a konkretnie kruszcu. Muszę jakoś zalegitymizować jego pochodzenie.

De Graeff uniósł wysoko brwi.

– Ach, w grę wchodzi pieniądze. W takim razie wybaczone, moja droga, ale maniery na bok. To dość specyficzna prośba jak na bezdomną Niemkę na utrzymaniu mojego wroga politycznego. O jakiej kwocie mowa?

– Trzydzieści–czterdzieści tysięcy guldenów.

– Ile?!

Katarzyna nie skomentowała, patrzyła tylko na starego kupca i starała się wyglądać niewinnie.

– Na święty krzyż, skąd masz takie pieniądze? Mogłabyś za to wystawić flotę handlową!

– To mój skarb rodowy, przywieziono go z Niemiec w zeszłym tygodniu.

– Po pierwsze, wiedziałbym o tym, a po drugie, wiozłaś pięćset funtów złota przez ogarniętą wojną kraj? To piramidalna bzdura.

– Jeśli nie chce pan znać odpowiedzi, to po co pan pyta? Przejdźmy lepiej do konkretów: za pomoc oferuję dziesięć procent.

– Tu nie chodzi o zysk, chociaż to swoją drogą. To pachnie skandalem politycznym albo zdradą.

- Jeżeli to pana uspokoi, to przysięgam, że te pieniądze nie pochodzą od nikogo z Holandii i nikt w całym kraju nie ma o nich pojęcia. Nie dostałam ich też od kontrremonstrantów, stadhoudera, angielskich rojalistów, Szwedów, kardynała Richelieu ani nikogo innego, kto mógłby wtrącać się w wewnętrzne sprawy Republiki. Zresztą skąd miałabym kogoś takiego znać?

De Graeff zastanawiał się długo, patrząc na nią przenikliwie i gładząc się po brodzie. Wytrzymała jego spojrzenie.

- No cóż, przyznam, że jeśli można coś zrobić za plecami Fryderyka Wilhelma i jeszcze na tym zarobić, to trafiłaś pod dobry adres. Ale dziesięć procent to za mało, wliczając ryzyko. Chcę dwadzieścia.

- Trzyście - odpowiedziała Katarzyna bez chwili wahania, będąc przygotowaną i na to. - Pan teraz powie osiemnaście, ja zgodzę się na piętnaście, więc możemy chyba ominąć ten etap.

Stary syndyk patrzył na nią ze zdumieniem, ale okraszonym zadowolonym uśmiechem.

- Muszę przyznać, że jesteś pełna niespodzianek. Dobrze, przemyśl tę sprawę. Wizja zafundowania sobie brygu za sam procent od transakcji jest, przyznam, dość kusząca. W jakiej formie masz pieniądze?

- Sztaby złota.

- A masz jakiś legalny kapitał, którego pochodzenie jest jasne?

- Osiemset dwadzieścia guldenów na koncie u Weslerów.

- O, to powinno sporo ułatwić. Dobrze. Spotkajmy się w czwartek, za dwa dni, w Amsterdamie, prześlę ci szczegóły. Wtedy ustalimy, jak można wyprać pół tony złota.

- Bardzo się cieszę.

Zadowoleni wyszli z kantorka. Henryk Orański patrzył na nich podejrzliwie, ale powstrzymał się od zadawania pytań. Porozmawiali jeszcze chwilę o drobnostkach, po czym de Graeff zawołał dwóch robotników, którzy na malutkiej lektyce zanieśli Katarzynę do powozu.

- Przyznam, że urzekło mnie to, że chciało się panience wleźć w błoto tylko po to, żeby ze mną porozmawiać - powiedział na do widzenia burmistrz Amsterdamu. - Do zobaczenia w czwartek!

Erquicia, mimo że czekał ponad godzinę, nie wydawał się specjalnie zdruzony ani zniecierpliwiony. Nijak też nie skomentował stanu jej sukni.

- I jak było? - zapytał, gdy powóz ruszył w stronę Lejdy.

- Robi wrażenie. Ale dla nas istotne jest raczej to, że udało mi się porozmawiać z de Graeffem.

- Dyrektorem Kompanii Wschodnioindyjskiej? I co?

- Pomoże nam rozwiązać problem z pieniędzmi.

- Uważaj. Tak potężni ludzie są bardzo niebezpieczni. Może cię załatwić na amen jednym słowem.

- Załatwić w Niderlandach. - Dziewczyna wzruszyła ramionami. - W najgorszym wypadku wrócę do Niemiec i wszystko się trochę opóźni. Teraz, kiedy mam, ekhm, źródło utrzymania, moja sytuacja diametralnie się zmieniła.

- O wszystkim pomyślałaś, co?

- Jak sam mi udowodniłeś, wcale nie o wszystkim. I o wielu rzeczach jeszcze nie pomyślę. Od tego między innymi będę miała ciebie.

Zaczęło padać. Zapowiadało się na to od paru godzin, stalowoszare, gęste chmury kłębiły się nad Zelandią przez całą drogę do Rotterdamu. Deszcz bębnił miarowo o dach podskakującego powozu. Katarzyna zbierała się w sobie, żeby ponownie zapytać Dominika o jego motywacje, które nie do końca były dla niej jasne. O ile rozumiała doskonale chęć zemsty na braciach, którzy go zdradzili, o tyle nie mogła uchwycić czegoś innego: atmosfery bezrozumnej chęci destrukcji, jaka otaczała zakonnik. Informacje, których udzielił von Naybor, miały kosztować zakon bardzo, bardzo dużo. Nie mogła uwierzyć, że zapalał nagle do dominikanów tak straszliwą nienawiścią, żeby skazywać dziesiątki z nich na śmierć. Jakby na to nie patrzeć, zakon stanowił ogromną część jego życia.

Uważnie popatrzyła na Hiszpana, który, znudzony, zerkał w szybę, śledząc wzrokiem spływające po niej krople. Ostrzyżono go na holenderską modłę i mimo że nie trefił włosów ani nie woskował wąsów, wyglądał dużo schludniej niż kiedyś. Oczy miał podkrążone, czy to ze zmęczenia, czy ogólnego wyczerpania z powodu rany, która nadal mu widocznie doskwierała. W samych ciemnych oczach nie widziała jednak nic ponad to, co zauważyła już kiedyś – dobroć i spokój. Ale biorąc pod uwagę to, jak musiał się aktualnie czuć, należało liczyć się z tym, że doskonale opanował sztukę maskowania uczuć. Niejasno uświadomiła sobie, że jest bardzo, ale to bardzo niebezpiecznym człowiekiem.

Zebrała się na odwagę i otworzyła usta, żeby zadać swoje pytania, ale nie zdążyła się odezwać. Powóz zatrzymał się gwałtownie. Zdziwiona, spojrzała przez okno – minęli właśnie Delft i wjechali na gościniec do Lejdy, a więc znajdowali się pośrodku niczego. Widać było tylko pastwiska i drzewa. Już miała wołać stangreta, żeby zapytać, co się stało, gdy Erquicia wyprężył się jak struna. Za szybą pojawił się niewidoczny zarys postaci, ktoś szarpnął drzwi powozu i do pojazdu wpadł gładko ogolony, łysy mężczyzna z zaciśniętą na czymś pięścią i ustami otwartymi jak do śpiewu.

Katarzyna w ułamku sekundy zrozumiała, że nieznajomy zamierza rzucić jakiś efekt. Gdy jednak zobaczył, że jest ich dwoje, zgłupiał i zawahał się na moment – to ich uratowało. Dominik nie stracił zimnej krwi i kopnął go w wyciągniętą rękę, chcąc wytrącić mu reagent. Napastnik wrzasnął z zaskoczenia i bólu, ale nie otworzył pięści. Krzyknął aramejskie zaklęcie, lecz najwyraźniej brakło mu wykszolenia, bo nic się nie stało. Katarzyna, korzystając z okazji i tego, że nadal siedziała, z całej siły kopnęła zbira obiema stopami i wypchnęła z powozu. Trzasnęło pękające żebro, a łysy spadł ze schodków plecami w błoto. Jednocześnie otworzyły się drugie drzwiczki powozu, a na zewnątrz ktoś krzyknął: hawr!. Skraj sukni Katarzyny stanął w płomieniach, poczuła falę gorąca na nogach. Chwyciła

instynktownie jedyną rzecz, jaką miała pod ręką – stalowy pierścień spinający zastonki – i desperacko przywołała pierwszy korzystający ze stali efekt, jaki przyszedł jej do głowy, czyli czar duszący. Ku jej zaskoczeniu ogień zgasł. Tymczasem Erquicia zdażył wyskoczyć z powozu i teraz siłował się z drugim napastnikiem, przyparty do drewnianej ścianki pojazdu. Przegrywał. Dziewczyna wypadła na śliskie od deszczu kocie łby gościńca i chwyciła przypięty do bransolety papier, którego używała do rozpalania świec.

– Dominik! – krzyknęła ostrzegawczo.

Erquicia zrozumiał, co się święci, i ostatkiem sił odepchnął męczyznę. Katarzyna rzuciła efekt. Przeciwnik stanął w płomieniach, wydając z siebie przeraźliwy, upiorny wrzask, a Hiszpan skorzystał z okazji, błyskawicznie chwycił go za głowę i jednym wprawnym ruchem skręcił mu kark, lekko parząc sobie dłonie. Katarzyna wypuściła ze świstem powietrze. Nagle usłyszała za sobą głos mówiący po łacinie.

– Ty zdrajco! – Pierwszy napastnik, trzymając się za żebra, wyszedł zza powozu i zbliżył się do nich z obnażonym sztyletem.

– Bracie Michale – odpowiedział spokojnie Erquicia, nie spuszczać zakonnika z oczu.

– Psu jesteś bratem, a nie mnie! – krzyknął tamten wściekle i z oszalałym rykiem rzucił się na renegata, zupełnie zapominając o obecności Katarzyny, która skorzystała z okazji i po prostu podstawiła mu nogę. Wyłożył się jak długi, uderzając głową o kamienie, sztylet wypadł mu z rąk. Erquicia podniósł broń i podszedł do swojego niedysiejszego konfratra.

– Spłoniesz w piekle, śmieciu. – Brata Michała ledwo było słyhać przez szum przybierającego na sile deszczu. – Bóg nigdy ci nie wybaczy!

Dominik, najwyraźniej niewzruszony tym wyrokiem, oparł but na karku zakonnika i wbił mu sztylet w kręgosłup, zabijając go jednym wyszkolonym pchnięciem. Katarzyna wypuściła powietrze; dopiero wtedy uświadomiła sobie, że podczas starcia dominikanów

wstrzymywała oddech. Spojrzała na dymiącego trupa leżącego dwa metry od niej, poczuła smród palonego mięsa i, opierając się o koło powozu, gwałtownie się wyrzygała. Hiszpan wyszarpnął nóż z ciała przeciwnika, wytarł go dokładnie o jego ubranie. Podeszedł do dziewczyny i przytulił ją mocno. Byli kompletnie przemoczeni, ale poczuła pod ręką ciepłą lepkość.

- Krwawisz - powiedziała z trudem.

- Rana mi puściła. Chodź, nie stójmy na deszczu.

Wrócili do powozu, który przetrwał walkę w zaskakująco dobrym stanie, tyle tylko, że jedno z pluszowych siedzeń się osmałiło, a stangret gdzieś zniknął, jakby wyparował. Oni sami wyglądali o wiele gorzej. Erquicia miał przemoczone i poszarpane ubranie, a z jego rany sączyła się krew, przenikając przez opatrunek i brocząc koszulę i spodnie. Suknia Katarzyny, równie mokra, była spalona do wysokości kolan, a na prawej łydce dziewczyny zaczęły wykwitac brzydkie bąble w miejscach, w których liznęły ją płomienie. Von Besserer oparła się ciężko o podglówek i zamknęła oczy. Nagle otworzyła je z powrotem.

- Ani słowa l'Empereurowi!

Rozdział XIII

Nie minęły trzy doby, kiedy w pokoju-celi śmiertelnie znużonego Schenka znów zjawił się Andreae. Zastał najemnika drzemiącego jak kot w płamie słońca, które akurat padało na ławę. Nie musiał go budzić – żołnierz instynktownie otworzył oczy, gdy tylko starszy mężczyzna przekroczył próg pomieszczenia.

– Pojedziesz na małą wycieczkę – rzucił do Schenka. – Możesz się na coś przydać, a przy okazji zrozumiesz kilka rzeczy.

Andreae poprowadził najemnika do uniwersyteckich stajni, umiejscowionych tuż przy bramie wjazdowej, zaraz obok wielkiego portyku z płaskorzeźbą przedstawiającą grupę uczonych sięgających ku słońcu. Tam, przy osiodłanych koniach, czekali Klaus i dwóch różokrzyżowców, których Schenk nie znał. Wszyscy trzej byli ubrani na czarno i przy mieczach.

– Witaj. – Dawny dowódca twierdzy skłonił się najemnikowi.

– Weźcie go przez pola – polecił enigmatycznie Pierwszy Wysłannik, odwrócił się i odszedł.

– Wskakuj. Dasz już radę? – zapytał Klaus, wskazując Schenkowi gniadego, młodego, dość dobrze odżywionego ogiera.

– Dam. Gdzie mój koń? – Najemnik rozejrzał się za Burzą, ale nie wypatrzył jej w stajni.

– To bojowa szkapa, poszła do patroli.

– Innymi słowy, ukradliście mi konia – warknął Schenk. Przykro mu się zrobiło. Zżył się z klaczą.

– W bractwie nie ma czegoś takiego jak kradzież. Każdy dostaje to, czego potrzebuje. Ty w tej chwili nie potrzebujesz bojowego konia, więc go nie dostaniesz, proste.

Najemnik w odpowiedzi zgrzytnął tylko zębami i wtarabanił się na niskiego ogiera. Reszta jeźdźców poszła za jego przykładem i ruszyli, wyjeżdżając przez główną bramę. Skierowali się na drogę wyjazdową z miasta.

Jeszcze wśród kamienic Schenk nie wytrzymał i zapytał:

- Dokąd jedziemy?

- Do wiochy, która nazywa się Gerbrünn. Niedaleko, jakieś półtora kilometra. Jeden z tamtejszych rolników nie chce oddać syna na nauki, mimo że mu to nakazano. Mamy mu przemówić do rozsądku.

Schenk zamilkł, zdziwiony, bo nie spodziewał się, że dostanie odpowiedź, a już na pewno nie tak precyzyjną. To, co powiedział Klaus, natychmiast skojarzyło mu się z doniesieniami Sójki, który zgodnie z obietnicą pojawił się dzień wcześniej przy jego celi.

- To jest ciężka sprawa, Schenk, czegokolwiek się tu dowiedzieć - mówił wtedy przez kraty. - Ludzie boją się panicznie tego całego bractwa i nie udało mi się nawet ustalić czemu. Pierwszej nocy prawie wpadłem, bo zatrzymałem się w chłopskiej chacie i rano już po mnie przyjechali, bo ktoś wsypał. Wszyscy donoszą na wszystkich jak szaleni, więc muszę się trzymać z dala od ludzi, nocuję po lasach.

- Udało ci się dowiedzieć czegoś konkretnego?

- Jak dotąd właściwie nie. Wiem, że ci cali bracia zjawili się jakoś rok temu właściwie znikąd, pogonili wszystkich żaków z uniwersytetu i zaczęli werbować ludzi za niezłe pieniądze. Potem jakoś stworzyli Banię i ogłosili, że teraz jest tu Księstwo Różanego Krzyża i wszyscy mają się słuchać, bo pożąłują, a co było dalej, to nie wiem, bo każdemu jakby kto gębę piachem zapchał, gdy zapytać. Wiem, że handel leży, bo panowie często przychodzą i zabierają dobra, a potem oddają komuś innemu, baby szepczą też, że porywają dzieci. Każą nosić te dziwne włosienice, w których łążą chłopci, bo ozdoby są ponoć nierozumne i bezbożne.

- A co, jeśli ktoś nie nosi?

– Nie wiem, bo jak dotąd wszyscy, których spotkałem, noszą. A jeśli zapytać kogoś bardziej kumatego niż chłopci, to zaczyna bredzić o zbawieniu i jakimś szóstym etapie czy jakoś tak. Mówię ci, Schenk, dzieje się tu coś bardzo pojebanego.

– Hmm. Krauze opowiadał mi raz, że kiedyś widział, jak jacyś sekciarze wymordowali pół miasta. Może to coś takiego?

– Może. Na to by wskazywało to, co zrobili z biskupem. Słyszałeś o biskupie?

– No, że go powiesili.

– Powiesili, a wcześniej publicznie pasy z niego rwali przez tydzień. O tym już ci nie wspomnieli, co? Wyciągamy cię stąd, zanim zrobią to samo?

Schenk się zastanowił.

– Nie – odparł w końcu. – Tutaj mogę się dowiedzieć więcej od tego całego Andreae. Uciekaj i pilnuj się. Pamiętaj, że najważniejsze to dowiedzieć się, jak stąd nawiać. Jeśli będzie trzeba, to capnij któregoś z tych całych braci, jak będzie sam, i przypiecz mu piętę.

– Jasna sprawa. Bywaj! – rzekł Sójka i zanim Schenk zdążył mrugnąć, już go nie było.

Ta rozmowa, mimo że niezbyt owocna w skutki, dodała najemnikowi otuchy, szczególnie że, jak dotąd, nikt nie próbował z niego drzeć pasów ani w ogóle nie zrobił mu specjalnej krzywdy. Mało tego, udało mu się nawet parę razy zagrać z parobkami z bractwa w karty, co okazało się dla niego najlepszą rozrywką od miesiąca.

Pogrążony w rozmyślaniach nie zauważył nawet, jak przekroczyli mury miejskie, które w przeciwieństwie do tych na południu stały otwarte. Jechali stępą przez podgrodzie, pocięte opłotkami i pojedynczymi zagonami, od dawna przygotowanymi na zimę. Czasem mijali chłopską chatę. Panował chłód, jesień powoli miała się ku końcowi, na drzewach zwisały już tylko smętnie resztki złotych i czerwonych liści.

Wjechali między pola uprawne. Kapusta, rzepak, groch – wszystko było już zebrane, tylko tu i ówdzie pozostały pojedyncze kępy kukurydzy, których właściciele przespali przymrozki i która do niczego już się nie nadawała. A jednak chłopów w okolicy nie brakowało, a praca wrzała: część z pól należało obsadzić zimową pszenicą, a inne zaorać pod ugór. Schenk jak zwykle nie poświęcał kmieciom ani odrobiny uwagi, patrząc na nich jak przez powietrze. Do czasu, kiedy Klaus wskazał mu jedno z mijanych poletek.

Stała tam dwójka chłopów z jednym z braci, którego nietrudno było poznać po czarnym, wełnianym stroju, takim samym, jaki dano Schenkowi. Jeden chłop trzymał worek z ziarnem, drugi czerpał z niego garściami i wyrzucał zboże w powietrze, a brat rozrzucił je po całym polu, pokrzykując gniewne hebrajskie zaklęcia. Zanim jeźdźcy zdążyli ich minąć, obserwowani obsiali w ten sposób całe niewielkie poletko i przeszli do kolejnego.

– Co... co oni robią? – zapytał wstrząśnięty najemnik.

– Widzisz przecież, obsiewają pole.

– Malefyciami?!

– Czarami – poprawił Klaus bez nacisku. – Tak, owszem. Dlaczego nie miałyby służyć do pracy?

Schenk nie umiał znaleźć odpowiedzi na tak postawione pytanie, więc milczał. Zaczął zwracać baczniejszą uwagę na pracujących ludzi. Zauważył, że faktycznie, gdzie nie spojrzeć, działo się coś magicznego. Bracia pomagali napełniać studnie, gonić bydło i kury, kryć chaty gontem i orać pola.

– Ale... Przecież ci chłopci nic z tego nie rozumieją.

– Na początku mieli sporo oporów – odparł Klaus. – Ale nikomu się nie narzucamy. Jeśli ktoś nie chce pomocy, to jej nie otrzymuje. Natomiast wiesz, jacy są kmiecie: gdy tylko zwęszą możliwość, żeby się nie narobić, szybko przestają ich interesować szczegóły. Ci, którzy nie chcieli czarów, zorientowali się, że mają więcej pracy niż reszta,

i zmiękli. Gadania o herezji i czarownikach też szybko się skończyły, przywykli.

– Pomagacie wszystkim bez wyjątku?

– Tym, którzy chcą, tak. I pod warunkiem, że oszczędzony w ten sposób czas poświęcą na modlitwę i nabożeństwa. Są w księstwie wioski, w których msze są codziennie, a kościoły pękają w szwach. Przyznam, że nie byłem do tego przekonany, ale zadziało.

– I naprawdę nikt się nie buntował?

– Na początku – Klaus się zawahał – mieliśmy kilka, eee, incydentów. Szybko się skończyły.

– Jak rozumiem skutek jakiejś formy perswazji?

Schenkowi nie umknęło, że jeden z jadących z nimi różokrzyżowców-żołnierzy uśmiechnął się paskudnie.

– Na wiosnę – odezwał się mężczyzna, nieproszony – w jednym siole zatłukli nam brata kłonicami, że niby z Szatanem konszachty ma. To puścił im chałupy z dymem.

Klaus spiorunował żołnierza wzrokiem, wyraźnie poirytowany.

– Hans, morda. Mielenie ozorem to nie twoja robota. A spróbuj mi się jeszcze raz odezwać niepytany, to pożałujesz – warknął głosem, który Schenk dobrze znał: był to ton wkurwionego oficera.

W trakcie rozmowy dojechali do celu. Okazała się nim spora, niczym niewyróżniająca się wieś. Na tle jesiennego krajobrazu białe chaty kryte strzechą i gontem sprawiały bardzo smutne wrażenie, szczególnie że tu i ówdzie tkwiły między nimi ogołocone z liści grusze i jabłonie, wyglądające jak wiechcie wetknięte w ziemię. Czterech konnych podjechało do jednej z chat, wyraźnie biedniejszej, umiejscowionej na samym końcu wsi.

– To tu? – zapytał jeden z towarzyszących im żołnierzy.

Klaus w odpowiedzi tylko skinął głową. Różokrzyżowcy zsiadli z koni i skierowali się w stronę budynku. Bez cienia żenady wyważyli kopniakiem drzwi i wpadli do środka. Rozległy się płacz kobiety i krzyk

niemowlęcia, kilka krótkich wrzasków, głuchy dźwięk uderzenia. Po piętnastu sekundach żołnierze wywlekli za ramiona kmiecia w oberwanej, luźnej opończy i rzucili go na ziemię przed koniem Klausa.

- Ty jesteś Volker?

Chłop w odpowiedzi podniósł się, otrząpął i dumnie spojrzął na Klausa, zadzierając głowę.

- Jam jest. Wiem, po coście przyjechali. Nie oddam!

- Oddasz, oddasz - mruknął Klaus pod nosem, jakby do siebie, i kiwnął ręką na podwładnych.

Tamci znowu wpadli do chaty i zaczęli przeszukiwanie. Sprzęty trzeszczały i pękały w ich rękach, aż echo niesło się po ubitej drodze. Z budynku wybiegły jedna chuda owca i kilka kur, a za nimi niewiasta z niemowlakiem w ręku i dwiema córkami, najwyżej dziesięcioletnimi. Kolejny wyszedł wychudzony chłopak, na oko siedemnastoletni. Rozległy się odgłosy tłuczonego szkła i dartych prześcieradeł. Przez okno wyleciało wieko drewnianej skrzyni, łamiąc cienkie ramki framugi i rozdzierając papier w nią wstawiony. Schenk patrzył na to wszystko beznamiętnie, dobrze wiedział, że z chamstwem trzeba krótko.

Nagle w akompaniamencie dźwięków bezmyślnej destrukcji pojawił się nowy ton - wrzeszczący dzieciak. Żołnierze krzyknęli triumfalnie i wyciągnęli z chaty małego chłopca, wlokąc go za kołnierz.

- No proszę, znalazł się - rzucił Klaus sardonicznie. - I co powiesz, Volker?

- Mój syn nie będzie bezbożnym czarownikiem! Samiście dusze skazali na potępienie, fru, wolna wola, a od mojego dziecka wara! - Chłop splunął.

- Decyzja nie należy do ciebie.

- Pry, a do kogo? Mój chłopak, moje decydowanie! Dzieciak zostaje, będzie gospodarzem, jak ojciec i dziadek!

Klaus znów skinął ręką. Jego ludzie doskonale wiedzieli, co robić. Zaszli chłopca od tyłu. Jeden podciął mu nogi kopniakiem, a drugi popchnął na ziemię. Zaczęli kopać go, gdzie popadnie, słychać było tylko głucho uderzenia i jęki mężczyzny. Schenk pobladł nieco. Usłyszał trzask łamanej kości.

– Ociec! – Starszy chłopiec, najwyraźniej też syn leżącego, rzucił się na pomoc.

Nie miał szans. On również wylądował na ziemi i dostał takiego kopa w ciemie, że natychmiast stracił przytomność. Sprawdziwszy, czy żyje, różokrzyżowcy wrócili do systematycznego katowania gospodarza. Schenk poruszył się niespokojnie w siodle. Przystawało mu się to podobać.

Gdy ociekający krwią, połamany chłop zemdlał, żołnierze napluli na niego i skierowali się w stronę kobiety. Ta pośpiesznie wetknęła niemowlę w ramiona jednej z córek. Dziewczynki z płaczem uciekły za pobliski płot. Jeden z żołnierzy strzelił żonę gospodarza w twarz, aż zahuczało, natychmiast się przewróciła. Sprzedali jej kilka kopniaków w żebra, zaczęła głośno płakać.

– Jej też coś złamać? – Spojrzeli na Klausea.

Ich dowódca, z beznamiętną miną oparty o łęk siodła, nawet nie mrugnął, słysząc to pytanie. Odwrócił tylko wzrok. Różokrzyżowiec stanął na ręce kobiety. Znów rozległ się obrzydliwy trzask – kość pękła jak sucha gałązka, kobieta zawyla rozpaczliwie. Mały chłopiec zaczął łkać i chlipać.

– Dobra, starczy – rzucił Klaus. – Bierzemy młodego i do domu.

Żołnierze posłusznie wsiedli na konie, napluwszy jeszcze raz na półżywego chłopca i skopawszy jego rzeczy, rozrzucone po obejściu. Jeden z nich wciągnął młodszego, zapłakanego chłopca na siodło. Zawrócili i ruszyli w drogę powrotną.

Schenk rozejrzał się naokoło. Ani żywej duszy. Dziwne, zazwyczaj takie jatki zbierały spore gromady gapiów. Ręce mu się trzęsły, nie mógł zebrać myśli. Był wstrząśnięty, ale nie wiedział dlaczego. Zdarzyło mu

się torturować ludzi, a dla chłopów miał wyłącznie pogardę, tymczasem wciąż brzmiał mu w uszach krzyk bitej kobiety i jęki nieprzytomnego chłopca. W powietrzu brzęczał cichy szloch porwanego przez nich dziecka.

Dopiero gdy przejechali w milczeniu około kilometra, zdołał się trochę uspokoić i wreszcie dotarło do niego, skąd wzięła się jego reakcja. Owszem, zdarzało mu się torturować ludzi, ale po to, żeby wydobyć z nich informacje, tymczasem scena, której stał się świadkiem, była przykładem sadystycznej kary, jaka jego również wielokrotnie w życiu spotkała. Dobrze wiedział, jak to jest dostać kije za kradzież jabłka albo pajdy chleba. Ale tu sytuacja przedstawiała się gorzej, bo chłop przecież nie zrobił nic złego, jedynie bronił rodzzonego dziecka. Matka chłopca w ogóle nie miała z tym nic wspólnego, a mimo to złamali jej ramię. Tymczasem on, Schenk, asystował przedstawicielom władzy. Zachciało mu się rzygać. Popatrzył na Klause – pozostawał absolutnie niewzruszony. To, co właśnie się stało, tak bardzo nie licowało z jego dobrotliwą twarzą, że młody najemnik mógłby przysiąc, że tam, we wsi, komenderował kto inny. Za to żołdacy mieli obrzydliwie zadowolone z siebie miny.

Schenk był zdany na łaskę i niełaskę tych ludzi.

Długo zbierał się na odwagę, ale w końcu zapytał:

– Czy to naprawdę było konieczne?

– Konieczne? – Klaus spojrział na niego. – Nie, pewnie nie. Ale za to było potrzebne. Teraz jeden z drugim trzy razy się zastanowi, czy opłaca mu się chować dzieciaka pod podłogą.

Zapadła chwila ciszy.

– Mamy mało praw – dodał były dowódca. Głos miał głuchy i pusty. – Ale te, które są, muszą być egzekwowane. Nieważne komu się to podoba, a komu nie.

Reszta drogi przebiegła w zupełnym milczeniu. Po pół godzinie dotarli na uniwersytet, gdzie Schenk zeskoczył z konia i od razu, nawet nie kiwając reszcie głową, udał się do swojego pokoiku, boleśnie

przypominającego zakratowanym oknem, że w istocie jest celą. Nie mógł znaleźć sobie miejsca, chodził od ściany do ściany. W uszach cały czas rozlegał się trzask łamanych kości. Co się z nim działo? Przecież od dziecka widział dziesiątki katowanych, mordowanych i torturowanych ludzi. W końcu się położył i bezskutecznie usiłował się przespać.

Gdy za którymś razem otworzył oczy, w drzwiach stał Andreae. Schenk zerknął na niego z niechęcią i z powrotem zamknął oczy. Słyszał, jak tamten wszedł do pokoju i usiadł na krześle. Nie odezwał się, dopóki najemnik znów na niego nie spojrział.

- A więc - zaburczał Pierwszy Wyśłannik - zobaczyłeś też ciemną stronę księstwa.

- To nazywasz ciemną stroną? Katowanie niewinnych ludzi?

- Och, nie zgrywaj niewiniątka - zachnął się tamten. - Chcesz powiedzieć, że w życiu nie zadźgałeś nikogo ani nie torturowałeś? Jako najemnik, a potem agent Wilhelma Maga? Mam w to uwierzyć?

- Na pewno nigdy nie skatowałem nikogo za to, że nie chciał oddać własnego dziecka obcym ludziom.

- To przykre, ale konieczne. Jeśli bractwo ma się rozwijać, musi mieć rekrutów. Jak sam widziałeś, dzieciom niczego nie brakuje. Gwarantuję ci, że chłopak będzie miał z nami lepsze warunki niż w jakiejś biednej lepiance. I nawiasem mówiąc, kmieć dostanie za niego rekompensatę w plonach, niezależnie od tego, że trzeba go było trochę poturbować.

- Zaczynam się zastanawiać - warczał dalej Schenk - ile warte jest to wasze zbawienie.

- Wszystko, mości najemniku. Właśnie o to chodzi, że jest warte wszystko i nie cofniemy się przed niczym, co konieczne, aby do niego doprowadzić. Musisz to zrozumieć na samym początku.

- Muszę?

- Oczywiście, inaczej nic z ciebie nie będzie.

- Co ty niby znowu wymyślasz?

– Czy to nie oczywiste? Musisz zostać naszym bratem, jako pierwsza osoba z zewnątrz, spoza bariery. Myślałem, że już to rozumiałeś.

Schenk podniósł się i usiadł na ławie.

– Czyś ty z byka spadł? – burknął. – Ani mi w głowie zapisywać się do tego cyrku.

– Nie zmusimy cię, rzecz jasna. Ale gwarantuję, że z czasem pojmiesz tę konieczność. Nie znalazłeś się tutaj bez powodu i nie bez powodu Klaus wyratował cię z tamtej opresji w gospodzie.

– Jak to Klaus? – zdziwił się najemnik. – Ocalił mnie Sójka.

Andreae puścił to mimo uszu.

– Boży plan bywa trudny do zrozumienia. Ale wystarczy połączyć wszystkie nitki, zrozumieć, jak płaczą się losy ludzkie, żeby pojąć, że nic nie dzieje się przypadkiem. Droga, na jaką skierował cię Duch Święty, nie jest łatwa, ale koniec końców się opłaci, choć być może dopiero po śmierci. Zostawiłem ci Biblię, żebyś rozważył los swojej duszy. Jak ci to idzie?

– Dowiedziałem się, że Sem miał syna Jafeta, a potem wiele dziatków.

– To niezły początek dla studiów teologicznych. – Andreae uśmiechnął się pod nosem, a jego rysy nagle jakby zmiękły. – Tymczasem rób sobie, co chcesz. Nie jesteś już dłużym więźniem ani jeńcem. Jeżeli taka jest twoja wola, możesz znaleźć sobie robotę i zamieszkać w mieście, pamiętaj tylko, że nie tolerujemy w księstwie najemników i zbójów, więc o pożytek z miecza będzie trudno. – Wstał i założył ręce za plecami. – Jeśli jednak sobie życzysz, możesz zostać na uniwersytecie. Pokój jest do twojej dyspozycji. Wydam strażom polecenie, żeby wpuszczali cię i wypuszczali o każdej porze. Gdybyś chciał ze mną porozmawiać, daj znać braciom pełniącym wartę pod moimi drzwiami, szybko cię znajdę. Tymczasem żegnaj.

– Hej, czekaj! – krzyknął za nim Schenk, zanim tamten zdążył wyjść. – Oddajcie mi mojego konia.

– Twój koń, o ile dobrze pamiętam, trafił...

– Do patroli, bo to zwierzę bojowe, tak, tak, już to słyszałem. Chcę go z powrotem.

Andreae patrzył na niego długo, jakby się namyślał.

– Dobrze. Z uwagi na specyficzną sytuację uczynię wyjątek. Jutro lub pojutrze będzie czekał na ciebie w stajni.

Odwrócił się i wyszedł, zostawiając najemnika samego.

W pierwszej chwili Schenk nie miał pojęcia, co robić. Nie uwierzył w deklarację Andreaego, więc ruszył do bramy, aby sprawdzić, czy go wypuszczą. Ku jego zdziwieniu, nie robiono mu najmniejszych problemów – wyszedł na ulicę, jakby to była najnaturalniejsza rzecz pod słońcem. Dopiero gdy stanął na bruku i się rozejrzył, uświadomił sobie, jak mało zmienia to w jego sytuacji.

Strażnicy patrzyli na niego jak na idiotę, więc rozejrzył się, speszony, i ruszył, nie za bardzo wiedząc, dokąd idzie. Bez problemów przekroczył pilnowany most i wszedł do centrum miasta. Robiło się ciemno; wczesny, jesienny zachód zaskoczył przechodniów, którzy szybko kończyli załatwiać swoje sprawy i zbierali się do domów. Najemnik chciał zająć do szynku, żeby napić się piwa i przemyśleć to i owo, ale uświadomił sobie, że nie ma żadnych pieniędzy.

– Hej, bracie – zaczął przechodzącego różokrzyżowca. – Wiesz, kim jestem?

– Oczywiście, gościem Pierwszego Wysłannika. – Tamten się skłonił.

– Wiesz, gdzie mogę tu zarobić trochę grosza?

– A czego potrzebujesz?

– Piwa chciałem się napić.

– Jeśli nie wystarczy ubiór, powiedz w knajpie, żeś od nas. – Żołnierz wzruszył ramionami. – I tyle. Bywaj.

Najemnik popatrzył za nim z niedowierzaniem. Jakoś trudno mu było uwierzyć, że wszyscy karczmarze w mieście poją i karmią różokrzyżowców za darmo, nie brzmiało to jednak jak dowcip czy podstęp. Zafrapowany, wszedł do pobliskiej knajpy, podszedł do

szynkwasu i zażyczył sobie piwa. Karczmarz, gruby Niemiec ze świńską szczeciną na głowie, nalał mu półkwartę bez mrugnięcia okiem. Schenk wziął wielki łyk.

– Brat nie z uniwersytetu? – zapytał szynkarz.

Schenk nie mógł odpowiedzieć, bo miał usta pełne piwa. To dało mu dwie sekundy niezbędne do uświadomienia sobie, że oberżyci w zamkniętym na głucho mieście musieli znać wszystkich różokrzyźowców z imienia, a przynajmniej z wyglądu. Odstawił gliniany kufel i pokręcił głową.

– A skąd, jeśli można spytać?

– Z Lengfurtu. – Najemnik wyburczał pierwszą nazwę pobliskiego miasteczka, która przyszła mu do głowy. Kiedyś, w poprzednim życiu, w Lengfurcie miał kochankę.

– Och. Posprzątaście już po Szwedach?

Schenk pokiwał głową, ciągnąc kolejny łyk z kufła.

– Dzieje się tu coś ciekawego? – zapytał. Otarł dłonią usta, starając się robić wrażenie mocno zblazowanego.

– Ano nic, jak zawsze od czasu bariery. I to samo bratu powiedzą na uczelni. Ino... Hm, brat od dawna tutaj? Bo nic mi nie wiadomo, żeby ktoś nowy miał przyjechać.

– Nie za dużo sobie pozwalasz? Sprawy Różokrzyża – uciął Schenk, marszcząc brwi. W trakcie swojej krótkiej wywiadowczej kariery doskonale nauczył się udawać władczość i zdecydowanie.

– Uch, proszę wybaczenia. – Karczmarz spuścił głowę. – Ino ostatnio kręci się tu jeden z zewnątrz. Chodzi i wypytuje, nikt nie wie, skąd się wziął. Pytałem dowódcę, o co chodzi i czemu go jeszcze nie zgarnęli, to powiedział tylko, że Pierwszy zakazał i żeby mieć baczenie na niego.

– A jak on wygląda? Ten z zewnątrz?

– A taki wysoki, szpakowaty, wąsaty. Jak gada, zaciąga z północna.

– Nie widziałem. – Schenk pokręcił głową, zachowując zimną krew. Jednym haustem wychylił piwo do końca. – Na mnie pora. Dzięki.

- Z Bogiem, bracie.

Najemnik wyszedł na ulicę i dopiero wtedy wypuścił wstrzymywane powietrze. Zaklął. Jak mogli być tak naiwni, żeby założyć, że ktoś z zewnątrz nie zwróci na siebie uwagi w miejscu, które jest zamknięte od pół roku i w którym wszyscy się znają? Musiał koniecznie jak najszybciej ostrzec Sójkę, nie miał jednak pojęcia, gdzie jego przyjaciel przebywa. Po chwili zorientował się, że - chociaż wydawało mu się, że wybrał przypadkową drogę - zbliża się do bram uniwersytetu. Zaklął.

A może faktycznie nie było stąd ucieczki?

Potrząsnął głową. Skoro weszli, to mogą też wyjść. Trzeba tylko ustalić, jak różokrzyżowcy to robią, jak przekraczają barierę - i prysnąć. Nic łatwiejszego, wystarczy zasadzić się na jakiegoś w lesie i połamać palce, to zaraz wszystko wyśpiewa. Albo spić jakiegoś, żeby mu się język rozwiązał. Tymczasem jednak robiło się coraz zimniej, chwycił mróz, było już zupełnie ciemno. Najemnik chuchał w dłonie.

Zauważył, że w pobliskim kościele, niewielkim i chyba tak starym jak Niemcy, trwało nabożeństwo. Pomyślał, że chociaż trochę się ogrzeje. Gdy wszedł do środka, nikt nie zwrócił na niego uwagi - poza dwoma braćmi, którzy stali przy drzwiach i uważnie lustrowali tłum. Skinęli mu głowami. Stał między mieszczanami, ale cały czas czuł na plecach spojrzenia tamtych. Denerwowało go to, więc obrócił się na pięcie, chcąc wyjść. Zatrzymali go w drzwiach.

- Hej, bracie. Znasz zasady.

- Hę?

- Nie możesz opuścić nabożeństwa, idioto - warknął jeden z nich. -
Wracaj do środka.

Schenk, nie chcąc robić afery, wrócił poirytowany do nawy głównej. Kilka osób, które stały najbliżej, zerknęło na niego lękliwie i się odsunęło. Nie poprawiło mu to humoru.

Na szczęście w kościele było w miarę ciepło, a msza szybko się skończyła. Przeżegnał się razem z innymi i zaraz po sakramentalnym

„amen” uciekł ze świątyni, już przez nikogo nie niepokojony. Postępujący chłód wieczoru uderzył go w dwójnasób.

A jeżeli naprawdę nie da się stąd uciec?

Staął pośrodku ulicy, niepewny, co robić. Mógł oczywiście szukać przyjaciela, ale najprostszym sposobem na porozmawianie z Sójką było zaczekanie na niego w celi. Z ponurą miną powlókł się w stronę bramy z portykiem. Słońce wiedzy, które symbolizowały wyrzeźbione wizerunki uczonych, nie oświeciło go swoim światłem – wydało mu się ciemną gwiazdą.

Następnego dnia zdecydował się trochę podziałać. Z samego rana bez śniadania ruszył szukać Klausa. Po dobrych dwóch kwadransach znalazł go w stajni, gdzie zobaczył też swoją Burzę, wyczesaną, zadbaną i nakarmioną.

– Hej, koniku! Jak się masz? – Przytulił się do końskiej szyi. Burza spojrzała na niego, zdziwiona, bo do tej pory kochał ją raczej szorstką miłością. Ale nawet on potrzebował czasem trochę dotyku.

– Przeprowadzili ją dziś rano – poinformował Klaus, siodlający właśnie swojego gniadosza. – Masz szczęście, że Andreae ma do ciebie słabość. Żadnemu z nas nie poszedłby tak na rękę. A swoją drogą, po co ci koń? Nie zorientowałeś się jeszcze, że stąd naprawdę nie ma ucieczki?

Schenk zignorował tę ostatnią uwagę i wzruszył ramionami.

– A po co mi ubranie i pieniądze? To moja własność.

– Akurat to, co nosisz na grzbiecie, nie jest twoją własnością, tylko własnością bractwa.

– Wiesz, o co mi chodzi.

Klaus nie odpowiedział. Skupił się na skracaniu strzemion.

Schenk podszedł do niego i oparł się o szeroki bok gniadego konia. Spojrzał uważnie na różokrzyżowca. Trzeba było go w końcu „tyknąć”, jak mawiał Krauze.

– Słuchaj, Klaus. Widzę przecież, że nie wszystko ci się tu podoba.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz - odpowiedział tamten, nie patrząc na najemnika.

- Zgrzytasz zębami co chwila. Nie myślałeś żeby, wiesz, trochę zmienić tutaj porządki? Ludzie cię słuchają, a ten cały Andreae...

Gdyby Schenk nie był ranny, nie dałby się zaskoczyć. Ale był, ręka przy gwałtownych ruchach nadal pulsowała bólem, więc ani się obejrzał, a już stał przyciśnięty do drzwi stajennego boksu. Klaus trzymał go za kłapy kubraka i dyszał mu w twarz.

- Zamknij się, idioto! - warknął gniewnym szeptem. - Takim gadaniem możesz ściągnąć nieszczęście i na siebie, i na innych, więc po prostu trzymaj mordę. Wiesz, co tu robią takim, co za dużo miała ozorem?

- No, co? - Schenk szarpnął się, niespecjalnie przestraszony.

Klaus puścił jego ubranie i otrzepał ręce o uda. Rozejrzał się uważnie.

- Po prostu siedź cicho. I daj mi święty spokój. Nie jestem tym, za kogo mnie uważasz, wierzę głęboko w Szóstą Epokę, Boże wysłannictwo, wspólne zbawienie i całą resztę, więc spierdalaj.

Najemnik bez słowa patrzył, jak tamten wskakuje na konia i wyjeżdża ze stajni, nie zaszczycając go nawet jednym spojrzeniem. Został jeszcze chwilę z Burzą, dał jej kilka jabłek z worka znalezionej przy drzwiach, po czym wyszedł i wrócił na dziedziniec uniwersytetu. Znow nie miał co robić. Poszedł do swojej celi, położył się na ławie i zaczął gapić w sufit. Czekał na Sójkę. Nic innego mu nie pozostało.

Bo może faktycznie nie dało się stąd uciec?

Dwa dni później przyszedł do niego Andreae.

- Chciałbym cię zaprosić na specjalną uroczystość.

- Uroczystość?

- Konkretnie egzekucję. Odbędzie się jutro w południe.

Schenk domyślił się, kogo mają stracić. Po raz pierwszy od bardzo dawna zachciało mu się płakać.

Rozdział XIV

Gdy uzyskali pomoc w Delft i powrócili do Lejdy, okazało się, że w czasie ich przygody pod Rotterdamem doszło do bardzo podobnego incydentu w katedrze medycyny uniwersytetu, co wskazywało na skoordynowaną akcję. Tylko czystym przypadkiem zarówno Niemka, jak i Hiszpan znaleźli się w tym samym miejscu, przez co jedna z dominikańskich drużyn asasynów miała utrudnione zadanie, a drugiej zabrakło celu. Być może dlatego też tej drugiej, z Lejdy, udało się uciec, choć zabójcy położyli najpierw trupem pięciu uczelnianych gwardzistów.

L'Empereur i von Naybor rozpętali niezmierną aferę. Wyrzutom i groźbom nie było końca, ale Erquicia nie chciał, a Katarzyna nie miała siły tego słuchać. Stało się oczywiste, że nie mogą zostać w Lejdzie, więc obecny przy awanturze Cunaeus zaproponował gościnę w swoim amsterdamskim mieszkaniu. Odwieziono ich do niego błyskawicznie. Na miejscu czekała już blada jak ściana Blanchefleur. Z płaczem rzuciła się Katarzynie w ramiona. Dziewczyna ledwo miała siłę poklepać dwórkę po plecach. Dała sobie opatrzeć nogę i położyła się w przeklętej holenderskiej szafie do spania, na co nawet nie zwróciła uwagi. Zasnęła błyskawicznie.

Przez następną dobę gorączkowała i majaczyła. Nieustannie śnił jej się Krauze, stający w ogniu w jodłowym zagajniku w Niemczech, oraz jej ojciec, wznoszący sardoniczne toasty za „morderców po obu stronach barykady”. Czasem budziła się na chwilę, nie reagowała jednak na nic, co się do niej mówiło. Czuła się okropnie. Nie sądziła, że będzie musiała kiedyś zabić człowieka, a jej wyrzutów sumienia nie zmniejszył fakt, że technicznie rzecz biorąc, dzieła dokończył Erquicia.

Ciągle słyszała wrzask podpalanego dominikanina, aż podskakiwała w pościeli i rozglądała się trwożliwie.

Na drugi dzień trochę się uspokoiła. Po prostu siedziała i patrzyła w przestrzeń. Powoli, spokojnie przekładała sobie w głowie różne szufladki, strukturyzowała je, chowała na dno te, które jej się nie podobały i które jej przeszkadzały, a wydobywała te, które wydały jej się ważne, aż w końcu przypomniało jej się, że miała coś do załatwienia w Amsterdamie. Dlatego pierwsze słowa, które wypowiedziała do zatroskanego Cunaeusa, dogląającego jej w wolnych chwilach, brzmiały:

- Czy dostałam list od de Graeffa?

Szybko się okazało, że w istocie, list od burmistrza przyszedł do Lejdy. Rentier wyznaczał jej spotkanie w jego domu w czwartek pod wieczór. Problem w tym, że już był czwartek. Katarzyna wyjrzała za okno - wczesne popołudnie.

- Muszę się doprowadzić do porządku - burknęła do swojego gospodarza i wstała jakby nigdy nic. - Zawołaj służbę. I Blanchefleur.

Prawnik próbował jej to perswadować, powtarzał, że powinna odpoczywać, ale kompletnie nie przejęła się jego gadaniną. Dwie godziny później była umyta, uczesana, opatrzona na nowo i gotowa do wyjścia. Zanim jednak zdążyła wyjść z domu, Cunaeus zaanonsował, że czeka na nią niejaki Bonawentura Elsevier. Chwilę zajęło jej przypomnienie sobie, kto to w ogóle jest - widziała go tylko raz, gdy nagabywał ją i Blanchefleur przy wyjściu z uniwersytetu. Westchnęła ciężko, ale, zaciekawiona, zaprosiła nieoczekiwanego gościa do salonu. Kazała też wezwać Erquicię. Liczyła na to, że tamten spłoszy się na widok obcego mężczyzny, bo pamiętała, że zależało mu na dyskrecji. Niestety, zawiódł jej nadzieje.

Elsevier, gdy tylko wszedł do sali bawialnej, skłonił się aż do samej ziemi. Był to człowiek nieco starszy od dominikanina, a więc z perspektywy dziewcząt niemal starzec, z włosami i brodą mocno przyprószonymi siwizną. Wyraźnie starał się ubrać jak najlepiej, ale

wcale nie wyszło to dobrze: wszystkie części garderoby miał jakby z innych kompletów i wykrochmalone na sztywno.

– Składam najgłębsze uszanowanie Waszym Książęcym Gościom.

Katarzyna parsknęła, ale cicho. Zerknęła na Erquicię, żeby zobaczyć, jak zareagował na tak gwałtowny awans społeczny, ten jednak zachował kamienną twarz. Elsevier, w sposób typowy dla mieszczanina niemającego pojęcia, jak się zachować w towarzystwie arystokratów, z którymi w Holandii po prostu nie miał do czynienia, strzelał gafę za gafą.

– Proszę siadać – rzuciła zamiast powitania dziewczyna i złośliwie, żeby jeszcze bardziej go zakłopotać, sama nalała mu wina i podała kielich. W istocie, zmieszał się.

– W czym możemy panu służyć?

– To raczej my możemy służyć panience – odpowiedział, odruchowo używając, tak samo jak Katarzyna, liczby mnogiej, jakby sam sobie przypisał pluralis maiestaticus. – Czy nie czytała panienska moich listów? I czy nie dałem do zrozumienia panience, że to szalenie istotne, wtedy, w Lejdzie? – napadł na nią.

Katarzyna się zaczerwieniła.

– Otrzymałam, ale był pan w nich bardzo enigmatyczny, dlatego zwlekałam z tym przemiłym spotkaniem.

– Ale za to byłem bardzo kategoryczny, podkreślając, że to ważna sprawa – żachnął się tamten.

Wydał się Katarzynie dość ekstrawagancki; czuła, że jego nastrój zmienia się z minuty na minutę, od ekscytacji do zakłopotania i nie bardzo wiedziała, czego się spodziewać. Tak ją to speszyło, że spuściła oczy i zanurzyła wargi w kielichu.

– Panna Katarzyna nie miała wiele czasu – wtrącił chłodnym tonem Erquicia, ratując sytuację – i teraz również go nie ma, więc proszę łaskawie przejść do rzeczy.

– Ech, szlachta. – Elsevier się skrzywił. – No, nieważne. Gdy opowiem, co mam do opowiedzenia, zrozumie panienska, czemu nie

można było napisać tego w liście. Jak pewnie państwo wiedzą, moja rodzina od dwóch pokoleń zajmuje się drukarstwem. Oficyna Elseveriana publikuje, zecuje, drukuje, skupuje i sprzedaje książki, księgi, manuskrypty i brewiarze od ponad pięćdziesięciu lat.

Śmiesznie brzmiały te referencje, ale widząc śmiertelną powagę gościa, pokiwali grzecznie głowami.

- Ten nieskromny wstęp bierze się stąd - ciągnął Elsevier - że panienci preceptor z Lejdy, l'Empereur, zignorował mnie, a nawet w niegrzeczny i impertynencki sposób odprawił, argumentując, że nie jestem naukowcem. Gwarantuję jednak, że mimo iż brak mi klasycznego wykształcenia, wiem, o czym mówię. Z kolei historia, którą chcę paniencie opowiedzieć, jest na tyle specyficzna, że zależy mi, żeby usłyszały ją tylko te uszy, które powinny ją usłyszeć. - Znacząco popatrzył na Erquicię i Blanchefleur.

- No dobrze, ale co to za historia? - Dziewczyna zignorowała jego uwagę, coraz bardziej zniecierpliwiona.

- Zaczyna się... sam nie wiem kiedy. Według moich ustaleń na dworze Rudolfa II, którego chyba wszyscy obecni pamiętają?

Znów pokiwali głowami. Choć dziewczęta nie żyły w czasach panowania cesarza Rudolfa Habsburga, trudno im było o nim nie słyszeć, bo dał się bardzo dobrze zapamiętać w Niemczech. W przeciwieństwie do innych Habsburgów rezydował w Pradze, trudno powiedzieć czemu. W ogóle ciężko określić jakiegokolwiek motywów postępowania Rudolfa, był mianowicie kompletnie szalony. W sprawach religijnych bujał się od protestanckiej do katolickiej burty jak pijany marynarz, a z politycznego punktu widzenia zachowywał się jeszcze gorzej. Ogarnięty dziesiątkami obsesji, przede wszystkim dotyczącymi okultyzmu, magii, alchemii i astrologii, w zaskakujący sposób dobierał sobie otoczenie, w związku z czym przypominało ono raczej zbieraninę szarlatanów niż poważny europejski dwór. W końcu stał się na tyle nieobliczalny, że jego brat, Maciej, ojciec miłościwie panującego

Ferdynanda, odsunął go od władzy i zamknął na zamku w Hradczanach, gdzie tamten zmarł bezpotomnie.

- Jak wiecie, Rudolf kolekcjonował i skupował wszystko, co miało jakikolwiek związek z magią i alchemią. Nie jestem pewien, czy na jego dworze zdawano sobie sprawę z istnienia eteromancji, chyba nie, zresztą wówczas nie była w ogóle znana, ale z dość oczywistych powodów ten temat musiałby zainteresować cesarza. Z całą pewnością natomiast właśnie tam po raz pierwszy pojawiła się pewna księga, o której chcę państwu opowiedzieć. Cesarz odkupił ją od niejakiego Jakuba Sinapiusa, który później został jego nadwornym aptekarzem i botanikiem. Księga pozostała na dworze aż do śmierci Rudolfa dwadzieścia lat temu. Wówczas niejaki Baresch, podrzędny praski alchemik, opiekujący się księgozbiorem cesarza, usiłował przekazać ją jezuickiemu uczonemu, Anastazemu Kircherowi, profesorowi na uniwersytecie w Würzburgu. I tutaj, uważacie, historia robi się ciekawa. Kircher, jezuita, nie tylko był bardzo zainteresowany kupnem manuskryptu, ale też przekazał sprawę dominikanom.

Katarzyna zerknęła na Hiszpana, ale ten pokręcił dyskretnie głową na znak, że nic mu o tym nie wiadomo.

- Zdążył zresztą w ostatniej chwili, bo parę tygodni później profesor Andreae zrobił na uniwersytecie swoją rewolucję i Kircher wraz z innymi teologami został wygnany z miasta. Tak czy inaczej, dominikanie zainteresowali się tematem. Nie udało mi się ustalić nic ponad to, że mieli przeprowadzić transakcję w Pradze i że miała opiewać na astronomiczną kwotę w dukatach. Nie doszło jednak do tego, bo z księgozbioru Barescha księgę wykradł Kunicjusz, mój przyjaciel, teolog i alchemik, aktualnie przebywający w Polsce. Wiem o tym, ponieważ z nim rozmawiałem. Przekazał ją swojemu uczniowi, który poprosił go o to listownie. Dziwnym trafem tym uczniem był Johann Valentin Andreae. Do spotkania doszło w Würzburgu. Interesujące jest jednak to, że w drodze z Würzburga do Amsterdamu - miało to miejsce w zeszłym roku - brutalnie napadli Kunicjusza ludzie

Wilhelma Heskiego, którzy wyraźnie dali do zrozumienia, że zależy im właśnie na księdze. Uszedł z życiem, ale solidnie najadł się strachu. Chciał donieść o tym Andreaemu, ale nie mógł, bo miesiąc później nad Würzburgiem pojawił się słynny fenomen nazywany Banią. Nadążacie państwo?

- Sugeruje pan związek tej książki z eteromancją.

- To dość oczywiste, czy nie? Andreae jeszcze przed powstaniem Bani, w której teraz siedzi, był fanatykiem religijnym ogarniętym obsesją wykorzystania eteromancji jako narzędzia zbawienia. Księcia Hesji z kolei nie bez powodu nazywa się coraz częściej „Wilhelmem Magiem”. O dominikanach nie muszę nic mówić. Wszystkie te strony są żywo zainteresowane nowinkami eteromancyjnymi i wszystkie próbowały położyć łapy na księdze.

Katarzyna dała się porwać tej opowieści, więc od dłuższej chwili słuchała z zapartym tchem. Tymczasem Erquicia, bardziej doświadczony życiowo, okazał się dość sceptyczny:

- No dobrze, ale pozostaje jedno zasadnicze pytanie: co to jest za księga? Co takiego się w niej znajduje?

- Nie wiadomo! - zapalił się antykwariusz. - Właśnie o to chodzi, że nie wiadomo! Z całą pewnością musi to być jednak potężny artefakt. Kunicjusz nie potrafił jej przeczytać, a jest jednym z najlepiej wykształconych ludzi, jakich znam. Podobno jest spisana w języku enochiańskim.

- Jakim? - Blanche fleur uniosła brwi.

- Enochiański to legendarny język, którego rzekomo użył Bóg, aby stworzyć świat, a potem nauczył go Adama i Ewę - wyjaśnił Erquicia. - Mają też w nim mówić aniołowie. Z niego podobno wywodzi się aramejski. Znam księgę Enocha, jeden z oryginałów znajduje się w bibliotece dominikanów w Rzymie. Można w niej wyczytać, że aniołowie posiadli ziemskie kobiety i nauczyli je, no cóż, czarów. Nietrudno zrozumieć, że wielki synod uznał ją za niekanoniczną.

- Jak widać, wszystko składa się w całość - podsumował Elsevier.

- A skąd ten manuskrypt właściwie się wziął? - zwróciła się do niego Katarzyna.

- Jego wcześniejsze losy toną w mrokach dziejów. Podobno Rudolf był przekonany, że manuskrypt napisał Robert Bacon, czego zresztą nie da się wykluczyć. Według relacji Kunicjusza księga jest dość stara.

- Ale skoro nawet uczeni nie potrafią jej przeczytać, to skąd wniosek, że się nam do czegokolwiek przyda?

- Nie wyciągam takiego wniosku. - Antykwariusz wzruszył ramionami. - Po prostu chcę, żeby księga trafiła do Holandii, a jeśli nie do Holandii, to w ręce wierzących protestantów. Andreae, jak wspominałem, to fanatyk, gorszy nawet od katolików. Trzeba mu ją odebrać.

- I sugeruje pan, że my mamy to zrobić? - zapytał Hiszpan z fałszywą uprzejmością.

- Nie wy, tylko panienka.

- A skąd pomysł, że zdołam albo będę miała chęć to zrobić?

- Mistrza sztuk powinno interesować wszystko, co może rozwinąć jego talent - skarcił ją Elsevier tonem nauczyciela.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę, Katarzyna i Dominik dopytywali o szczegóły całej historii, okazało się jednak, że antykwariusz niewiele więcej może im powiedzieć. W związku z tym von Besserer, zniecierpliwiona i trochę znudzona tą historią, niegrzecznie poinformowała, że ma do załatwienia ważne sprawy i pożegnała się z towarzystwem. Była poirytowana, że dała sobie zmarnować godzinę z życia. Zjadły razem z Blanchefleur szybki posiłek w kuchni i wyszły z domu w obstawie dwóch gwardzistów, których przysłał l'Empereur.

- Wiesz, jeśli chodzi o tę aferę po drodze do Rotterdamu, to l'Empereura pal ichto - opowiadała jej Blanchefleur - ale von Naybor była taka zła! Podobno rozbiła profesorowi fajansowy kominek. Jak tylko wróciliście i przyjechaliście do Amsterdamu, zabrała gdzieś Dominika, nie, nie do więzienia, bo wrócili po paru godzinach. Wtedy rzuciła czymś w stylu „Nie jesteś mi już potrzebny, zakonniku” - Fleur

tak udatnie imitowała głęboki alt wywiadowczyni, że Katarzyna uśmiechnęła się pod nosem – i obróciła się na pięcie, i już jej nie było. Nie widziałam jej od tego czasu, a Erquicia siedział przy tobie albo gdzieś się kręcił. Udało ci się chociaż coś załatwić w tym Rotterdamie?

– Tak, dlatego idziemy właśnie do de Graeffa.

– Och, tak się z tego cieszę! To przepiękna kamienica, zobaczysz!

Amsterdam charakteryzowała ciasna zabudowa, na miejsce dotarły w parę minut. W istocie, kamienica de Graeffów była wielka i piękna – miała aż pięć okien szerokości, co wskazywało na ogromne bogactwo właścicieli. Podatek w mieście płacono od szerokości budynku, dlatego starano się budować jak najwężej, Graeffowie jednak manifestowali swoją potęgę: budynek pysznił się zielonym frontonem i olbrzymimi, pomalowanymi na biało oknami, gęsto przetykanymi kratownicą szyb. Na kanale pod nim nieustannie kursowały łodzie, a plenipotenci i robotnicy Kompanii Wschodnioindyjskiej ładowali i wyładowywali z nich skrzynie, sprawnie przemieszczając je na linach na strych budynku za sprawą sprytnego haka, zamontowanego na jego szczycie.

Przyjął je majordom, wysoki, smukły mężczyzna komenderujący kilkoma czarnoskórymi służącymi. Dziewczęta przyglądały się im z ciekawością, do tej pory niewolników widziały tylko z daleka – w Republice byli symbolem najwyższego statusu, ponieważ stanowili towar zarezerwowany na eksport, i w kraju niemalże ich nie było. Wnętrze budynku ociekało bogactwem: ściany wyłożono portugalskimi *azulejos* i indonezyjskim jedwabiem i wisiały na nich błyszczące świeżością obrazy pędzla haarlemskich mistrzów – świadczące o doskonałym guście właściciela – a na kolumnach w przedpokojach pyszniły się dumnie wazy z chińskiej porcelany. Lokaj zaprowadził je jednak do o wiele skromniejszego pokoju, który pełnił funkcje kantoru. Tu nie było zbyt wiele, a konkretnie – nie było niczego poza rozwieszonymi na ścianach mapami morskimi, kilkoma bogato

zdobionymi krzesłami i wielkim, dębowym biurkiem, przy którym usadzono dziewczęta i nalano im wina.

De Graeff zjawił się po paru minutach.

– Czy jesteś pewna, że chcesz, żeby ta rozmowa miała świadków? – zapytał, siadając po drugiej stronie blatu i zerkając z ukosa na Blanchefleur.

– Nie mam tajemnic przed panną von Barby – odparła chłodno Katarzyna.

Fleur rozbrajająco wyszczerzyła się do starego kupca.

– Wiem i uważam, że w tym właśnie problem. Nieistotne zresztą, jak tam chcesz. Mam rozwiązanie naszego małego kłopotu, i to takie, które wszystkich ustawi w dobrym wietrze. Wystawisz mi akredytywę na swoje osiemset guldenów, a ja sprzedam ci w zamian kilkanaście skrzyń koralików, płótna żaglowego i innego śmiecia. Popłyną do Indonezji, gdzie mój plenipotent w Batawii wystawi fałszywy list kupiecki, według którego towar sprzedano nad wyraz korzystnie za dziesięciokrotność równowartości w pieprzu. Ponieważ w rzeczywistości żadnych przypraw nie będzie, nie musimy się bać, że zgniją w magazynie czy zatoną. Gdy tylko list przyjdzie z Indii, odkupię od ciebie ten fikcyjny pieprz i wystawię z kolei tobie akredytywę na osiem tysięcy guldenów, którą zrealizujesz u Weslerów. Pięć-sześć takich kursów i będziesz miała swoje czterdzieści tysięcy, czyste jak lza.

– A czy ty przypadkiem nie stracisz tych ośmiu tysięcy? – zapytała podejrzliwie Katarzyna.

– Oddasz mi je w kruszcu, uznałem to za oczywiste.

– A jak ty sam pozbędziesz się tego złota?

– To już mniej istotne i jest moim problemem, a co za tym idzie, nie powinno cię interesować. Mam swoje sposoby.

– No dobrze, a ile to potrwa?

– Rejs do Batawii i z powrotem trwa pół roku. Dla pozorów trzeba też będzie robić przerwę, żeby się nie okazało, że każda twoja inwestycja zwraca się dziesięciokrotnie... Powiedzmy cztery, pięć lat.

Zapadła chwila niezręcznego milczenia, w czasie którego Katarzyna z zakłopotaniem patrzyła na popijającego wino burmistrza.

- Eee... chyba się nie zrozumieliśmy, dyrektorze. Ja potrzebuję pieniędzy teraz. W ciągu najbliższego miesiąca.

De Graeff popatrzył na nią jak na idiotkę.

- Słucham? O tym nie było mowy. - Zirytował się. - Moja droga, to mrzonka, nie da się zrobić takiego przekrętu w kilka dni. Uwierz mi, że wiem, co mówię.

- Ale musi być jakiś sposób!

- Jestem kupcem od czterdziestu lat i nigdy nie słyszałem o żadnym biznesie, legalnym czy nie, który tak szybko przyniósłby taką stopę zysku. Giełda to nie jest jakiś magiczny aparat do robienia pieniędzy!

- Proszę kupić od niej tulipana - wtrąciła się Blanchefleur.

Oboje popatrzyli na nią, zaskoczeni. Nie speszyło to dziewczyny.

- Proszę kupić tulipana - powtórzyła. - Nikt nie kontroluje, ile one kosztują. Dopiero co van der Bareveldt kupił cebulkę *Semper augustus* za dwa tysiące guldenów. Skoro można za kwiatek zapłacić dwa tysiące, to czemu nie dwadzieścia tysięcy? Katarzyna kupi jakieś przypadkowe cebulki na targu za grosze, po czym profesor Vorstius wystawi ekspertyzę, że to jakiś tam tulipan królewski z fioletowymi plamkami albo innym czarnym paskiem. Już ja się postaram, żeby uciszyć jego wyrzuty sumienia. Wtedy pan, panie de Graeff, kupi te cebulki po, dajmy na to, pięć tysięcy sztuka, razem z certyfikatem autentyczności. Katarzyna dostanie pieniądze, pan dostanie złoto i cebulki, które pewnie się potem sprzedadzą, a w dodatku wzrośnie wartość pana własnych tulipanów.

- Fleur - wysyczała przez zęby Katarzyna, nie mogąc słuchać, jak przyjaciółka robi z siebie kretynekę - zamilknij, proszę.

- Nie, nie - zaprotestował de Graeff, który patrzył na dwórkę jak urzeczony. - Ale, moja droga, jest jeden problem: ja nie mam żadnych tulipanów, nie inwestuję w takie bzdury.

– No to pora zacząć – odparła Fleur wesoło. – Jeśli teraz kupi pan naprawdę cenne cebulki za półdarmo, to po takiej gigantycznej transakcji, o której wszyscy usłyszą, ich ceny wyskoczą w górę i sprzeda je pan z zyskiem, a wtedy te fałszywe od Katarzyny będzie można nawet utopić w ustępie.

Burmistrz patrzył na nią jak w święty obraz.

– To albo idiotyczne, albo genialne w swojej prostocie.

– Poważnie to rozważasz? – Katarzyna popatrzyła na niego, zszokowana.

– Oczywiście, przecież to świetny pomysł. W dodatku opłacalny dla mnie jeszcze bardziej niż pranie twojego złota. Jedyne, co mnie powstrzymuje, to oczywiście nadszarpnięta reputacja, ale przecież mam wystarczająco wiele wpływów, a koniec końców i tak nie będę stratny, co jest na swój sposób genialne. Poza tym, mając taki pomysł, jeśli nie skorzystacie z moich usług, pójdziecie do innego rentiera, a ja stracę okazję do zarobku, z czego panna von Barby niewątpliwie zdaje sobie sprawę. – Pokręcił głową z uśmiechem i zwrócił się do dwórki: – Moja droga, złapałaś mnie jak śledzia. Nie mam jak uciec.

Katarzyna ledwo wierzyła w to, co usłyszała, tymczasem Fleur uśmiechała się szeroko, dumna z siebie. Szybko ustalili szczegóły transakcji, kupnem cebulek i urobieniem Vorstiusa miała zająć się Blanchefleur. Umówili się na wymianę za dwa dni. Dziewczęta dopiły wino i wyszły, żegnane głębokim ukłonem de Graeffa, który nabrał do nich trochę respektu.

– Fleur, jesteś genialna. – Katarzyna uściślała przyjaciółkę, gdy tylko przeszły na drugą stronę kanału.

Dwórka się zaśmiała.

– Do usług! – zawołała. – W końcu na coś się przydało słuchanie nudnych kupców na kolacjach.

– Ale skąd wiedziałas, o czym w ogóle rozmawiamy?

– To, co proponował ci de Graeff, to popularne rozwiązanie wśród dowódców, którzy wbrew rozkazom nałupili złota w czasie wojny. Wiem

o tym od Ruperta, sam tak robił. Jest w Amsterdamie paru kupców, którzy specjalizują się tylko w takich transakcjach. Domyśliłam się więc, że masz skądś jakieś nie do końca legalne pieniądze. A nawiasem mówiąc, skąd?

– To, hm, skomplikowane.

– Nie musisz mi mówić. – Dwórka uśmiechnęła się promiennie do Katarzyny. – I tak cię kocham. A teraz idę kupić twoje tulipany.

Zniknęła, jak to miała w zwyczaju, jak błyskawica. Von Besserer wróciła natomiast do mieszkania Cunaeusa, irytowana przez dwóch gwardzistów przy mieczach, łąjących za nią krok w krok. Na miejscu czekał na nią Erquicia wraz z gospodarzem i nieznanym jej blondynem z wielkim, kartoflowatym nosem.

Dopiero teraz miała okazję rozejrzeć się po nowym lokum. Prawnik nie mieszkał co prawda tak bogato jak de Graeff, ale z pewnością dostatnio. Zajmował dwa piętra wąskiej kamienicy przy jednym z największych kanałów Amsterdamu. Na parterze znajdowały się kuchnia i pokój do pracy, szumnie nazywany gabinetem, a na piętrze wynajmował dwie sypialnie i salon, w którym właśnie siedzieli. Było to obszerne pomieszczenie, doskonale oświetlone dzięki wysokim oknom, z zieloną tapiserią i spektakularnie długimi, czerwonymi zasłonami. Umeblowane po mieszczańsku, a więc skromnie i ze smakiem: szafa i sekretera miały piękne intarsje, a ustawione pod ścianami krzesła obito pasującym do ścian sukniem. Katarzyna zajęła jedno z nich i przyjęła kielich wina, który podał jej Cunaeus, mierząc ją troskliwym spojrzeniem. W fajansowym kominku wesoło strzelał ogień, było ciepło i przytulnie.

– Jak się czujesz? – zapytał Erquicia, kręcąc kielichem i nie patrząc na nią.

Uświadomiła sobie, że nie bardzo wie, jak odpowiedzieć na to pytanie. Nie czuła się źle, ale z całą pewnością nie czuła się też dobrze. W istocie, miała wrażenie, że w ogóle się nie czuła. Skupiona? Może to dobre słowo? Odpowiedziała jednak:

- O wiele lepiej, dziękuję.

- Ten tu obecny mężczyzna - Erquicia wskazał blondyna i jego nos - to pan van der Staats, specjalista w wielu pożytecznych dziedzinach. Udało mi się z nim skontaktować i bardzo ucieszył się, że, hm, zmieniłem pracodawców, ponieważ, jak mi wyznał, zapałał do mnie serdeczną sympatią, ale nie uśmiechało mu się robienie interesów z zakonem.

- Nie ująłem tego tylko tak zgrabnie jak biegły w wymowie pan Santiago - dodał ironicznie blondyn.

- Mówiłem ci, że nie nazywam się wcale Santiago.

- Mówiłem ci, że nie nazywam się wcale Staats. - Zaśmiał się i skłonił Katarzynie. - Do usług szanownej pani. Nie uwierz pani, ile się o niej nasłuchiwałem.

- Uwierzę - mruknęła Katarzyna, nie do końca zadowolona z obecności gościa. Nie rozumiała, po co Erquicia sprowadził tu tego jowialnego mieszczanina. - Czym dokładnie się pan zajmuje?

- Powiedzmy, że działamy w tej samej branży, tylko ja jestem wolnym przedsiębiorcą.

- Van der Staats jest precyzjologiem... eteromantą, znaczy się - poprawił się Erquicia. - Co ważniejsze jednak, świadczy bardzo wiele specyficznych usług związanych z tą dziedziną. Znajduje trudno dostępne reagenty, oferuje aramejskie słowniczki, handluje efektami, pośredniczy w kontraktach i zleceniach, wreszcie: jest całkiem niezłym szpiegiem i detektywem. Jak możesz się domyślić, będzie dla nas bezcenny.

- Ano, w istocie - podjął blondyn. - Pan Santiago wyjaśnił mi już w paru krótkich zdaniach, czego ode mnie chce, i miło mi donieść, że jest to wykonalne. Więcej nawet: moim zdaniem nie musicie wcale czekać na falę emigracji z Anglii. Ci, którzy stamtąd przyjadą, przydadzą się, rzecz jasna, ale od ręki mogę znaleźć mnóstwo osób w samej Holandii, które pójną na waszą propozycję.

- Jak to? Kogo masz na myśli?

- Różnie. Wy, na uniwersytetach i w zakonach, zdajecie się zapominać, że świat się nie kończy na ich murach. Nie sądzą państwo chyba, że dominikanie i Lejda mają monopol na eteromancję? Znam przebrzmowionych alchemików, renegatów z zakonu, sjungonderskich dezertów, magików cyrkowych i mnóstwo ludzi takich jak ja, którzy po prostu zwietrzyli interes i postanowili się nim zająć. Oczywiście wszyscy udają, że nas nie ma, ale, cóż za niespodzianka, uporczywie nadal jesteśmy. To z takich ludzi chcecie skomponować swój oddziałek. Większość z nich nie będzie miała przeszkolenia wojskowego, ale za to będzie wierna tylko guldenowi, a o to przecież chodzi.

- Co sądzisz o tym pomysle? - zwrócił się Erquicia do dziewczyny.

- Brzmi dobrze. - Z wahaniem kiwnęła głową. Jeżeli chciała rządzić, musiała nauczyć się wierzyć w kompetencje innych. Chociaż tyle wiedziała z lektury Marka Aureliusza.

- Doskonale! - Van der Staats gwałtownie wstał z krzesła. - W takim razie ja biorę się do roboty i już nie przeszkadzam wam w, eee, grze w szarady czy czym tam arystokraci zajmują się wieczorami.

Gdy wyszedł, Katarzyna pobiegła za nim.

- Staats - powiedziała, gdy stali już w korytarzu i była pewna, że Cunaeus nic nie słyszy. - Mam do ciebie prośbę. Czy mógłbyś kupić mi trochę ołowiu?

- Pewnie. - Nawet nie mrugnął. - Ile? Uncję, funt?

- Dwieście dwufuntowych sztab.

Popatrzył na nią dziwnie.

- Eee... no dobra, nie ma problemu. Gdzie dostarczyć?

- Do mojej pracowni w Lejdzie. Najlepiej w jakichś skrzyniach. Koniecznie jutro rano. Przekażę ci akredytywę przez służbę.

- Zrobi się.

Katarzyna stwierdziła, że polubi pośrednika - nie zadawał zbędnych pytań, na które nieustannie musiała sztykować sobie odpowiedzi, gdy rozmawiała z kim innym. Gdy się ulotnił, wróciła do salonu. Cunaeus

z Erquicią omawiali właśnie jakiś temat teologiczny i chyba nie mogli znaleźć wspólnego języka. Bezlitośnie przerwała im dyskusję. Prawnik zrozumiał najwyraźniej, że tylko przeszkadza, i wyszedł.

- Widzę, że nie próżnowałeś przez czas, kiedy chorowałam - zwróciła się do Erquicii.

- Owszem, nie próżnowałem. Udało mi się, nie bez problemów, przekonać von Naybor, że powiedziałem jej już wszystko, co wiem. Pomógł mi w tym zamach na mnie, bo uświadomił jej, że jestem spalony.

- Masz pomysł, czemu właściwie nie wsadziła cię do więzienia?

- Tak, powód jest banalnie prosty. Każdego dominikanina, którego protestanci schwytali, zakon uwalniał albo zabijał w ciągu kilku dni. Sam wykonywałem takie misje. Zakonnicy zinfiltrowali wszystkie wywiady państw północy, a co za tym idzie, więzienia. Chciała tego uniknąć, trzymając mnie z dala od kazamatów, w których znaleziono by mnie bez problemów. Ale, jak widać, niewiele to dało.

- Myślisz, że to nie koniec?

- Teraz na chwilę mamy spokój. Dawno się nie zdarzyło, żeby oddział dominikanów pokpił sprawę. Jesteśmy, to znaczy oni są, przeraźliwie skuteczni. Ale Tilenheim nie odpuści. Osobiście nienawidzi mnie od dawna, a teraz w dodatku stałem się bardzo szkodliwy i, hm, stawiam go w niezręcznym położeniu. Ty z kolei jesteś jego osobistą porażką, a ma wyjątkowo słabą tolerancję na niepowodzenia. Na razie, jako nowy generał, nie ma na tyle dobrej pozycji, żeby wysłać za nami armię zabójców, ale prędzej czy później to zrobi.

- Dobrze byłoby się przygotować.

- To prawda. Znasz jakies bojowe precyzja?

- Nie bardzo. To znaczy znać znam, ale nie mam doświadczenia.

- W takim razie poćwiczmy. Potrzebuję jeszcze tylko paru dni i będę mógł się więcej ruszać. Tymczasem mamy, a raczej ty masz,

jeszcze jeden poważny problem do rozwiązania: nic ci po eteromantach bez obstawy. Potrzebujesz wojska.

– Mam umowę z Karolem Ludwikiem Wittelsbachem.

– Ach, synem Zimowego Króla? Zachciało mu się odzyskać Palatynat?

– Dziwisz mu się?

– Niespecjalnie. Ale to nie będzie proste: Heidelberg jest kluczowy dla każdego ataku Habsburgów na Północ, nie oddadzą go łatwo. Ferdynand musi stwierdzić, że nie opłaca mu się z wami wojować.

– Zadbamy i o to. Tak czy inaczej, jak widzisz, wszystko się jakoś składa.

– Nie do końca. Po pierwsze, uzyskaj od Wittelsbacha jakieś potwierdzenie. Same obietniczki nie wystarczą. Po drugie potrzebujemy miejsca, w którym będziemy mogli spokojnie przeszkolić eteromantów.

Popatrzyła na niego pytająco.

– Trzeba postawić obóz, sformować z nich oddział, nauczyć ich walki w formacji. Nie możesz tak po prostu zacząć skrzykiwać wojska na terenie obcego kraju – tłumaczył cierpliwie Erquicia. – To wymaga przywileju rekrutacyjnego, a jeśli chcemy to zrobić w Holandii, udzielają go wyłącznie stadhouderowie prowincji, czyli aktualnie albo Fryderyk Henryk, albo młody Henryk. Niezależnie od sympatii, którą do ciebie żywią, nie sądzę, żeby poszło z tym łatwo, bo taki przywilej ma dość duże znaczenie polityczne.

– Nie możemy tego zrobić w przygranicznych księstwach? W Kleve albo Bergu? Odkąd wymarli Jülichowie, to teraz niemalże ziemia niczyja.

– Nie do końca. Kleve jest *de facto* pod okupacją Holandii, Jülich Francji, a w Bergu rządzi arcybiskup Trewiru, który, jak się domyślasz, nie będzie chętny do współpracy. Zresztą to bardzo ryzykowne. Jeżeli ktoś, czyli Habsburgowie albo Bawarczyki, zorientuje się w sytuacji, będzie mógł po prostu zmieść obóz z powierzchni ziemi i zostaniemy z niczym. Holandia jest bezpieczniejsza.

- Dobrze, porozmawiam w takim razie z Henrykiem.
- Musisz mu złożyć bardzo dobrą ofertę, nie do odrzucenia. Inaczej nic z tego nie będzie.
- Mam pewien pomysł. Zostaw to mnie.
- Jak sobie życzysz. - Hiszpan zasalutował jej kielichem.

*

Katarzyna z samego rana napisała list do Karola Ludwika, w którym donosiła, że zdoła dotrzymać swojej części obietnicy, i poprosiła go o wizytę w Amsterdamie. Blanchefleur miała już swoje tulipany - kupiła je za piętnaście guldenów na targu kwiatowym na nabrzeżu - wsiadły więc do podstawionej przez Cunaeusa dwukółki i ruszyły do Lejdy.

- Nie wiem, co kombinujesz - powiedział do Katarzyny prawnik tuż przed wyjazdem - ale uważaj na siebie. Coś mi się widzi, że mierzysz trochę za wysoko.

- Niech cię o to głowa nie boli - parsknęła dziewczyna w odpowiedzi.

Zdawała sobie sprawę, że jej działania z perspektywy osób postronnych musiały wydawać się absurdalne, ale wiedziała swoje i cieszyła się, że wszystko zaczyna się składać w całość. Jeżeli znajomi z uniwersytetu mieli uznać, że jej odbiło - trudno. Nie mogła przecież tłumaczyć każdemu, co się święci, bo cała operacja skończyłaby się fiaskiem.

Nagle wstała i zerwała zasłonkę, która oddzielała wnętrze ekwipażu od ulicy. Blanchefleur spojrzała na nią, zdziwiona, stangret również się obejrzał.

- Kasiu? Wszystko w porządku?

Von Besserer nie odpowiedziała, patrząc na strzęp sukna w swojej ręce. Wzdrygnęła się, jakby coś ją ugryzło, i wyrzuciła szmatę na ulicę. Resztę drogi przejechały w milczeniu.

Gdy dojechały na miejsce, w kuchni przywitał je l'Empereur, wyrażając głęboką radość z faktu, że nic im nie jest i że bezpiecznie

dotarły na miejsce. Dorzucił też kilka absurdalnych frazesów o tym, że kiedyś holenderskie gościńce były bezpieczniejsze. Katarzyna poprosiła go o chwilę rozmowy.

– Bardzo mi przykro, profesorze, ale odchodzę – powiedziała bez żadnych wstępów.

– Spodziewałem się tego. – L’Empereur posmutniał. – Jest mi z tego powodu bardzo przykro, ale życzę ci wszystkiego najlepszego. Zdajesz sobie oczywiście sprawę, że muszę o tym napisać wielkiemu stadhouderowi?

– Śmiało. Najwyżej się pogniewa. Ale nie sędzę, bo chyba nie bardzo zdaje sobie sprawę z mojego istnienia.

– Nie miej mu tego za złe, Fryderyk ma wiele na głowie. Co zamierzasz dalej?

– To skomplikowane i o wiele bardziej polityczne niż naukowe, więc obawiam się, że leży poza horyzontem zainteresowań profesora.

– Innymi słowy, nie chcesz albo nie możesz mi powiedzieć. – Korpulentny akademik posmutniał jeszcze bardziej, aż jej samej zrobiło się przykro. – Trudno. Chcę tylko, żebyś wiedziała, że byłaś najlepszą i najbardziej pojętną studentką, jaką kiedykolwiek miałem.

Katarzyna wzruszyła się tak, że aż poczuła łyzy wierzące się w kącikach oczu. Przez ostatnie pół roku zdążyła naprawdę polubić tego ciepłego mężczyznę. Przez jego wrodzoną dobrotliwość i skłonność do egzaltacji nie traktowała go nigdy zbyt poważnie, ale nauczył ją mnóstwo i dał jej schronienie wtedy, kiedy tego potrzebowała. Nie wytrzymała i wbrew wszelkiej etykiecie bardzo mocno przytuliła l’Empereura, próbując przekazać mu to, czego nie umiała powiedzieć. Poklepał ją po plecach, zakłopotany.

– No już, dziewczyno, już. Zobaczmy się przecież jeszcze.

– Przepraszam, jeśli się wtrącam – wtrąciła się Blanche fleur z właściwym sobie absurdalnym brakiem taktu – ale czy zastałam może profesora Vorstiusa?

– Hmm? Vorstius, tak. Powinien być w swoim gabinecie.

- W takim razie przepraszam najmocniej. - Dwórka dygnęła i pobiegła na drugą stronę ulicy, na uniwersytet.

- Czy mogę skorzystać jeszcze z pracowni?

- Oczywiście. Przyszły do Ciebie dzisiaj rano jakieś skrzynie.

- Tak, wiem, zabiorę je ze sobą. Bywaj, profesorze.

- Bywaj. Ale uważaj na siebie. Wynajmij eskortę, zwłaszcza po ostatnich wydarzeniach. I módl się dużo. - Do ostatniej chwili nie mógł przestać jej pouczać.

Odszedł ciężkim krokiem w kierunku budynku uczelni, a dziewczyna weszła na piętro. Rozejrzała się po pokojach, w których mieszkała przez ostatnie miesiące. Uświadomiła sobie, że prawie nie ma rzeczy osobistych - jej parę sukni i książek można było zapakować do jednej niewielkiej skrzynki. Przez moment zrobiło jej się smutno, że tak okrutnie okradziono ją z normalnego życia. Ale to uczucie szybko ustąpiło miejsca zimnej determinacji, która kwitła w niej od dłuższego czasu. Kilkoma zdecydowanymi ruchami wrzuciła ubrania do kuferka i poszła do pracowni.

Zgodnie z obietnicą czekały tam na nią dwie wielkie skrzynie ołowianych, dwufuntowych sztab. Poczowała podniecenie, świadoma, że w tych skrzyniach spoczywa cała jej nadzieja, ale gdy tylko je otworzyła, jej zapał ostygł. Musiała rzucić ten sam efekt dwieście razy, więc czekała ją nieciekawą, mozolną robotą. Westchnęła, przystawiła sobie krzesło i wzięła do ręki pierwszą sztabkę.

Praca zajęła jej dwie godziny. Katalizatorem było prawdziwe *aurum*, więc po prostu włożyła na palec złoty pierścień, który otrzymała kiedyś od Blanchefleur. Mimo tego ułatwienia, musiała każdy kawałek ołowiu wziąć do ręki i rzucić efekt - a raczej dwa efekty jednocześnie - a następnie odłożyć ołów i powtórzyć czynność z następną sztabką. Okazało się to potwornie nudne. A ponieważ sztabki ważyły sporo, nieprzywykłe do wysiłku mięśnie rąk szybko zaczęły ją boleć, aż podnoszenie kolejnych fragmentów metalu stało się mordęgą. Kiedy skończyła, łupało ją w głowie i krzyżu i czuła rwanie w ramionach. Nie

ożywiał jej nawet widok dwóch wielkich skrzyń wypełnionych po brzegi złotem.

Zamknęła je na skoble i wezwała służącą. Poleciała jej, żeby zamówiła tragarzy i łódkę, która spławi ciężki ładunek do Amsterdamu. Ponieważ o złocie nikt nie wiedział, a w dodatku zawsze mogła wytworzyć go sobie więcej, kompletnie nie przejmowała się jego bezpieczeństwem. Blanchefleur czekała już na nią w kuchni. Jak się okazało, Vorstius miał pewne opory przed zhańbieniem swojego naukowego autorytetu i sfalszowaniem certyfikatu, ale Niemka po prostu zanudziła go gadaniną, tak bardzo, że szybko zmiękł, byle dała mu święty spokój. W efekcie stały się właścicielkami sześciu cebulek *Semper karolinus*, bezcennego tulipana ze stepów Mongolii.

Zgłodniały, więc przed drogą powrotną do Amsterdamu poprosiły jeszcze służki o coś do jedzenia. Skromne niderlandzkie dziewczyny zdążyły się z nimi zżyć, więc ugościły je po królewsku: podały pieczone kuropatwy, baraninę, kandyzowane figi, świeże pieczywo, kilka rodzajów sera i odkorkowały jedno z lepszych win z piwniczki. Zanim Katarzyna i Fleur zdążyły się najeść, zjawili się Vorstius i inni profesorowie, a nawet sam rektor Thysius, aby się pożegnać. A ponieważ uprzejmi Holendrzy nie odmawiają posiłku, obiad zmienił się w małą ucztę, w czasie której nieustannie ktoś wchodził i wychodził, aż finalnie profesorowie wymieszali się z żakami i mieszczanami z pobliskich kamienic.

- Nigdy nie ukrywałem - mówił rektor, usiłując wytrzepać okruszki chleba z kryzy - że byłem bardziej niż sceptyczny w stosunku do pomysłu l'Empereura, żeby przyjąć panienkę na naszą uczelnię. Nie ukrywam też, że cieszę się, że ten niebezpieczny precedens dobiega końca. Ale liczę na to, że panienki nie zapomną o Lejdzie i odwiedzą nas za każdym razem, gdy będą w pobliżu. - Wzniósł kielich w ich stronę.

Profesorowie uśmiechali się pod nosem. Wszyscy doskonale wiedzieli, że konserwatywny Thysius w życiu nie przyzna się do tego

głośno, ale będzie tęsknił za dziewczętami. One też o tym wiedziały, więc uprzejmie odwzajemniły toast. W końcu, po dobrych kilku godzinach, gdy wszystkie wyrazy uszanowania, pozdrowienia i zapewnienia o wiecznej przyjaźni zostały wymienione, udało im się ruszyć w stronę wyjścia.

Zanim jednak wyszły na ulicę, do kamienicy wparowała nagle Joanna von Naybor, powiewając blond włosami.

- Czego chcesz? - burknęła podejrzliwie Katarzyna.

- Porozmawiać - odpowiedziała chłodno szpieżka. - Ale chodźmy stąd i jedźmy gdzie indziej, bo od Lejdy chce mi się rzygać.

Rozdział XV

Karol Ludwik zjawił się w mieszkaniu Cunaeusa niezapowiedziany. Katarzyna z Blanchefleur jeszcze nie wróciły z Lejdy, a nawet Erquicia nie był tak bezczelny, żeby odprawić nominalnego księcia Rzeszy, z braku lepszego wyjścia przyjął go zatem w salonie. Przez paręnaście minut męczyli się okropnie, Hiszpan nie chciał się przyznawać, kim jest, więc kluczył, jak potrafił, przez co rozmowa się nie kleiła. Dopiero pojawienie się gospodarza uratowało sytuację.

Wittelsbach okazał się dla prawnika wyjątkowo wdzięcznym partnerem do rozmowy, ponieważ Cunaeus specjalizował się w teorii ustrojów i chętnie opowiadał młodemu księciu o możliwych rozwiązaniach społecznych w ramach republik, z kolei książę entuzjastycznie konfrontował swoje pomysły na rządy z o wiele bardziej odczytanym naukowcem. Erquicię rozmowa trochę nudziła, ale słuchał grzecznie, z niejakim zdziwieniem zauważając, że niepozorny książę ma bardzo dużo oleju w głowie i że w gruncie rzeczy jest przyzwoitym człowiekiem. Najwyraźniej wygnanie i życie pariasa na obcych dworach oszczędziło mu problemów związanych z typowym szlacheckim wychowaniem, prowadzącym zazwyczaj prosto do zidiocenia i przerostu ego.

Dyskusję przerwał im trzask drzwi i dźwięk podniesionych damskich głosów na korytarzu. Po paru sekundach do salonu jak furie wpadły von Naybor i Katarzyna, obie wściekłe nie na żarty. Za nimi wśliznęła się błada Blanchefleur i szybko zajęła strategiczne miejsce w kącie.

- Nic mnie to nie obchodzi! A tak w ogóle, to nikt cię nie zapraszał do domu, więc z łaski swojej spierdalał! - krzyknęła Katarzyna,

wymachując rękami. Pojedyncze kosmyki wymknęły jej się z koka i latały dokoła twarzy jak złocista woalka.

- Albo dostosujesz się do decyzji stadhouderatu - odpowiedziała von Naybor z dłońmi zaciśniętymi w pięści, głosem, który wydawał się mrozić powietrze - albo dotrzymam słowa i nie zostaniesz w Niderlandach nawet kolejnej doby.

- Będę tu siedzieć, ile mi się będzie podobało! Nie masz prawa mnie nawet dotknąć, jestem niemiecką grafiną, do kurwy nędzy!

- W dupie to mam, to jest Holandia, a nie jakiś szwabski wypizdów!

- Przepraszam najmocniej... - wtrącił się Erquicia, wchodząc między nie. - Czy możecie się odrobinę uspokoić? Jeżeli nie zauważyłyście, mamy gościa. - Wskazał na Karola Ludwika, z zakłopotaniem bawiącego się guzikiem kaftana.

Von Naybor zakłęła, ale skłoniła się księciu.

- Wasza Książęca Mość, proszę o wybaczenie. Nie spodziewałam się tutaj ujrzeć Waszej Książęcej Mości.

- Ale tu jestem. - Karol Ludwik się skrzywił. - Więc może pani usiądzie i napije się wina? Proszę wybaczyć - zwrócił się do Cunaeusa - że tak się rządę.

Prawnik zareagował lekceważącym machnięciem ręki, dając znak, że okoliczności pozwalają na odejście od etykiety.

Damy dały się usadzić na krzesłach, ale powietrze między nimi aż trzeszczało od powstrzymywanej wściekłości. Zapadła długa chwila milczenia. Von Naybor wyglądała, jakby liczyła do dziesięciu, żeby się uspokoić.

- Komunikowałam właśnie panie Katarzynie - odezwała się w końcu głosem pełnym tłumionej złości - że ma przestać robić to, co robi, cokolwiek to właściwie jest.

- A skąd, jeśli mogę zapytać, wzięła się ta dyspozycja? - zapytał uprzejmie książę.

- W ciągu ostatnich dni nasza młoda eteromantka - spojrziała z nienawiścią na Katarzynę - odeszła z uniwersytetu, na którym pozostawała w służbie wielkiego stadhoudera, dwukrotnie spotkała się z jednym z liderów republikańskiej opozycji, nagabywała Waszą Księżęcą Mość i jej matkę, wmieszała się w bójkę z zabójcami zakonu, a teraz, jak się okazuje, mieszka w mieszkaniu nałogowego hazardzisty i kurwiarza, w dodatku z dominikańskim renegatem. - Machnęła dłonią w stronę Hiszpana. - Niezależnie od tego, do czego prowadzą te działania, z oczywistych powodów budzą zastrzeżenia służb orańskich. Szczególnie Wasza Księżęcą Mość powinna zdawać sobie z tego sprawę i uważać na to, z kim przebywa. - Von Naybor podkreśliła z emfazą słowo „szczególnie”.

- Co? Jak to szczególnie? Co to ma znaczyć? - wzburzyła się Katarzyna.

Karol Ludwik zaczerwienił się i westchnął.

- Katarzyno, czy ci ludzie są godni zaufania? - zapytał, wskazując na Erquicię i Cunaeusa.

Zanim Niemka zdążyła otworzyć usta, jej oponentka się wtrąciła:

- Nie, nie są! Cunaeus to znany plotkarz i jebaka, proszę wybaczyć, profesorze, taka prawda, a ten tutaj to uciekinier z zakonu kaznodziejskiego, który nie zdechł na torturach tylko dlatego, że i tak zaraz dopadną go jego konfratry!

Księżę zignorował ten wybuch i zwrócił wzrok na Katarzynę. Ta była tak wściekła, że ledwo mogła usiedzieć na krześle. Nadludzkiem wysiłkiem zmusiła się, żeby w miarę spokojnie odpowiedzieć:

- Tak, to moi... współnicy. Doradcy.

- W takim razie uznaj to, co powiem, za akt zaufania i dobrej woli, bo nie jest to informacja, którą chciałbym się dzielić z byle kim. - Niemiecki wygnaniec ponownie westchnął. - Chciałaś wiedzieć, skąd wezmę armię. Otóż, wbrew twoim przypuszczeniom, mój wuj, król Anglii, lubi mnie o wiele bardziej, niż mogłabyś sądzić. Oddał mi pod dowództwo korpus ekspedycyjny złożony z piętnastu tysięcy Szkotów.

Pani von Naybor zaś swoim komentarzem nawiązała do tego, że Fryderyk Henryk dwa dni temu udzielił mi pozwolenia na wyładunek żołnierzy w porcie w Hoorn, co, rzecz jasna, jest konkretną deklaracją polityczną. Doskonale rozumiem pani zastrzeżenia – zwrócił się do wywiadowczynie – ale apeluję o minimum zaufania, skoro jesteśmy związani sojuszem. Tak się bowiem składa, że panna Katarzyna jest z kolei moją sojuszniczką. Zaoferowała mi pomoc w wyprawie do Niemiec.

Joannę von Naybor zatkało – najwyraźniej nie było to coś, czego się spodziewała. Jej umysł, od lat pracujący na rzecz wywiadu, wietrzył spiski i zdrady wszędzie, gdzie tylko się dało, więc stworzyła już sobie w głowie apokaliptyczne wizje szkockich highlanderów zdobywających Amsterdam na rozkaz szalonych niemieckich uciekinierów, którzy prehandlowali holenderską swobodę za zwrot swoich skonfiskowanych przez Habsburgów ziem. A także kilka innych scenariuszy, z których każdy kończył się źle dla niej i dla jej mocodawców.

Gdy Katarzyna usłyszała, że Karol Ludwik się za nią wstawia, a potem ujrzała wyraz zdumienia na twarzy swojej blond adwersarki, uspokoiła się i odetchnęła. W powozie wiozącym je do Amsterdamu, kiedy von Naybor dała jej do zrozumienia, że poważnie rozważa zamknięcie jej w więzieniu albo wygnanie z Siedmiu Prowincji, Katarzyna dostała szału. Pomijając fakt, że impertynencja i pełna godności nietykalność wywiadowczynie działały jej na nerwy, nie mogła znieść myśli, że ta zimna suka pokrzyżuje jej plany.

Korzystając z faktu, że na chwilę zapanował spokój, Ludwik Karol streścił szpieżce ich pomysł na wiosenną kampanię. Kobieta co rusz marszczyła brwi i wyglądała na poirytowaną, ale wysłuchiwała cierpliwie do końca. Cunaeus natomiast, który do tej pory nie miał o niczym pojęcia, siedział z komicznie rozdziawionymi ustami i gapił się na Katarzynę, najwyraźniej usiłując jakoś połączyć drobną dziewczynę z szeroko zakrojonymi planami politycznymi.

Gdy książkę skończył opowiadać, von Naybor natychmiast naskoczyła na Niemkę:

– Po cholere w takim razie kombinujesz coś z de Graeffem? Nie pomyślałaś, że to będzie wyglądać co najmniej podejrzanie?

– Sprzedaję mu tulipany, dzięki czemu sfinansujemy kampanię – odparła chłodno Katarzyna.

– Bzdura – ucięła ostro von Naybor. – De Graeff nie handluje tulipanami, jak zresztą żaden rozsądny kupiec.

– I tutaj pierwszy raz nie jest pani na bieżąco – wtrącił się Cunaeus, któremu udało się opanować pierwsze zaskoczenie – bo dzisiaj rano kupił kilkaset cebulek, o czym gada całe miasto. Ceny niektórych już zdążyły skoczyć dwukrotnie.

Kobieta spojrzała na niego z niechęcią.

– I ile tych tulipanów zamierzacie mu sprzedać, żeby wystawić za to oddział eteromantów, milion?

– Sześć.

Wywiadowczyni parsknęła, a Karol Ludwik spojrzał z niepokojem w stronę Katarzyny.

– Cena – wtrąciła się Blanchefleur – to pięć tysięcy guldenów za sztukę.

Wszyscy popatrzyli na nią z niedowierzaniem.

– Namówiłyście de Graeffa – odezwał się po chwili Cunaeus – żeby kupił od was cebulki tulipanów za trzydzieści tysięcy guldenów? Muszę przyznać, moje drogie, że was nie doceniałem. – Wypił wino z kielicha jednym haustem.

*

Dyskusja przeciągnęła się do późnej nocy. Von Naybor bezlitośnie punktowała problematyczne części ich planu, a Cunaeus konsekwentnie wydobywał jego dobre strony. W efekcie udało im się ustalić mnóstwo szczegółów, które wcześniej pozostawały niejasne. Wywiadowczyni trochę się uspokoiła i przestała co chwila straszyć

więzieniem i wygnaniem, a nawet dała kilka dobrych rad. Ostatecznie jednak na tapecie pozostał bezlitosny fakt: nie mieli gdzie szkolić eteromantów.

- Nie ma szansy na to, że dostaniecie przywilej rekrutacyjny od któregoś ze stadhouderów. - Von Naybor kręciła głową. - Po prostu nie i już. To nie jest kwestia sympatii. Rzecz w tym, że to robienie koła pióra Gustawowi Adolfowi, a raczej Gustaw Adolf natychmiast tak uzna. Ma obsesję na punkcie swoich sjungonderów i monopolu na eteromancję. Już uniwersytet w Lejdzie jest mu solą w oku, a kiedy usłyszy o najemnych magikach bojowych, dostanie szału. Fryderyk Henryk nie może sobie pozwolić na zerwanie sojuszu ze Szwecją, a już na pewno nie dla jakichś niemieckich przybłędów. Nawiasem mówiąc, to jest największą wadą waszego planu: nie z patałachami gracie.

Miała rację i Katarzyna doskonale o tym wiedziała, tak samo Karol Ludwik. Wkraczając do Niemiec, wejdą między dwie zwalczające się potęgi, które mogą zmiażdżyć ich jak koła zębate łupinę orzecha samą siłą rozpędu. Dlatego potrzebowali niezmiernego wyczucia i dużo szczęścia. Jak dotąd nie mogli narzekać na ich brak, ale - w istocie - problem z miejscem do szkolenia był poważny. Dlatego też Katarzyna zdecydowała się osobiście porozmawiać z Henrykiem Orańskim, w końcu oferował jej pomoc. Karol Ludwik poparł jej pomysł, zwracając uwagę, że stadhouder Fryzji, jako sojusznik, jest już w zasadzie wprowadzony w istotę zagadnienia.

Najpierw jednak dziewczyna udała się do de Graeffa. Dzień wcześniej otrzymał on przesyłkę z Lejdy - dwie skrzynie złota, z których Katarzyna wyjęła to, czego nie pochłonął procent od transakcji, i schowała w piwnicy Cunaeususa. Z samego ranka wraz z Blanchefleur poszły do rodowej kamienicy dyrektora, gdzie szybko i bez zbędnych formalności odebrał od nich cebulki i wystawił akredytywę na trzydzieści tysięcy holenderskich guldenów. Następnie pożegnał się grzecznie i odprowadził je do drzwi, jakby wcale nie zrobił właśnie przekrętu na kwotę odpowiadającą wartości niewielkiego miasta.

Następnie von Besserer listownie zaprosiła Henryka do Amsterdamu i jeszcze tego samego dnia otrzymała wiadomość, że księżę przyjedzie wieczorem. Jako że miała cały dzień na przygotowanie, po śniadaniu udała się na zakupy. Wróciwszy do mieszkania z nową suknią z żółtej tafty i ze skórzanymi trzewikami, wydała kilka dyspozycji van der Staatsowi, który przyszedł po pieniądze i rozkazy, a następnie oddała się rozmyślaniom, starając się ułożyć w głowie możliwie jak najwięcej wariantów czekającej ją trudnej rozmowy. Gdy zegar stojący w kuchni Cunaeusa wybił piątą, zaczęła się przebierać. Chciała zrobić jak najlepsze wrażenie. Wiedziała, że w tafcie prezentuje się wyjątkowo dobrze; korzystnego wizerunku dopełniały włosy, ułożone w efektowną fryzurę z lokami po bokach głowy. Wyszukowana, odesłała służki i Blanchefleur, nalala sobie wina i czekała, patrząc w okno.

Księżę pojawił się po godzinie. Przywitała go w korytarzu, zgodnie z niemieckim obyczajem – formalnie rzecz biorąc, był przecież Niemcem, księciem Nassau, chociaż niewiele w nim z Niemca zostało, nie mówił nawet dobrze w ojczystym języku. Skłonił się dworsko, szelmowsko patrząc jej w oczy spomiędzy sypiących się na twarz blond włosów, które upodabniały go do lwa. Uderzyło ją, na co nie zwróciła wcześniej uwagi, jak młody był to mężczyzna – mógł mieć najwyżej cztery, pięć lat więcej od niej. Do pasa miał przytwierdzony miecz; najwyraźniej się z nim nie rozstawał.

Katarzyna zaprowadziła księcia do salonu i kazała podać więcej wina. Chwilę gawędzili o głupotach. Usiłowała skierować rozmowę na temat, który ją interesował, ale gość unikał tego, jak mógł. Ostatecznie jak zwykle straciła cierpliwość.

– Dobrze, księżę – rzekła poirytowana. – Chciałabym przejść do rzeczy. Na balu u stadhoudera zaoferowałeś mi pomoc. Czy to aktualne?

Henryk siedział rozparty na krześle i popijał wino z kielicha, miecz nieustannie pałętał mu się koło nóg. Patrzył na Katarzynę zmrużonymi

oczami, z uśmiechem, który sprawiał, że wyglądał jak zwierzę szykujące się do ataku. Nie od razu skinął głową.

- Wiesz doskonale, co planujemy z braćmi Wittelsbach, więc wiesz też, że musimy gdzieś ustawić obóz, w którym wyszkolimy swoich eteromantów, bez których całe to przedsięwzięcie jest skazane na porażkę.

- Mhm - mruknął. - I chciałabyś to zrobić w którejś z moich prowincji?

- Owszem. Nie za darmo, oczywiście.

- A co oferujesz w zamian?

- Westfalię.

- Słucham?

- W drodze na południe odbijemy księstwo Westfalii z rąk arcybiskupa Münsteru. Otrzymasz je jako lenno. - Myślała o tym bardzo dużo i uznała, że takie przedsięwzięcie jest wykonalne. Westfalia, *de facto* ziemia niczyja, znajdowała się po drodze i z dużym prawdopodobieństwem nie była silnie broniona; obszar tradycyjnie objęty co roku wojenną zawieruchą nie jest dobrym miejscem do budowy fortyfikacji.

Henryk Orański zaśmiał się cicho. Wstał i podszedł do okna. Przywołał ją władczyim gestem i wskazał niewielką łódź żaglową, zacumowaną na kanale naprzeciwko kamienicy.

- A co, jeśli powiem, że dam ci tę łódkę za całusa? - Musnął dłonią twarz Katarzyny.

- Jest twoja? - Udała, że tego nie zauważyła.

- Nie.

- Więc jak chcesz mi ją dać?

- No właśnie. - Znów się zaśmiał. Podszedł do stojącej na sekreterze tacy z karafą i dolał wina im obojgu. Wrócił pod okno z kielichami. - Dlaczego więc obiecujesz mi Westfalię? Równie dobrze mogłaby to być Saksonia. Albo Królestwo Neapolu, czemu nie?

- To co innego.

- To dokładnie to samo. - Wzniósł kielich. - Dzielisz skórę na niedźwiedziu, moja droga, rozdajesz ziemię i zaszczyty, których nie masz. Nie tak się robi politykę. Kiedy zdobędziesz Westfalię i utrzymasz ją przez dziesięć lat, o, wtedy możemy porozmawiać o jej oddawaniu. Nawiasem mówiąc, po dwóch dekadach wojny to zrujnowane pustkowie, więc nawet wtedy twoja propozycja nie byłaby zbyt kusząca.

- A może...

- Nie. - Pokręcił głową. - Chcesz żebym wszedł w paradę swojemu kuzynkowi, naraził się Anglikom, po części Francuzom oraz republikanom, którzy mają alergię na obce oddziały na terenie Niderlandów. A przede wszystkim Gustawowi Adolfowi, który nie jest kimś, z kim można sobie ot tak zdrzeć. Jednocześnie nie masz mi prawie nic do zaoferowania. Po co więc ściągnęłaś mnie tutaj z Hagi, co, ślicznotko? - Chwycił ją delikatnie za podbródek.

Katarzyna się zaczerwieniła. Aż dotąd nie myślała w ten sposób. W obliczu tego, co powiedział, jej propozycja rzeczywiście przedstawiała się absurdalnie i zła była na siebie, że w ogóle ją złożyła. Złoto też nie interesowało przystojnego księcia, bo miał go dość. Gorączkowo szukała w głowie jakiegokolwiek zasobu, który mogłaby wymienić na korzyści. Tymczasem Henryk najwyraźniej źle odczytał jej rumieniec, bo z uśmiechem zadowolenia wyjął kielich z rąk dziewczyny i zaczął całować ją w szyję.

- Ach - westchnęła zdumiona, gdy nagle dotarło do niej, jak w jego oczach mogło wyglądać jej zaproszenie.

Książę zinterpretował jej westchnienie jako zachętę i zaczął całować mocniej. Zachichotała.

- Podoba ci się? - zamruczał jej do ucha.

- Łaskoczesz - odpowiedziała zgodnie z prawdą.

Zaczął całować usta Katarzyny i położył ręce na jej biuście. Czują, jak przyspieszyło mu tętno, zaczął oddychać szybciej. Nie zamknęła oczu. Widziała jego gładkie, wysokie czoło, czuła, jak jego ręce ugniatają jej

suknię, jakby był kotem. Nie miała pojęcia, co robić, ani jak się z tego wyplątać.

A, dobra. Jeśli to ma pomóc... I tak kiedyś musiało się stać, pomyślała i pozwoliła się dalej całować. W końcu był najlepszą partią w Niderlandach. Poczowała przyływ ciepła.

Naraz oderwał się od niej i rozejrzał po pokoju.

- Gdzie tu jest jakieś łóżko? - wychrypiął podnieconym głosem, od którego zachciało jej się śmiać, ale się powstrzymała. Skinęła głową w stronę drzwi do sypialni. Wziął ją na ręce i zaniósł w tamtym kierunku. Pachniał potem i francuskimi perfumami. Wtuliła twarz w jego wyszywaną złotem kamizelę, nie wiedząc, co innego mogłaby zrobić.

Wsadził ją do szafy do spania i gwałtownym ruchem rozdarł jej taftowy stanik. Szkoda jej się zrobiło drogiej sukni. Patrzyła w sufit skrzyni i usiłowała się nie śmiać, kiedy całujące ją po piersiach usta trafiały we wrażliwsze, łaskoczące miejsca. Było to nawet przyjemne. Kiedy doszedł do sutków, bardzo przyjemne. Instynktownie szarpnęła jego kubrak. W odpowiedzi zrzucił go razem z koszulą, ukazując blade, muskularne ciało. Zaplątał się w pendent i zaklął, na co parsknęła śmiechem, tak komicznie to wyglądało. Odpiął go i dysząc, rzucił się z powrotem do jej dekoltu.

Zadarł jej wysoko suknię i halki i dopadł ustami do jej cipki. Poczowała jego sztywny język i momentalnie zwilgotniała. Wydało jej się to nieprzyzwoite i zrobiło jej się trochę wstyd. Po chwili Henryk wstał i rozpiął spodnie. Był czerwony na twarzy, oddychał ciężko. Wyciągnął z pantalonów stojącego kutasa. Katarzyna zerknęła z ciekawością, bo nigdy do tej pory nie widziała tej części męskiego ciała. To, co zobaczyła, okazało się bardziej odpychające niż podniecające. Ale książę już odwracał ją na brzuch. Strzelił jej klapsa w tyłek - zabolalo - i wszedł w nią gwałtownie, co zabolalo jeszcze bardziej. Dziewczyna się skrzywiła i zacisnęła zęby.

Wisiąca przewieszona przez brzeg łóżka, a Henryk ruszał się za nią rytmicznie i wchodził w jej ciało raz za razem, wydając z siebie dziwne, chrapliwe dźwięki. Katarzynę w końcu ogarnęło podniecenie, bo wchodzący w nią fiut sprawiał, że w dole czuła rosnącą kulę rozkoszy. Zaczęła się poruszać w rytmie. Zanim jednak zdążyła się na tym skupić, po paru kolejnych ruchach książę doszedł z głośnym okrzykiem. Nie wiedząc, co robić, Katarzyna wydała z siebie kilka jęków. Chciała w ten sposób choć trochę dać ujście poczuciu zażenowania, ale zabrzmiało to tak źle, że natychmiast przestała. Mężczyzna wycofał się i opuścił jej suknię. Obejrzała się.

Książę Nassau stał ze spuszczoneymi spodniami, z ociekającym spermą kutasem, dyszał i opierał się o drzwiczki szafy, jakby właśnie przebiegł dłuższy dystans. Wyglądał tak śmiesznie, że Katarzyna w końcu nie wytrzymała i się roześmiała. Źle zrozumiał jej intencje, bo uśmiechnął się do niej lubieżnie.

- No, dziewczyno - rzekł - trzeba przyznać, że wigoru ci nie brakuje.

Nie miała pojęcia, czemu to powiedział, przecież przez cały ten czas w ogóle nic nie robiła. Wstała. Kiedy Henryk się ubierał, próbowała bezskutecznie poprawić na sobie uszkodzoną suknię. Czuła przedziwną mieszaninę podniecenia, zażenowania i rozbawienia, połączoną z nieznanym wcześniej uczuciem niedosytu. Szybko uciekła z powrotem do salonu i wychyliła jednym haustem kielich wina, próbując uspokoić nerwy. Przyszedł za nią, już ubrany, z pendentem w rękę, i zrobił to samo. Miał obrzydliwie zadowoloną minę.

- Wracając... do tematu - mruknęła, starając się doprowadzić stanik sukni do porządku. - Proponuję obóz zorganizować w Gröningen, jest wystarczająco blisko...

- Mówiłem już, nie ma mowy - przerwał jej. - Przykro mi, Katarzyno, jesteś wspaniałą kobietą i bardzo chętnie bym ci pomógł, ale nie fiknę Gustawowi Adolfowi. Fryderyk też tego nie zrobi. Ale to był bardzo miły wieczór, nie sądzisz? Może kiedyś go powtórzymy? - Uśmiechnął się do niej z wyższością.

Odwzajemniła mu się cierpkim, przypominającym grymas uśmiechem. Henryk pożegnał się i odszedł, a ona została w salonie sama, ze zrujnowaną suknią i fryzurą, dziwną pustką w dołku oraz uczuciem rosnącej irytacji. Usiłowała nie czuć się wykorzystana – nie protestowała przecież – ale nic nie mogła poradzić na rosnące poczucie krzywdy. Przez chwilę stała bez ruchu przy oknie, z niechęcią obserwując księcia Nassau, wsiadającego do swojego ekwipażu. Przypomniła sobie zadowolony, protekcyjny uśmieszek, który miał na ustach, kiedy wychodził, i krew w niej zawrzała o wiele bardziej, niż kiedy ją pieprzył. Wychyliła gwałtownie jeszcze jeden kielich wina, aż zaszumiało jej w głowie. Poszła obmyć uda ze strużek krwi i zmienić suknię, bo z tej, którą miała na sobie, nie mogło już być pożytku.

Powinna wystawić mu rachunek, pomyślała gorzko, ściągając z siebie przepiękny, importowany i bardzo drogi jedwab.

*

– Ja też próbowałem go przekonać – powiedział Karol. Był poranek następnego dnia. Katarzyna, Erquicia, van der Staats i Karol spotkali się w salonie Cunausa. Dziewczyna właśnie opowiedziała pozostałym przebieg spotkania z Henrykiem, oczywiście pomijając jego drugą część. – Orańczycy uparli się jak osły. Nie wypadało mi naciskać z uwagi na fakt, że i tak wyświadczają mi gigantyczną przysługę, pozwalając na lądowanie wojsk w Niderlandach. Nie ma innej możliwości, jak zorganizować obóz w Niemczech.

– Gdzie? – Erquicia się skrzywił. – Już to tłumaczyłem Katarzynie, nie sądziłem, że będę musiał również Waszej Księżęcej Mości. Jeśli zorganizujemy jakikolwiek oddział w Kleve albo Bergu, Habsburgowie zmiotą nas, zanim zdążymy mrugnąć. Z oczywistych powodów arcybiskupstwa Münsteru i Kolonii odpadają.

– A może Orańczycy pozwolą na wykorzystanie samego Nassau? – rozważała opcje Katarzyna.

– Nie. – Karol pokręcił głową. – Dla nich to taka sama deklaracja polityczna jak zrobienie tego w Niderlandach. Kruczki prawne nic nie pomagają, kiedy ma się do czynienia z Gustawem Adolfem. To nie jest król, który daje się wodzić za nos. A wplątanie się w otwarty konflikt z nim to dla nas samobójstwo, nawet o tym nie myślcie. Szwedzi mogą wystawić stutysięczną armię, a sam Gustaw to geniusz taktyczny, widziałem go w akcji pod Lützen. W dodatku po drugiej stronie Niemiec mamy z założenia wrogich Habsburgów...

– Przepraszam bardzo – wtrącił się van Staats. – Jaśnie państwo dużo gadają, jak zwykle, ale chyba trochę nie myślą, proszę wybaczenia. A mi się śpieszy, bo mam już pierwszych zakontraktowanych magików, ale nie mam gdzie ich wysłać. Dlaczego nie chcecie ich trzymać we Fryzji?

– Przecież właśnie o tym rozmawiamy, że Henryk Orański... – zaczął się Erquicia, ale Staats nie dał mu dokończyć.

– Mówię o Fryzji Wschodniej.

Zebrani popatrzyli ze zdumieniem najpierw na niego, a potem na siebie nawzajem. Tylko Hiszpan nie przyłączył się do festiwalu zaskoczenia, robiąc ponurą minę. Zapadło kłopotliwe milczenie.

– Rzeczywiście, dlaczego o tym nie pomyśleliśmy? – odezwał się w końcu z zakłopotaniem Karol Wittelsbach.

– Bo we Fryzji Wschodniej nic nie ma – parsknęła Katarzyna. – Kto tam w ogóle teraz rządzi?

– Ktoś chyba z dynastii Cirksenów? Eee... Rudolf... Ado... Ee, nie... Ulryk...?

– Zawołajcie Cunaeusa, on będzie wiedział.

– Mniejsza, kto rządzi, pytanie, czy pozwoli nam zorganizować zaciąg?

– I to właśnie jest najpiękniejsze, jaśnie państwo. – Van der Staats rozparł się z zadowoleniem w krzesło, wyciągając nogi. – Nie musimy nawet go pytać o zdanie. W jego księstwie panuje burdel na kółkach. Nikogo nie obchodzi Fryzja Wschodnia, królowa wśród niemieckich zadupi. W całym rejonie jest tylko torf, księstwo znajduje tuż obok

granicy z Niderlandami i jest stosunkowo bezpieczne, bo od dawna stacjonują tam tylko najemnicy. Wybór idealny, ale widzę, że mości Santiago się nie podoba? – zwrócił się do Erquicii, widząc jego skwaszoną minę.

– Owszem, nie podoba mi się, bo rozważałem i tę możliwość. Ale mylisz się, Staats, jest z Fryzją jeden problem. I to poważny. Dodo.

– Co to jest dodo? – zdziwiła się Katarzyna.

– Nie co, tylko kto. Dodo zu Innhausen. Dowódca stacjonujących tam najemników, którzy *de facto* okupują księstwo. Następca Mansfelda.

Na nazwisko Ernesta Mansfelda van der Staats nie zareagował w ogóle, za to Katarzyna i Karol, jako Niemcy, zadrżeli. Był to złowrogi generał zachodnioniemieckich kondotierów, człowiek słynący z niewiarygodnego okrucieństwa, wiarołomstwa i spektakularnych zbrodni, których dokonywał za złoto każdego, kto tylko mógł zapłacić. Mansfeld nie znał żadnych świętości. Miał na sumieniu paru zabitych książąt, dziesiątki bezlitośnie złupionych miast i długą listę zrad na polu bitwy. Tylko zręczne lawirowanie między walczącymi stronami oraz gigantyczna armia najemników, którą zgromadził, ocaliła go przed sądem Rzeszy. Zginął ładnych parę lat wcześniej gdzieś za granicą, w co niektórzy powątpiewali po dziś dzień, rozsiewając plotki, że któregoś dnia znów zjawi się w Nadrenii lub Westfalii. Niezależnie od tego, jego imię nadal wywoływało popłoch w każdym Niemcu, który je słyszał. Trudno było przypuszczać, żeby jego następca okazał się mniej okrutny czy złośliwy.

– Poradzimy sobie i z Dodo – zdecydowała wiedziona impulsem Katarzyna. – Panie van der Staats, ma pan rację. Niech będzie Fryzja. Służba! Dajcie papier i atrament – zakomenderowała, odwracając się do okna. – Najwyższa pora wyjeżdżać z tego kraju, panowie. A z księciem Cirksena pogadam sobie osobiście.

Zapatrzyła się w ciemną niderlandzką noc. W szybkach okna odbijały się płonące wewnątrz świece i twarze trzech mężczyzn, którzy odważyli się związać z nią losy. Nie czuła za nich odpowiedzialności, za

to na karku coraz bardziej ciążyło jej brzemień własnej drzemiącej furii. Naraz polizała szybę długim, powolnym ruchem, całą powierzchnią języka. Wszyscy spojrzeli na nią ze zdumieniem. Odwróciła się.

– Zawołajcie Cunaeusa. Nie możemy sobie pozwolić, żeby siedział tutaj i plotkował na temat naszych planów. Jedzie z nami do Fryzji.

Za oknem zaczął padać pierwszy tego roku śnieg. Błyszczące płatki miękko osiadały na szybie i natychmiast topniały, gdy znalazły się w zasięgu ciepła rozgrzanego pokoju.

Rozdział XVI

Nigdy wcześniej nie ogarnęło Schenka tak dogłębne poczucie niemocy i braku nadziei. Potrzebował ładnych paru godzin, żeby zmusić się do wstania. Gdy w końcu mu się to udało, oparł się czołem o zimną ścianę. Przed oczami stanęła mu twarz Krauzego. „Jeśli nie wiesz, co robić w bitwie, zrób cokolwiek – mówił stary najemnik. – Wyznacz sobie dowolny cel, na przykład: dobiec do rowu, i biegnij. Wszystko jest lepsze od stania w miejscu jak kołek”.

Schenk wyprostował się gwałtownie. Musiał zlokalizować Sójkę.

Wyszedł ze swojej celi i udał się do podziemi uniwersytetu, gdzie znajdowały się spiżarnia, zbrojownia i kilka innych pomieszczeń służących harmonijnemu działaniu religijnego kolektywu. Usiadł w kuchni i zażyczył sobie czegoś do jedzenia. Wiedział z doświadczenia, że służba zawsze wie, co dzieje się w okolicy. Gdy kucharka podała mu cienki rosół z chlebem, zjadł bez apetytu kilka łyżek i zapytał:

– Podobno złapano jakiegoś nowego więźnia?

– Nawet jeśli – chuda kuchta wruszyła ramionami – to nie tutaj. Mamy tylko jedną celę i ty ją zajmujesz.

Schenk szybko dojadł i poszedł na dziedziniec. Chociaż niczego się nie dowiedział, przełamanie marazmu i jedzenie dodały mu sił. Zmierzchało. W zasięgu wzroku nie widział nikogo. Przez chwilę stał pośrodku pustego placu, zastanawiając się, co dalej. Uświadomił sobie, że poza niedosięgalnym Andreae, którego w dodatku się bał, zna w całym księstwie tylko jedną osobę, która może wiedzieć coś więcej. Zaczął chodzić po całym budynku i rozpytywać o Klausę. W końcu kwatermistrz powiedział mu, że Klaus poszedł do miasta na nabożeństwo i w jakichś swoich sprawach. Wskazano mu ten sam kościół, w którym Schenk był poprzedniego dnia.

Wychodząc z uniwersytetu, rozważał opcje. Każda z nich okazała się nieciekawa. Po ostatniej rozmowie z Klausem działanie po dobroci nie wchodziło w grę. Z kolei przemocą trudno się operuje, mając rękę w temblaku. Tyle dobrze, że lewą. Zauważył między budynkami wąską alejkę, w której przechodnie załatwiali potrzeby fizjologiczne, a właściciele sąsiednich kamienic składowali śmieci przeznaczone na opał. Ostrożnie omijając leżące na ziemi gówna, ze stosu śmieci wyłowił stare krzesło i pomagając sobie nogami, odłamał z niego solidną, dębową nogę. Machnął nią na próbę. Miewał w rękę skuteczniejsze oręże, ale z braku lepszych opcji takie musiało wystarczyć. Znalazł w pobliżu zamknięty zakład tkacki i upewniwszy się dwa razy, że nikt go nie obserwuje, wyłamał skobel. W środku było pusto, po tkaczu pozostało tylko kilka zepsutych krosien i stojaków oraz kłęby zakurzonych nici na podłodze. Zamknął ostrożnie drzwi, aby nikt nie zauważył, że zostały otwarte, i ruszył czatować na Klausea.

Czekając na koniec nabożeństwa w uliczce, z której miał widok na kościół, zmarł na kość, aż zaczął się martwić, czy nie dostanie zapalenia płuc. Nie pomyślał, żeby poprosić o cieplejsze ubranie; zanotował w pamięci, że trzeba je zdobyć, gdy tylko będzie okazja. Kiedy było mu już tak zimno, że poważnie rozważał wycofanie się i powrót do celi, żeby po prostu zdechnąć, ale przynajmniej w cieple, zobaczył wychodzącego z kościoła Klausea.

Przygotowany na to, że będzie musiał zawołać różokrzyżowca, aby skierować go w pożądaną stronę, zauważył, że tamten sam skręca w odpowiednią uliczkę. Klaus szedł szybko. Najemnik z trudem zdążył obejść kwartał budynków upatrzoną wcześniej trasą i zaczął się za stosem starych beczek. Ledwo zajął pozycję, zza rogu wyszedł jego cel, pocierając ręce jedną o drugą i usiłując postawić kołnierz, żeby osłonić szyję przed mroźnym wiatrem. Gdy różokrzyżowiec minął beczki, Schenk wypadł zza nich i z wyczuciem dzielił go w łeb dębową nogą od krzesła. Klaus padł jak kłoda. Najemnik się rozejrzył. Nikogo. Łatwo poszło.

Zaciągnął nieprzytomnego, krwawiącego Klausa do upatrzonego wcześniej warsztatu tkackiego i związał mu ręce i nogi. Zabrał mu też sztylet i opróżnił kieszenie z reagentów. Następnie poczekał chwilę, aż tamten się ocknie. Nie doczekał się, a nie miał czasu, więc zaczął delikatnie klepać go po twarzy aż do skutku. Schwytany jęknął i rozchylił powieki.

– Raz na wozie, raz pod wozem – powiedział Schenk z przekąsem.

– Ty skurwysynu – wyburczał Klaus słabym głosem, krzywiąc się z bólu. Po czole ciekła mu strużka krwi. – Czego chcesz?

– Dwoch informacji. Po pierwsze, gdzie trzymacie Sójkę. Po drugie, jak przejść przez barierę. Myślę, że znasz odpowiedzi na oba pytania.

– Jesteś idiotą, jeśli myślisz, że to się uda. – Różokrzyżowiec szarpnął się w więzach. – Mogę ci powiedzieć wszystko, co tylko chcesz, ale Andreae ruszy z oblawą i...

Schenk nie dał mu dokończyć. Z całej siły uderzył go nogą od krzesła w piszczel. Trzasnęło. Klaus krzyknął głośno, szarpnął się znowu, z oczu trysnęły mu łzy bólu. Najemnik przyjrzał się uważnie jego nodze – nie udało się jej złamać, ale z pewnością kość pękła.

– Konkretnie, nie międl językiem – powiedział spokojnym, ale ostrzegawczym tonem. – Pytanie numer jeden: gdzie jest Sójka?

– W głównym garnizonie – odparł tamten, patrząc na Schenka z nienawiścią. – W Marienbergu. W celi na parterze.

– Doskonale. Pytanie numer dwa: jak wydostać się poza barierę?

Różokrzyżowiec uśmiechnął się złośliwie.

– Dzięki wiridium. To taki zielony minerał. Trzeba go zmielić i wypić razem z wodą albo winem.

– Skąd go wziąć?

– I tu właśnie zjebałeś sprawę: cały zapas wiridium jest w gabinecie Andreae. Oprócz tego, że musiałbyś go unieszkodliwić, po drodze masz jeszcze magiczne blokady i cały garnizon uniwersytetu. Powodzenia – zakończył sardonicznie i zamknął oczy, odchylając głowę do tyłu.

- Nie kłamiesz ty aby? - Schenk ostrzegawczo trącił go swoją prowizoryczną bronią w pierś.

- A po co miałbym? - zapytał tamten, nawet nie otwierając oczu. - I tak się stąd nie wydostaniesz. Zabijesz mnie teraz?

- Mógłbym - mruknął Schenk. - Ale nie mam nic do ciebie. Siedz tu sobie.

- Zostawisz mnie tu? Zamarzną.

- Nie będę po tobie płakał. Zresztą nie jest aż tak zimno. Miłej nocy - parsknął najemnik i wyszedł na ulicę, zamykając za sobą drzwi i zostawiając skrepowanego Klausea na podłodze.

Nie tracąc czasu, wyrzucił swoją pseudomaczugę do rynsztoka i ruszył szybkim krokiem w stronę zamku znajdującego się po drugiej stronie rzeki. Strażnicy na moście jak zwykle przepuścili go bez problemów, ale ci przy bramie zamkowej nie byli już tacy chętni do współpracy.

- Stój! - zatrzymali go, gdy próbował wejść do twierdzy. - Czego tu?

- Morda w kubeł, sieroto! Jestem tu na polecenie Pierwszego Wysłannika, chcesz się przed nim tłumaczyć?! - warknął Schenk, po raz kolejny korzystając ze swojego doświadczenia wojskowego i talentu aktorskiego.

- Eeee... - zmieszał się różokrzyżowiec. - Zara, zapytam w kordegardzie... - powiedział i odszedł.

Schenk machnął ręką i najzwyczajniej w świecie ruszył dalej. Tak jak się spodziewał, drugi strażnik nie miał na tyle jaj, żeby próbować go zatrzymać.

Dalej poszło z górki. Gdy był już w środku, nikt nie miał powodu, aby podejrzewać, że nie ma prawa się tu znajdować, więc po prostu zapytał pierwszą napotkaną osobę o cele więzienne. Skierowano go na parter wschodniego skrzydła. W istocie, znalazł tam korytarz wypełniony zbrojonymi żelazem drzwiami i przysypiającego klawisza, rozwalonego na krzesle tuż przy drzwiach.

- Hę? - Wartownik, budząc się z drzemki, uchylił powieki.

Schenk nie dał mu szans zorientować się, co się dzieje. Wyciągnął z rękawa odebrany Klausowi sztylet i wsadził strażnikowi klingę prosto w pierś, celując w serce. Tamten zacharczał i próbował krzyknąć, ale najemnik trafił idealnie. Bezwładne ciało osunęło się w krzesło. Wyszarpnął sztylet i zabrał klawiszowi klucze wiszące przy pasku.

W pierwszych dwóch celach nie znalazł nikogo, w trzeciej – zabiedzoną, chudą kobietę, patrzącą na niego wielkimi oczami. Zostawił ją bez słowa. Dopiero w czwartym pomieszczeniu ujrzał znajomą twarz.

– Schenk! – Sójka zerwał się na równe nogi. Był boso, w samej koszuli i kalesonach, ale cały i zdrowy. – Co ty tu robisz?

– A jak myślisz, idioto? Mieli cię jutro stracić. Chodź, szybko, dziabnąłem strażnika, więc połapią się, co się dzieje, jak tylko go ktoś znajdzie.

Sójka, tak jak stał, wygramolił się z celi. Szybko zabrali zabitemu strażnikowi buty i płaszcz, starając się zachowywać jak najciszej. Kilka razy zastygli w bezruchu, słysząc odgłosy kroków, ale nikt nie zajrzał do więziennego korytarza. Przekradli się przez kilka kolejnych pomieszczeń i znaleźli okno. Otworzyli je i wyjrzel na zewnątrz. Znajdowali się co prawda na parterze, ale Marienberg był solidnym, dużym zamkiem – do ziemi pozostawało około czterech metrów.

– Wysoko. Dasz radę? – zapytał Sójka, patrząc znacząco na ramię Schenka.

– Muszę.

– Może poszukamy innego wyjścia?

– Nie ma czasu.

Lorentz wzruszył ramionami i wyszedł przez okno. Pierwszą połowę dystansu pokonał, korzystając ze szczelin między kamieniami muru, a potem skoczył i wylądował bezpiecznie na trawie. Rozejrzał się i dał znak Schenkowi, że może schodzić. Młody najemnik schował temblak do kieszeni; ręka natychmiast zabolala od nagłej zmiany pozycji. Wylaź na framugę i opuścił się na jednym ramieniu najniżej, jak mógł. Chciał spróbować chwycić się kamieni ranną ręką, ale od razu się pośliznął

i z głuchym hukiem spadł na ugięte nogi. Usłyszał, jak coś zachrząściło mu w kostce, wydał z siebie stłumiony okrzyk.

Sójka przyskoczył do niego.

- Żyjesz?!

Schenk obmacał kostkę. Na szczęście była tylko nadwyręzona, a nie zwichnięta. Wstał ostrożnie. Mógł iść, chociaż bolało i trochę kulał. Pokiwał głową w odpowiedzi, ocierając pot z twarzy, i ruszyli w stronę miasta, trzymając się z dala od źródeł światła.

- Co dalej?

- Wracamy na uniwersytet po konie i ubrania.

Niestety, wszystko wskazywało na to, że nic z tego nie będzie. Bez problemów udało im się przekroczyć słabo pilnowane szańce, ale nie doszli nawet do opłotków miasta, kiedy zobaczyli, że na ulicach trwa wrzawa wywołana ich ucieczką. Mogli tylko patrzeć, jak po drugiej stronie Menu pojawia się coraz więcej oddziałków różokrzyżowców i wirwanych z łóżek cywili z pochodniami i lampami.

- Kurwa - zaklął Schenk. - Myślałem, że zajmie im to więcej czasu.

- Dużo trupów zostawiłeś?

- Półtora.

- To powiedziałbym raczej: dziwne, że tak krótko. Słuchaj, nie ma co dumać, trzeba wiać. Chodźmy do Gemünden, tam, gdzieśmy się starli z zakonnikami na wiosnę. Przejdziemy tam rzekę i przycupniemy gdzieś, aż się uspokoi. Wiesz, jak uciec za Banię?

Słowo to dziwnie zabrzmiało w uszach Schenka, który przywykł już do tego, że wszyscy nazywają Banię „barierą”.

- Wiem. Ale potrzebujemy do tego minerału, który ma tylko Andreae.

- Dobra, o to będziemy martwić się później. A teraz huzia. Możesz iść?

Mógł, z problemami, ale mógł. Gdy tylko dotarli do otaczających miasto zagajników, a wrzawa niosąca się rzeką ucichła, sporządzili

prowizoryczną kulę, Schenk założył też z powrotem temblak. Przyjacieli zaśmiał się na ten widok.

– No, teraz wyglądasz jak prawdziwy kaleka. Chodźmy.

– Chodźmy.

Ruszyli wzdłuż rzeki. Prowadziła tędy wąska dróżka, którą zazwyczaj poruszali się okoliczni chłopcy, zwożąc drewno z lasu, więc szło się niezłe, mimo ciemności i zimna rodem z piekła wywróconego na lewą stronę. Młody najemnik słyszał, jak Sójka szczeka zębami, okryty tylko cienkim płaszczem zerwanym z zabitego strażnika. On sam też marzył. Jak na złość, był to prawdopodobnie ostatni porządny mróz przed wiosną. Ratowało ich tylko to, że szybko maszerowali.

– Słuchaj, Schenk, może byśmy rozpalili mały ogienek? – Sójka złamał się po przejściu kilku kilometrów.

– A masz krzesiwo?

Nie miał. Zakłęli pod nosem i nie mając innego wyjścia, ruszyli dalej. Schenkowi nadwyreżona kostka ciążyła bardziej z każdym metrem. Wydychana para osiadała mu na brwiach. Robiło się coraz chłodniej. Ich kroki stawały się krótsze, podobnie jak oddechy.

– To nie ma sensu – wysapał w końcu Sójka. – Tylko marnujemy siły.

Młodzian w odpowiedzi mógł jedynie kiwnąć głową.

Szybko wygrzebali w ściółce zagłębienie i ułamali kilkanaście gałęzi z rosnącego nieopodal świerka. Położyli się w dziurze wymoszczonej igliwiami i przykryli gałęziami. Nie chodziło o kamuflaż, a o ciepło. Przytulili się mocno do siebie. Płaszcz Sójki był na tyle duży, żeby przykryć ich obu. Zrobiło im się trochę cieplej, ale nadal trzęśli się tak, że ząb o ząb nie trafiał.

– Schenk? – wyszeptał Sójka kilka centymetrów od ucha przyjaciela.

– Hm?

– Dzięki, że po mnie przyszedłeś.

– Się wie.

Zapadło milczenie. Po chwili znów przerwał je Lorentz.

– Myślisz, że się z tego wykaraskamy?

– Na pewno. Zawsze się udawało.

Gdy obudzili się rano po krótkim, przerywanym śnie, Schenk miał wrażenie, że po pierwsze, nie uda mu się wstać, a po drugie, że już nigdy nie będzie mu ciepło. Sójka wyglądał jak siedem nieszczęść, z podkrążonymi oczami, oszroniony i w samej koszuli z narzuconym zdobycznym płaszczem. Co gorsza, po tej okropnej nocy zaczął mocno kaszleć. Schenk spoglądał na niego z niepokojem. Czuli głód. Jedynym plusem sytuacji było to, że wraz ze wschodzącym słońcem robiło się coraz cieplej.

Po drugiej stronie rzeki zobaczyli ruiny zamku Ravensburg, co oznaczało, że przeszli najwyżej jedną trzecią z ponad trzydziestu kilometrów, które mieli do pokonania. Wśród sarknia i kaszlu ruszyli dalej, wlekąc się noga za nogą. Zimno skutecznie odbierało im wolę walki i determinację, więc marsz stał się przeraźliwie powolny. Jakby tego było mało, nie przeszli nawet kilometra, gdy wpakowali się na dwóch chłopów, łowiących ryby za pomocą włoka. Na ich widok wieśniacy wrzasnęli jednym głosem i uciekli w panice w przeciwnym kierunku, zostawiając i włók, i ryby. Najemnicy spojrzeli po sobie.

– Myślisz, że już wiedzą? Poważnie?

– Szczerze? W tym pojebanym miejscu wszystko jest możliwe. Ale to byłoby do zrobienia nawet bez magii, wystarczyłoby, żeby kurier przypłynął łodzią. Musimy chyba ominąć Zellingen.

– Potrzebujemy ciuchów, ognia, żarcia.

– Znajdziemy jakąś samotną chatę.

Owinęli w kawał brzozonej kory kilka ryb, które porzucili chłopci, i odbili na południe, żeby ominąć znajdującą się kawałek przed nimi dużą wieś. Około południa natknęli się na smolarnię. Korzystając z przerwy, którą zrobili sobie robotnicy, ukradli z płotu wiszącą tam derkę, a z mielerza zabrali żarzącą się, niewielką kłodę, dzięki której trochę dalej rozpalili ognisko. Zagrzali się i upiekli ryby, które zjedli palcami prosto z patyków. To zdecydowanie poprawiło im humory,

konieczność nadrabiania drogi i omijania zabudowań przestała być tak deprymująca. Niestety, nie mieli jak zabrać ze sobą żaru, więc z żalem porzucili ognisko.

- Wiesz, Schenk - odezwał się w pewnym momencie Sójka - myślałem przez chwilę, że żałuję, że zaciągnąłem się z tobą do Wilhelma, ale to nieprawda. Dobrze się z tobą służyło, jesteś równy chłop i dobry żołnierz.

Zakłopotany Schenk nie bardzo wiedział, co ma odpowiedzieć.

- Dzięki, z tobą też - rzekł tylko.

- Ale wiesz, co było najlepsze? Że przez jakiś czas byliśmy kimś, wiesz? Nie mięchem armatnim, tylko oficerami. Płacili w złocie, można było poruchać, popić i pojeść. I porządzić. Lubilem wydawać rozkazy, szkoda, że tak późno się złożyło. Myślałem kiedyś, że zdechnę gdzieś w jakiejś bitwie młodo, a tu pięćdziesiątka na karku, wyobrazasz sobie? Miałem więcej szczęścia niż większość moich kumpli. Choćby Krauze.

- Tęsknisz za nim?

- Czy ja wiem? Dla mnie to był kamrat, szef, nie ojciec, jak dla ciebie, więc pewnie mniej niż ty. Ale powiem ci, że odkąd cię przygarnęliśmy w Brunzwiku, mówił o tobie zawsze dobrze i z szacunkiem, a on mało do kogo miał szacunek.

- Byłem zupełnie przerażony, kiedy obejmowałem po nim komendę. - Schenk się uśmiechnął.

- Wiadomo. Wybacz, że cię wtedy wystawiłem, ale gdzie mi tam do dowodzenia było, no i ty nas o wiele lepiej ustawiłeś. Powiem ci, że myślę, żeby to rzucić, jak stąd uciekniemy. Dość już chyba tego wojowania i uciekania, bo ile można? Do domu trzeba wracać, na Pomorze. Tam, gdzie Szwed stoi, jest spokojniej.

Nad rzekę wrócili dopiero późnym popołudniem. Na szczęście w drodze do Gemünden nie było już żadnych osad, które musieliby ominąć, liczyli więc na to, że w nocy albo nad ranem dotrą na miejsce. Szli rażno, choć Schenkowi dokuczwała kostka, a Sójka kaszlał coraz

bardziej. Nagle ten drugi zatrzymał się jak wryty pośrodku brzezinki. Nozdrza zadrgały mu jak sarnie, która zwietrzyła zagrożenie.

- Schenk, chodu! - krzyknął i zaczął uciekać w stronę, z której przyszli.

Schenkowi nie trzeba było dwa razy powtarzać, chociaż nie wiedział jeszcze, o co chodzi. Dopiero parę sekund później usłyszał to, co spłoszyło Lorentza: po rzece niosło się szczekanie psów.

Najszybciej jak mógł, kuśtykał wzdłuż brzegu rzeki, noga bolała go jednak coraz bardziej i nie mógł nawet truchtać. Szybko stracił Sójkę z oczu. W takich sytuacjach zasada była prosta: ratuje się ten, kto może się uratować, nie miał więc do przyjaciela żalu. Wydało mu się, że słyszy szczekanie i krzyki również z naprzeciwka. Skurwysyny, pomyślał, puścili obławę w dwie strony wzdłuż rzeki.

Kuśtykał dalej, gdy zza drzew wypadł na niego wielki, czarny pies. Zwierzę zatrzymało się i zaczęło warczeć. Młodzian podniósł z ziemi ułamaną gałąź i czekał. Kundel rzucił się na niego z pianą na pysku, bulgocząc wściekle. Atakowany dzielił go gałęzią, ale nie trafił w łeb, pies zatopił zęby w jego udzie, Schenk krzyknął z bólu. Bydlę puściło go i skoczyło do drugiego ataku. Wtedy najemnik wyszarpanął zza pasa sztylet i ciał na osłep - trafił w pysk. Zwierzę zaskowyczało, zapiszczało i uciekło. Odetchnął ciężko. Zaraz przyleci cała sfera, przyszło mu do głowy. Na drzewo wleźć nie mógł, bo przekonał się już, że ranna ręka nie nadaje się do wspinaczki. Zrobił więc jedyną rzecz, jaka mu pozostała. Władował się do Menu.

Woda w rzece była lodowata. Gdy tylko zanurzył w niej stopy, całe jego ciało przeciągłym wrzaskiem dało mu do zrozumienia, że nie chce się w niej znaleźć. Zdesperowany, przemógł się i zanurzył do pasa. Miał wrażenie, że skóra, szarpana igłami zimna, zaraz pęknie od napięcia; błyskawicznie zdrętwiały mu palce. Brodząc po pierś w wolnym nurcie schował się w trzcinach i ułamał jedną. Czekał, drżąc jak osika. Chciało mu się płakać. Gdy zobaczył pierwszego psa, przeżegnał się w duchu, włożył słomkę do ust i zanurzył głowę, chowając się pod wodą.

Nic nie słyszał. Brzeg zasłaniały mu trzciny, więc nie wiedział, czy gończe psy nadal tam są. Liczył sekundy, wlokące się jak lata. Trzciniowa słomka dostarczała znikomą ilość powietrza, do tego starał się robić jak najrzadsze wydechy nosem, żeby nie zdradziły go bąbelki na powierzchni. Strach, zimno i brak tlenu nałożyły się na siebie. Chciał umrzeć.

Nagle poczuł, że woda się poruszyła. Zanim zdążył zareagować, ktoś złapał go za włosy i brutalnie wyciągnął na powierzchnię. Najemnik nabrał potężnego haustu powietrza i – paradoksalnie – przez ułamek sekundy był szczęśliwy.

A potem dostał w pysk i znów wylądował w wodzie. Parskając i plując, usiłował wstać. Napastnik chwycił go za tył kołnierza i dosłownie wywlókł z wody, a następnie cisnął nim o ziemię. Schenk natychmiast zaczął drżeć. Leżał, podpierając się na prawej ręce i dyszał ciężko. Lewe ramię zaczęło rwać ostrym bólem, tak samo jak ugryzienie na udzie. Poczul, jak dwie pary rąk podnoszą go pod pachy i prowadzą, a raczej wleką wzdłuż brzegu, podrażniając raną kończynę. Ziąb przenikał go do szpiku kości, na domiar złego nic nie widział, bo mokre włosy zalepiły mu oczy. Poczul, jak rzucają go na twarde drewno. Ktoś związał mu ręce z tyłu i wreszcie odgarnął włosy z twarzy.

Siedział w niewielkiej łódce ze skośnym żaglem. Na brzegu kręcili się różokrzyżowcy, próbując okiełznać sforę ujadających wściekle psów. Naprzeciwko niego na ławce siedział Klaus, w ciepłym futrze, z cierpką miną i nogą w łubkach.

– Mówiłem ci, że to idiotyzm – parsknął z pogardą. – A ty jeszcze spierdoliłeś sprawę, bo mnie nie zakneblowałaś. Gdyby nie to, pewnie bym już nie żył i cholera wie, kiedy ruszyliby w pościg.

Schenk nie słuchał. Próbował wypatrzyć Sójkę. Liczył na to, że przynajmniej on nie został schwytany.

– Jeżeli rozglądasz się za swoim kumplem, to jest za tobą. – Klaus wskazał na coś za plecami najemnika.

Młodzian odwrócił się i zobaczył nieprzytomnego, pogryzionego przez psy Lorentza. Leżał bezładnie na dnie łodzi, cały uwalany krwią; na głowie miał przesiąknięty posoką jutowy worek. Schenk poznał go tylko po ubraniu.

– Żyje jeszcze – warknął Klaus. – Ale już niedługo.

Tym razem Schenk nie wytrzymał i po prostu się rozplakał.

*

Kolejne trzy dni spędził w swojej celi, znów zamkniętej na cztery spusty. Gorączkował i miał dreszcze, prawdopodobnie wskutek lodowatej kąpieli. Do tego ucieczka wyciągnęła z niego wszystkie siły, przez co spał niemal do bólu. Łysy pielęgnował go troskliwie, bandażując na sztywno kostkę i ranę na udzie, pojąc rosółem, okładając kocami i puszczał mu codziennie krew. Najemnik szybko zaczął dochodzić do siebie, przynajmniej pod względem fizycznym. Poza tym czuł się jak gówno. Nie chciał z nikim rozmawiać, jadł z trudem, leżał i gapił się w sufit. Dwukrotnie odwiedził go Andreae, ale nie wyciągnął z więźnia ani słowa, więc siedział tylko na krześle, patrząc się i milcząc. Schenk miał wrażenie, że jego krótkie życie się skończyło: wylądował w klatce, z której nie było ucieczki. Miał nadzieję, że różokrzyżowcy po prostu go zabiją.

Nic jednak na to nie wskazywało. Więcej nawet, podczas trzeciej wizyty Andreae poinformował go, że przywraca mu dawną swobodę, bo liczy na to, że najemnik odebrał swoją lekcję. Schenk nijak tego nie skomentował, nie zareagował też na fakt, że Pierwszy Wysłannik zostawił za sobą otwarte drzwi. Odwrócił się tylko na drugi bok i patrzył w ścianę, nie próbując nawet zebrać myśli, wirujących jak szalone wokół wszystkiego, co złe. Czuł, że zawiódł każdego, na kim mu zależało. Przypominali mu się towarzysze broni, których nie zdołał uratować od śmierci lub kalectwa, na czele z Krauzem. Wspominał Katarzynę i to, jak bez wahania sprzedał ją Wilhelmowi. Po raz pierwszy zaczęły go męczyć wyrzuty sumienia za grzechy, których się dopuścił.

Torturował sam siebie tymi beładnymi myślami, aż zasypiał, po czym budził się i cykl zaczynał się od nowa.

Piątego dnia Łysy nie spuścił mu krwi, a przyniósł nowe, ciepłe ubranie i nakazał się przebrać. Schenk nie zareagował. Dopiero gdy medyk siłą zaczął ściągać z niego koszulę, uznał, że nie pozwoli się ubierać jak dziecko, i posłusznie wciągnął na siebie czarny, wełniany kubrak i takie same spodnie. Wysokie, skórzane buty sznurował chyba z dziesięć minut, ale cierpliwość różokrzyżowca była niewyczerpana. Gdy najemnik się odział, Łysy poprowadził go poza uniwersytet.

– Gdzie idziemy? – zapytał w końcu Schenk, zmusiwszy się do otwarcia ust.

– Skończyć sprawę. – Łysy obejrzał się na niego ze współczuciem.

Schenk zrozumiał. Schylił głowę i szedł mechanicznie, wlokąc nogę za nogą. Doszli na rynek miejski – stał już tutaj szafot, ale ku zaskoczeniu najemnika nigdzie nie było rozentuzjasmowanej cizby, która zwykle towarzyszyła egzekucjom, ani trybuny, na której zazwyczaj siedzieli dostojnicy. Był za to pusty plac, kilku różokrzyżowców, wóz ze skazańcem, drewniany podest, miejski kat z hyclami i Andrae, stojący w pewnym oddaleniu od szubienicy. Tam też zaprowadzono Schenka.

– Mam nadzieję, że rozumiesz już wszystko, co miałeś zrozumieć – zwrócił się do najemnika Pierwszy Wysłannik. – Nie ma nadziei, a wiara. Nie ma ucieczki, tylko powinność. Nie ma wyboru, a jedynie konieczność.

– Dlaczego go wieszacie?! – Schenk nie wytrzymał i wybuchnął oburzeniem wymieszonym z rozpaczą. – Przecież nic nie ukradł, nie jest jakimś ochlejmordą z rynsztoka!

Andrae westchnął ze zniecierpliwieniem, ale przywołał ręką kata.

– Mistrzu małodobry, zmiana planów. Proszę użyć topora.

Oprawca nic nie powiedział, skinał tylko głową, co można było poznać po ruchu jaskrawoczerwonego kaptura.

– Zadowolony? – zapytał Andrae Schenka.

Najemnik nie odpowiedział.

Kat i jego pacholki szybko przearanżowali szafot, ściągnąwszy sznur z szubienicy i ustawiając na podeście pieńek. Następnie dwóch różokrzyżowców wprowadziło na podwyższenie ledwo trzymającego się na nogach Sójkę. Miał zmasakrowane dłonie i zakrwawioną twarz z podbitym, całkowicie zapuchniętym prawym okiem, a jego ramiona pokrywały fioletowoczarne sińce. Na wielkich wążach zastygły strużki krwi, co tylko potęgowało makabryczne wrażenie. Wyraźnie utykał, właściwie ledwo szedł. Resztki podartej koszuli były poznaczone posoką i rzygowinami. Schenk zadrżał.

Sójka nie patrzył na niego, w ogóle nie orientował się, co się dzieje. Jego twarz wyrażała tylko bezbrzeżne zmęczenie – nie widniał na niej nawet strach. Pokornie dał się poprowadzić do pieńka i rzucić na kolana. Schenk rozejrzał się, ale nigdzie nie dostrzegł pastora, co było kolejnym odstępstwem od utartego zwyczaju.

– Nie dostanie rozgrzeszenia? – zapytał cicho.

– Teraz zacząłeś się martwić o jego duszę? Spokojnie, rozgrzeszenie mu niepotrzebne. Wyroki ziemskich sług są niczym wobec sądu ostatecznego, naprzeciw którego zaraz stanie. Tam się wszystko rozstrzygnie.

Ułożyli głowę starego najemnika na pieńku. Sójka zamknął oczy. Kat kciukiem sprawdził ostrość topora. Najwyraźniej inspekcja nie wypadła zadowalająco, bo wyciągnął z kufra osełkę i zaczął szlifować ostrze z przeraźliwym zgrzytem, który wypełnił pusty plac. Minuta, która mu to zajęła, wydawała się trwać w nieskończoność. W końcu odłożył kamień i poprawił głowę skazańca.

Świsł powietrza, głuche młasnienie i stuk. Trysnęła krew, a głowa Lorentza zawisła na kilku pojedynczych ścięgnach. Schenk patrzył na to z zaciśniętymi zębami i drżał. Kat poczekał, aż tętnicza krew przestanie buchać w zagłębienie pieńka i kopniakiem zrzucił z niego trupa.

– Czy teraz w końcu – Andreae odwrócił się w stronę młodziana – zaakceptujesz fakt, że czy chcesz, czy nie, byłeś i jesteś bratem Różanego Krzyża?

Schenk pokornie skinął głową.

– Tak – wychrypiał.

Co innego mógł powiedzieć?

Zaczął padać pierwszy tego roku śnieg. Kryształowe płatki miękko osiadały na trupie Sójki Lorentza i natychmiast topniały w zetknięciu z gasnącym ciepłem jego ciała.

CIĄG DALSZY NASTĄPI

OD AUTORA

Republika Siedmiu Prowincji Niderlandów jest obiektem mojej fascynacji od późnego dzieciństwa. Był to kraj purytańskich mieszczan, który w świecie rządzonym przez katolickich arystokratów w ciągu niespełna stu lat zmienił się z hiszpańskiej prowincji w potężne imperium. W powieści ukazałem Republikę u szczytu jej potęgi: obrzydliwie bogatą, postępową i ciekawą świata, ale też niszczoną wewnętrznymi tarciami, które zakończą ostatecznie jej złoty okres w roku 1672, gdy haski lud rozerwie na strzepy ówczesnego wielkiego stadhoudera, Johana de Witt. Niestety, Niderlandy w początkach XVII wieku są tak ogromnym zbiorowiskiem ciekawych indywidualności, że nie udało mi się zmieścić w książce wszystkich. Zabrakło wzmiankowanych Kartezjusza i Kunicjusza, nie załapał się jako postać admirał (wówczas kapitan) Tromp ani bardzo ciekawi krewni stadhoudera Fryderyka Henryka Orańskiego.

Bractwo Różokrzyżowe, założone przez Johannesą Andreaego, faktycznie istniało. Był to maleńki odłam gnostyckich protestantów, który właściwie nie dokonał niczego wielkiego, poza staniem się symbolem nieodgadnionej tajemnicy. Przez dziesiątki lat w Europie powstawały sekretne zgromadzenia Różokrzyża, przekonane, że gdzieś istnieje rządzona przez Christiana Rozenkreutza centrala, tak tajna, że nikt nigdy jej nie odkrył. Do tej tradycji nawiążą później loże masonskie. Nośność tej legendy okazała się tak wielka, że organizacja ta – pod nazwą Międzynarodowej Szkoły Złotego Różokrzyża – funkcjonuje do dziś jako niszowy związek wyznaniowy.

W powieści uprościłem i wyolbrzymiłem do granic ich poglądy, a także nieco wykoślawiłem samą ideę bractwa, ale na szczęście jest to opowieść fantastyczna, więc nie mam z tego powodu specjalnych

wyrzutów sumienia. Wiele wypowiedzi profesora Andreaego to parafrazy z autentycznych pism siedemnastowiecznych gnostyków. Z kolei fragmenty Biblii, którą czyta Schenk w rozdziale XI, to autentyczne cytaty z Pisma Świętego w tłumaczeniu księdza Jakuba Wujka.

Mimo że w tej części tetralogii znalazło się o wiele więcej gadania niż pościgów i czarów, mam nadzieję, że nie wyszło to zbyt nudno. Liczę też, że dyskusje bohaterów zadowolą tych, którzy twierdzili, że w pierwszej części „nic się nie okazuje”... choć wiem z doświadczenia, że ujawnione tajemnice o wiele częściej okazują się rozczarowujące niż satysfakcjonujące.

Tym razem podziękowania należą się ponownie Aleksandrze Kucharskiej za wsparcie i cierpliwość, a także Michałowi Petrusowi, tradycyjnie łowiącemu moje historyczne wpadki. Wdzięczny jestem również Tomkowi Dembiczakowi, przez którego scenę pojedynku na szable przepisywałem co najmniej cztery razy, oraz całej ekipie Nowohuckiego Centrum Kultury – dzięki niej pisanie tej książki było o wiele zabawniejsze niż pisanie pierwszej. Kolejna na liście jest moja przyjaciółka Joanna, która zgodziła się użyczyć aparycji – ale nie charakteru! – jednej z bohaterek. Na honorową wzmiankę zasługuje Paulina Kojder, pomagająca mi w zaskakująco skomplikowanym researchu dotyczącym koni (choć i tak pewnie coś pomyliłem). Na koniec zaś podziękowania wędrują do mojej wspaniałej redaktorki Pauliny Stoparek oraz ekipy wydawnictwa SQN, zwłaszcza tej jego części, która na pierwszym froncie walczy o to, żeby książki docierały do czytelników.

Księstwo Różanego Krzyża

Copyright © by Marcin Świątkowski 2024

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2024

Redakcja – Paulina Stoparek

Korekta – Magdalena Świerczek-Gryboś, Julia Młodzińska

Opracowanie typograficzne i skład – Joanna Pelc

Okładka – Paweł Szczepanik / BookOne.pl

Grafika na okładce – Tomasz Ryger

Mapa – Marcin Karaś

All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Drogi Czytelniku,

niniejsza książka jest owocem pracy m.in. autora, zespołu redakcyjnego i grafików.

Prosimy, abyś uszanował ich zaangażowanie, wysiłek i czas. Nie udostępniaj jej innym, również w postaci e-booka, a cytując fragmenty, nie zmieniaj ich treści. Podawaj źródło ich pochodzenia oraz, w wypadku książek obcych, także nazwisko tłumacza.

Dziękujemy!

Ekipa Wydawnictwa SQN

Wydanie I, Kraków 2024

ISBN mobi: 9788383303529

ISBN epub: 9788383303536



Wydawnictwo SQN pragnie podziękować wszystkim, którzy wnieśli swój czas, energię i zaangażowanie w przygotowanie niniejszej książki:

Produkcja: Kamil Misiek, Joanna Pelc, Joanna Mika, Grzegorz Krzymianowski, Natalia Patorska, Katarzyna Kotynia

Design i grafika: Paweł Szczepanik, Marcin Karaś, Julia Siuda, Zuzanna Pieczyńska

Promocja: Piotr Stokłosa, Łukasz Szreniawa, Aleksandra Parzyszek, Paulina Gawęda, Barbara Chęcińska, Małgorzata Folwarska, Marta Ziębińska

Sprzedaż: Tomasz Nowiński, Patrycja Talaga

E-commerce: Tomasz Wójcik, Szymon Hagno, Marta Tabiś, Marcin Mendelski, Jan Maślanka, Anna Rasiewicz

Administracja: Klaudia Sater, Monika Czekaj, Małgorzata Pokrywka

Finanse: Karolina Żak

Zarząd: Przemysław Romański, Łukasz Kuśnierz, Michał Rędziaś

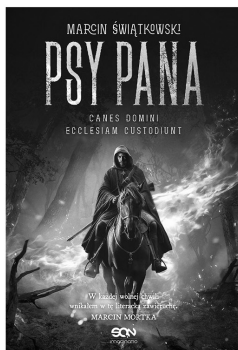
www.wsqn.pl

www.sqnstore.pl

www.labotiga.pl

WIELKA HISTORIA, KTÓRA EWOLUUJE NA OCZACH CZYTELNIKA

Rok 1633, ogarnięte wojną trzydziestoletnią Niemcy.
Katarzyna von Besserer, nastoletnia szlachcianka utalentowana
w dziedzinie czarów, musi uciekać przed dominikanami-inkwizytorami.
Celem dziewczyny jest uniwersytet w Lejdzie,
gdzie obiecano jej schronienie.



MAGIA. INKWIZYCJA. PRZYGODA

Szukaj w dobrych księgarniach



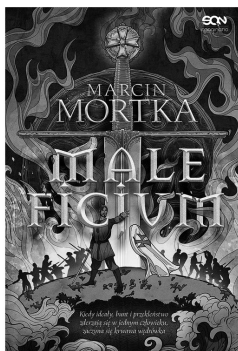
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

CO ZAKOPYWANO POD DROGOWSKAZEM NA ROZSTAJACH DRÓG?

Bruno Calazzo, nazywany przez braci z zakonu szpitalników wiedzim synem, co noc widzi twarz kobiety pływającej na stosie, a za dnia ma silne przeczucie, że na Malte, nową ojczyznę zakonu, spadnie nieszczęście.

W istocie, nadchodzące dni okażą się dla niego trudną próbą. Przybliżą one młodego rycerza do odkrycia tajemnicy jego pochodzenia – sekretu strzeżonego przed nim przez same władze zakonu.



BRAWUROWE POŁĄCZENIE HISTORII Z MAGIĄ

Szukaj w dobrych księgarniach

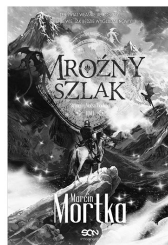
SQN

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

POZNAJ SERIĘ O MADSIE VOORTENIE

Mads Voorten jeszcze nie wie, że przyjdzie mu dokonać niezwyklej czynów, z których każdy wpłynie na losy wojny. Nie wie, że czekają go szaleńcze szarże i zaciekle boje, a także spotkania z dawnymi przyjaciółmi i nieoczekiwane sojusze. Nie wie, że znów stanie się płomieniem powstania.



Szukaj w dobrych księgarniach

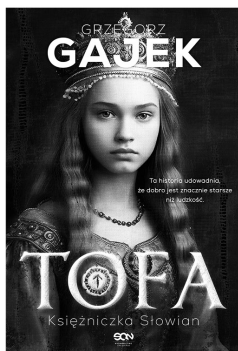
sqn

WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl

„TOFA. KSIĘŻNICZKA SŁOWIAN” TO PIERWSZY Z DWÓCH TOMÓW OPOWIEŚCI O SŁOWIAŃSKIEJ DZIEWCZYŃNIE, KTÓRA STAŁA SIĘ KRÓLOWĄ WIKINGÓW

Mówili jej, że historię pisze się krwią i ostrzami mieczy.
Mówili jej, że Perun, Odyn i Biały Chrystus sądzą czyny mężczyzn,
aby zadecydować, kto zasługuje na wieki pamięć.
Mówili jej, że Dola słowiańskiej dziewczyny, słowiańskiej księżniczki, to wyjść za
wielkiego kniazia albo konunga, urodzić mu synów i odejść w zapomnienie.



**NIE POZWOLIŁA, BY JEJ IMIĘ PRZEPADŁO
W MEANDRACH HISTORI**

Szukaj w dobrych księgarniach



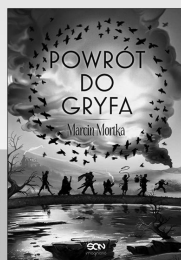
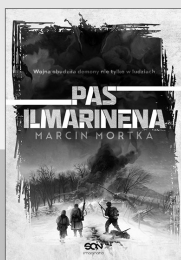
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

**www.wsqn.pl
www.sqnstore.pl**

Drodzy Czytelnicy,

dziękujemy za zakup naszej książki.
Jesteście czytelnikami *sine qua non*, warunkiem koniecznym
istnienia dobrych książek, a Wydawnictwo SQN istnieje
dzięki ludziom takim jak Wy. Mamy nadzieję,
że wkrótce spotkamy się ponownie!

Ekipa Wydawnictwa SQN



SQN
WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

SQNSTORE.PL

labotiga.pl